KULTURA i BIZNES®

Magazyn Kulturalno-Społeczny • Rok XVIII • Nr 70 • Łódź, 2019 • ISSN 1644-4043 • Egzemplarz bezpłatny

Przyszłość należy do kultury, nie do polityki – *Św. Jan Paweł II*

W numerze (32 str.) m.in.: Pożegnania Wojciecha Białasiewicza, Stanisława Dybowskiego, o. Jacka Pleskaczyńskiego SJ, Zdzisława Szostaka; Dąb katyński Karola Grohmana, VI Rubinstein Piano Festival 2019, Festiwal Chopinowski w Dusznikach-Zdroju, wydarzenia w hołdzie Chopinowi w Nowym Jorku, koncert Tomasza Rittera w Carnegie Hall, wystawa o Armii Polskiej w Ameryce, wystawa militariów polskich w New Jersey, esej o Adamie Borowskim, perły baroku w Krzeszowie i Rawie Maz., Pomnik Rzezi Wołyńskiej, o Związku Szlachty Zagrodowej, recenzje książkowe

70 numer Dziękujemy

Bohaterowie „Kultury i Biznesu” (rozkładówek):

1/2002 – Jerzy Rene Groszang
2/2002 – Michał Urbaniak
3/2002 – Stanisław Fijałkowski
4/2002 – Zbigniew Władyka
5/2003 – Bogusław Sochnacki
6/2003 – Piotr Hertel
7/2003 – Jan Machulski
8/2003 – Joanna Woś
9/2003 – Zdzisław Szostak
10/2003 – Leon Niemczyk
11/2003 – Elżbieta Adamiak, Andrzej Poniedzielski
12/2004 – Zbigniew Macias
13-14/2004 – Andrzej Wrzesień
15-16/2004 – Jolanta Bibel, Krzysztof Bednarek
17-18/2004 – Antoni Dziatkowiak
19-20/2004 – Katarzyna Nowak-Stańczyk
21/2004 – Waldemar Łysiak
22/2005 – Bronisław Wrocławski
23/2005 – Anna Polony
24/2005 – Irena Anders
25/2005 – Ewa Rubinstein
26/2005 – Dariusz Stachura
27/2005 – Andrzej Gieraga
28/2006 – Halina Łabonarska
29/2006 – Grupa fotograficzna POZA
30/2006 – Aktorki (Marieta Żukowska, Katarzyna Anzorge, Aneta Zając, Weronika Książkiewicz)
31/2006 – Jerzy Mierzejewski
32/2006 – Barbara Wachowicz
33/2006 – Ryszard Karczykowski
34/2007 – Teatr Muzyczny w Łodzi
35/2007 – Tadeusz Strugała
36/2007 – Rok 2007 Rokiem Artura Rubinsteina
37/2007 – Bernard Ładysz
38/2007 – Wojciech Kilar
39/2007 – Łódzcy pianiści
40/2008 – Mariusz Kwiecień
41/2008 – Andrzej Smoczyński
42/2008 – Wiesław Ochman
43/2008 – Artur Rubinstein
44/2008 – Rubinstein Piano Festival 2008
45/2008 – Krystian Zimerman
46/2009 – Jerzy Neugebauer
47/2009 – Jacek Trznadel
48/2009 – Krzysztof Skórczewski
49/2009 – Dni Chopina w Łodzi i Rapperswilu
50/2009 – Dawna Łódź literacka
51/2009 – Rok Fryderyka Chopina
52/2010 – Pierwsza Dama w Łodzi (Maria Kaczyńska)
53/2010 – Dni Chopina w Paryżu
54/2010 – Krzysztof Kąkolewski
55/2010 – Wystawa Chopinowska (Łódź)
56/2010 – Kazimierz Karabasz
57/2010 – Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia
58/2011 – II Rubinstein Piano Festival 2011
59/2011 – Szkoła baletowa w Łodzi
60/2011 – Zbigniew Namysłowski
61/2011 – Marek Jaszczak
62/2011 – Stacja Nowa Gdynia
63/2012 – 10 lat „Kultury i Biznesu”
64/2013 – III Rubinstein Piano Festival 2013
65/2014 – Wojciech Fangor
66/2015 – IV Rubinstein Piano Festival 2015
67/2016 – Jarosław Marek Rymkiewicz
68/2017 – V Rubinstein Piano Festival 2017
69/2018 – Marek Drewnowski
70/2019 – Andrzej Pityński ■

KULTURA

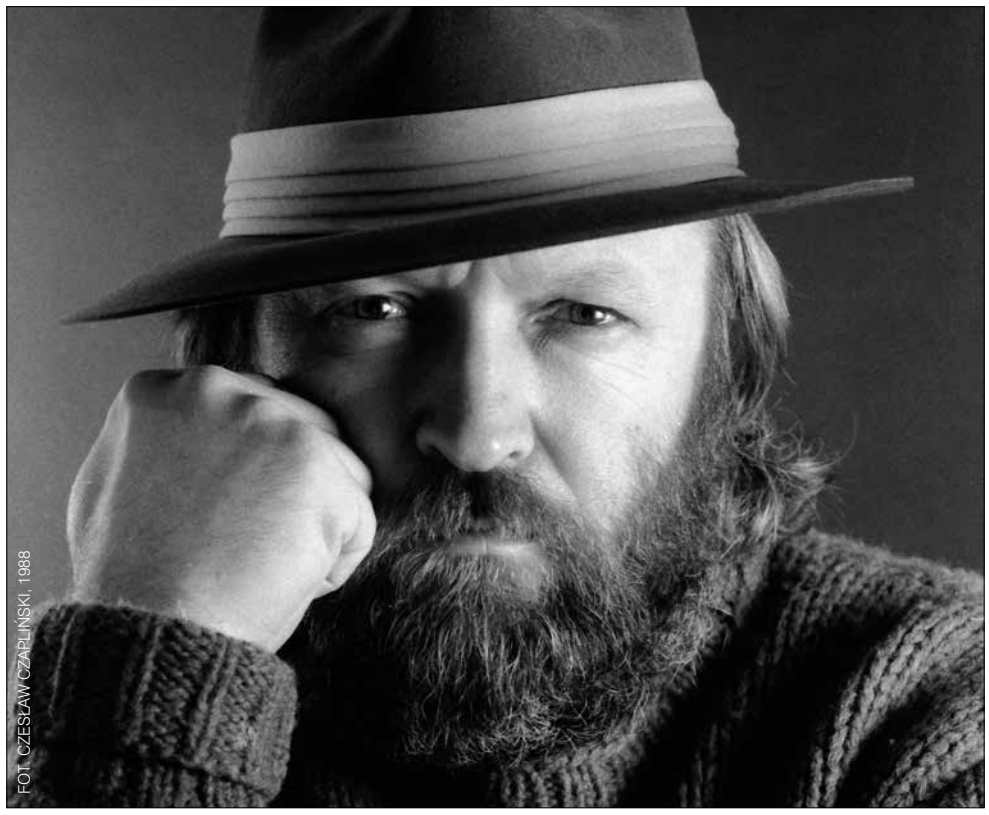

FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI, 1988

Andrzej Pityński

Andrzej Pityński (ur. 1947), artysta rzeźbiarz, medalier, jeden z największych współczesnych polskich rzeźbiarzy, przedstawiciel realizmu w sztuce. Absolwent krakowskiej ASP, od 1974 r. mieszka w Stanach Zjednoczonych, autor wielu słynnych w świecie rzeźb, monumentalnych i ekspresyjnych pomników, popiersi słynnych Polaków, medali, rzeźby kameralnej. Artysta przedstawia polskie tematy: umiłowanie wolności, waleczność, religijność. Jego autorstwa są m.in. pomniki: „Katyń 1940”, „Mściciel”, „Patriota”, „Partyzanci”, „Sarmata”, „Błękitna Armia”, „Rzeź Wołyńska”; ten ostatni ocenzurowany, czeka na ustawienie (czytaj na str. 19).

W jego rodzinnej miejscowości Ulanów k. Stalowej Woli funkcjonuje Muzeum Andrzeja Pityńskiego, urządzone w małym drewnianym domku, postawionym na wzór starych flisackich domów, w jakim urodził się i wychował nasz bohater.

11 listopada 2017 r. został odznaczony Orderem Orła Białego.

Prezentacja artysty na str. 16–17

BIZNES

Hampton by Hilton – o nowym hotelu budowanym w Łodzi, czytaj na str. 24

Plurimos annos?

Oto i numer siedemdziesiąty! Dzielę się więc kilkoma jubileuszowymi przemyśleniami. Otóż gdy zaczynałem wydawać „Kulturę i Biznes” w 2002 r. (!), byłem pełen radości, zapału i nadziei. Zapewne to nie przypadek, że pierwszy numer za czerwiec 2002 r. ukazał się przed pielgrzymką św. Jana Pawła II do Polski (ostatnią) w sierpniu 2002 r. Jadąc na to spotkanie z papieżem, na krakowskie Błonia, zabrałem kilkaset egzemplarzy gazety i gdy Ojciec Święty pojawił się obok mnie – podniosłem w górę dwie paczki „Kultury i Biznesu”. Papież przejeżdżał papamobile między pielgrzymami i błogosławił nas. Wszystko, co jest w zasięgu takiego błogosławieństwa, nabiera szczególnej wagi; „papieskie” egzemplarze co jakiś czas rozdaję w prezencie.

By wydawać to czasopismo, ale i książki, powołaliśmy fundację non profit i zabrałem się do redagowania gazety o kulturze, tradycji, historii, o Kresach, Polonii, o przedsiębiorczości Polaków. Bezpłatnej w dystrybucji, obecnej i dostępnej w Polsce, wysyłanej do Polonii. Skompletowałem grono dobrych autorów i korespondentów polonijnych. Chciałem – chcę nadal – wydawać czasopismo kulturalne, a nie polityczne, niezależne od kogokolwiek, promujące Polskę i Polaków, które poprzez swój poziom merytoryczny, tematykę, grafikę (layout) będzie atrakcyjne, będzie promowało ludzi kultury i biznesu, książki, kulturę i sztukę, w tym szeroko muzykę, będzie chętnie czytane, ale i wspierane finansowo. Planowałem drukować nawet 100 tys. egzemplarzy. Większość chwali to czasopismo za jego niezmienną linię programową i elegancję – co Państwo piszą w listach, jeden z nich drukujemy na końcu gazety. Jesteśmy cytowani, gazeta jest zalecana studentom dziennikarstwa, ma przedruki.

Zakładałem wydawanie miesięcznika, a następnie może i tygodnika. Miejsce wydawania w Łodzi, czyli na pustyni kulturalnej pod tym względem, niby obiecujące... Ale nie udało mi się zebrać środków, biznesmenów, ludzi, którzy by chcieli stale finansować takie czasopismo. Stało się więc periodykiem z dużą liczbą moich autorskich artykułów – także z powodu braku pieniędzy na honoraria. Władze Łodzi nie dotują czasopism – przynajmniej oficjalnie; nie ma tu żadnego tygodnika! Gdy donoszę kolejny raz, że minister kultury też nie przyznał nam dotacji na wydawanie gazety, to zastanawiam się, czyja to jest porażka: rządzącego teraz PiS-u, uważanego za partię niby prawicową, czy moja?: Polaka, autentycznego patrioty, idealisty. Ani minister kultury (PiS), ani prezydent Łodzi (PO) czy marszałek województwa (PiS) nie wspierają nas finansowo ani przy wydawaniu gazety, ani książek. Problem niskiego czytelnictwa w Polsce wynika z braku promocji czytelnictwa (my je promujemy), nie zaś z cen książek. W głównych i dostępnych ogólnie programach TVP, kultury wysokiej jest może 5%, po północy, w ciągu dnia: polityka, sport, Zenek z disco polo, teleturnieje, pogoda, sport, sport, polityka...

Co przez te 18 lat wydawania „Kultury i Biznesu” załatwiliśmy? Bardzo dużo! Przede wszystkim pomogliśmy w promocji wielu artystom, poruszamy duszę polską, tematy, które inni omijają. Nie realizujemy żadnych linii i programów politycznych, nie promujemy kiczu, nie piszemy o aferach, skandalach, sporcie.

Dziwne, że tak bardzo drogo kosztuje mnie ta niezależność i patriotyzm polski...

Wojciech Stanisław GROCHOWALSKI

POLSKIE ROCZNICE

Od kwietnia do czerwca 1919 r. z Francji do Polski przybywała około 400. pociągami tzw. „Błękitna Armia", dowodzona przez gen. Józefa Hallera (1873–1960). Armię Polską we Francji, od koloru mundurów zwaną „Błękitną Armią", tworzono z ochotników od 1917 r. W jej skład weszły też oddziały przybywające z Ameryki Północnej, zwane Armią Polską w Ameryce. Zwierzchnikiem politycznym „Błękitnej Armii" był Komitet Narodowy Polski, założony m.in. przez R. Dmowskiego. Francuzi uzbroili i szkolili naszych żołnierzy i oficerów, polskie pułki walczyły na froncie I wojny światowej.

Nasze wojska tworzyły się w tym czasie i w Rosji. Powstały tam trzy korpusy, I Korpus Polski w Rosji utworzył w 1917 r. gen. Józef Dowbor-Muśnicki (1867–1937); korpus ten walczył tam i z Armią Czerwoną. Generał Dowbor-Muśnicki po powrocie do kraju, został skierowany przez Piłsudskiego w styczniu 1919 do Powstania Wielkopolskiego, był dowódcą Armii Wielkopolskiej, także współdziałał z gen. Hallerem.

Po powrocie do Warszawy J. Piłsudskiego (10 listopada 1918 r.) i zakończeniu I wojny światowej (11 listopada 1918 r.), gdy wszystkie granice polskie płonęły, nastąpiły starania Piłsudskiego u rządu francuskiego (z sukcesem) o skierowanie „Błękitnej Armii" do Polski; liczyła wówczas około 65 800 żołnierzy. Otrzymaliśmy od Francuzów także: 120 czołgów Renault FT-17, 41 samochodów, 7 ciągników i 10 motocykli – poza oczywiście umundurowaniem, uzbrojeniem, artylerią, amunicją, samolotami, końmi etc. Anglicy sprzeciwili się by dotarła drogą morską, do Gdańska, obawiając się, że Haller może przejąć miasto z rąk Niemców.

Gen. J. Dowbor-Muśnicki, CAW *Marszałek J. Piłsudski*

Generał Haller podporządkował się rozkazom komendanta Piłsudskiego, niebawem żołnierze „Błękitnej Armii" zostali skierowani na front ukraiński, do wsparcia polskich wojsk w walce z Ukraińcami. W styczniu 1920 roku Piłsudski powierzył Hallerowi przejmowanie z rąk niemieckich Pomorza, przyznanego nam na mocy traktatu wersalskiego. Przejmowano Bydgoszcz, Toruń, Tczew i kolejne miejscowości, 10 lutego 1920 r. były słynne „Zaślubiny Polski z Morzem" w Pucku. Wróciliśmy nad Morze Bałtyckie!

Gen. Józef Haller

Śmierć Chopina

W 2019 roku przypadła 170. rocznica śmierci Fryderyka Chopina (1 III 1810, Żelazowa Wola –17 X 1849, Paryż).

Serce Chopina przechowywane jest w kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Kompozytor był katolikiem, akt chrztu znajduje się w kościele w Brochowie, kopia na stronie Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina. Umierał też jako katolik, z Bogiem na ustach – mimo że wiele osób z jego paryskiego otoczenia nie chciało nawet wpuścić do umierającego księdza (przyjaciela Chopina). Choroba spowodowała, że bardzo cierpiał przed śmiercią, chciał umrzeć, prosił o śmierć i prosił, aby mu pozwolono odejść, by już nie wzywano lekarzy.

Ostatnie słowa Chopina – słyszane i zapisane przez świadka jego odejścia tj. ks. Aleksandra Jełowickiego to: „Nie płaczcie przyjaciele moi. Jam szczęśliwy! Czuję, że umieram. Módlcie się za mną. Do widzenia w Niebie. Jezus, Józef, Maryja... Jestem już u źródła szczęścia...". I zmarł. Zasnął na wieki z radosnym wyrazem twarzy, pogodzony z Bogiem, szczęśliwy.

Na obrazie Barriasa przedstawiającym śmierć Chopina, widać u jego wezgłowia krucyfiks czyli Chrystusa ukrzyżowanego, grono najbliższych kompozytorowi osób. W sąsiednim pokoju przebywała i czuwała liczna grupa jego znajomych i przyjaciół; razem przez te kilka ostatnich dni życia Chopina było przy nim ok. 20 osób.

Przy łożu śmierci brata była jego najstarsza siostra Ludwika, trzyma go za rękę.

Z drugiej strony łóżka, na obrazie z lewej strony klęczy (obok siostry zakonnej) Solange, córka George Sand a żona rzeźbiarza Clésingera, który zdjął maskę pośmiertną Chopina i zaprojektował pomnik nagrobny na jego mogile na Père-Lachaise; Solange bardzo lubiła Chopina – z wzajemnością. Postacią na pierwszym planie jest Delfina hrabina Potocka (w bieli), która wg relacji Solange, na życzenie umierającego śpiewała mu akompaniując sobie na fortepianie, wyciskając śpiewem łzy zebranym. Za hrabiną klęczy pianistka i uczennica Chopina Marcelina Czartoryska, pod oknem na krześle ks. Aleksander Jełowicki, za nim przyjaciel umierającego, malarz Teofil Kwiatkowski (namalował podobny obraz pt. *Ostatnie chwile Fryderyka Chopina*), wreszcie z cylindrem Wojciech Grzymała – także przyjaciel kompozytora, działacz emigracyjny, kawaler orderu Virtuti Militari, powstaniec listopadowy.

WSG

Félix-Joseph Barrias, Śmierć Chopina, 1885, wys. 110 cm, szer. 131 cm, Muzeum Narodowe w Krakowie

Wojciech Białasiewicz
(1940–2016)

Dziennikarz, publicysta, historyk i pisarz, zmarł we wrześniu 2016 r., został pochowany w Zwierzyńcu na Zamojszczyźnie, gdzie mieszkał w ostatnich latach życia. Urodził się w Warszawie w czasie okupacji, jego ojciec Józef Białasiewicz (1912–1986) redagował prasę podziemną, został aresztowany i wysłany przez Niemców do obozu koncentracyjnego, przeżył wojnę; matka Helena ps. „Brykieta", „Barbara" brała udział w Powstaniu Warszawskim. Wojciecha wychowywała babcia – właśnie w Zwierzyńcu. Józef Białasiewicz przed wojną pracował w „Gazecie Warszawskiej", po wojnie znalazł się w II Korpusie Polskim gen. Andersa, redagował do 1946 r. w amerykańskiej strefie okupacyjnej polską gazetę „Pismo Żołnierza" (zamknięta przez Amerykanów we wrześniu 1946 r.), później pisał tam do tygodnika „Kronika". W 1949 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych, zakładał Syndykat Polskich Dziennikarzy w Ameryce, w Chicago był m.in. od 1958 r. ostatnim redaktorem naczelnym polskojęzycznej gazety o tytule „Dziennik Chicagoski", wydawanej w latach 1890–1971, pisał też do „Dziennika Związkowego". Do Polski przyleciał w 1956 r., spotkał się z synem, po latach ściągnął go do Ameryki.

Wojciech Białasiewicz z wykształcenia był historykiem, absolwentem KUL, po studiach założył rodzinę i zamieszkał w Lublinie, w wieku 29 lat obronił doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, przez większość życia wykonywał zawód dziennikarza; w 1985 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Poznałem go jako redaktora naczelnego „Dziennika Związkowego" w Chicago, był nim od 1989 r. Jest to najstarsza gazeta polska na świecie, która ukazuje się nieprzerwanie od chwili powstania w 1908 r. To największy dziennik polonijny w Stanach Zjednoczonych, wydawany przez Związek Narodowy Polski, jego organ prasowy. ZNP istnieje od 1880 r., jest głównym donatorem Kongresu Polonii Amerykańskiej, pokrywa 50% budżetu tej organizacji federacyjnej Polonii. Prezes ZNP jest prezesem KPA. Kongres dzieli się m.in. na Krajową Radę Dyrektorów, dyrektorem KPA był też W. Białasiewicz. Podczas mojej pierwszej wizyty w Chicago w 1997 r. odwiedziłem redakcję „Dziennika Związkowego", gdzie osobiście poznałem red. Wojciecha Białasiewicza, zostałem też przyjęty przez prezesa Edwarda Moskala (†2005), do którego miałem list polecający z Łodzi od Jerzego Kropiwnickiego. Z red. Białasiewiczem szybko zgadaliśmy się na temat gen. Wieniawy, był moją bratnią duszą. Spotykałem się z nim w Chicago, w Polsce, m.in. na Zjeździe Polonii Świata w Gdańsku (gdzie zostałem zaproszony), rozmawialiśmy telefonicznie. Przysyłał mi materiały o Rubinsteinie, m.in. oryginalne zdjęcie z dekoracji Pianisty przez wybitnego i niezapomnianego prezesa KPA Alojzego Mazewskiego („Kultura i Biznes" nr 67, s. 11). Mazewski był prezesem ZNP i KPA przez 17 lat, do 1988 r., drugim po Karolu Rozmarku, założycielu Kongresu, absolwencie Harvardu.

FOT. MIROSŁAW TREMBECKI

Białasiewicz zakończył pracę na stanowisku redaktora naczelnego „Dziennika Związkowego" i wrócił do Polski w 2009 r.

Pisał m.in. do gazet i czasopism krajowych: „Słowa Powszechnego" (pracował dla lubelskiego oddziału PAX), „Tygodnika Zamojskiego", tygodnika „WTK", „Kuriera Lubelskiego", dwumiesięcznika „Arkana". Drukował w prasie polonijnej, m.in.: „Nowym Dzienniku Chicagowskim" (ukazywał się pięć miesięcy od połowy 1986 r., nieudana mutacja „Nowego Dziennika" z Nowego Jorku), tygodnikach „Panorama" i „Relax", „Dzienniku Polskim" w Detroit, którego przez rok, do 1989 r., był redaktorem naczelnym (wtedy był to tygodnik). Jego najważniejszą pozycją książkową jest niewątpliwie ta o Polonii chicagowskiej *W kręgu chicagowskiej Polonii*; wydał też: *Wrzesień 1939 roku na Zamojszczyźnie, Afera „Wismana". Z dziejów zamojskich grup szturmowych 1940–1942, Pomiędzy lojalnością a serc porywem. Polonia amerykańska we wrześniu 1939, Wrzesień 1939 roku na Zamojszczyźnie.* W ostatnich latach pracował nad książką o generale dywizji B. Wieniawa-Długoszowskim i właśnie ta postać nas zbliżyła, wymienialiśmy opinie i konsultowaliśmy niemal każdą zdobytą nową wiadomość na temat Generała.

Śp. Wojciech Białasiewicz został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP, w 2005 r. Zwierzyniec nadał mu Honorowe Obywatelstwo, tytuł ten odebrali w jego imieniu córka Małgorzata i syn Maciej; zostawił jeszcze syna Jakuba.

Wojciech S. GROCHOWALSKI

Korzystałem z książek Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak i Danuty Piątkowskiej

Pożegnanie Zdzisława Szostaka

W sobotę 7 września 2019 zmarł w Łodzi maestro Zdzisław Szostak, rocznik 1930, urodził się w Sosnowcu. Był wybitnym kompozytorem, dyrygentem, pedagogiem, dyrektorem i kierownikiem kilku instytucji kultury w tym Filharmonii Poznańskiej i Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina, prowadził wiele chórów. Tworzył muzykę symfoniczną, kameralną, oratoryjną, transkrypcje czy tzw. muzykę filmową czyli ilustracje muzyczne do filmu i teatru. Skomponował operę kameralną „Ważka" do libretta Ryszarda Daneckiego, zaś dziełem życia, pisanym kilka lat jest *Msza Łacińska* (*Missa Latina*) na duży chór, wielką orkiestrę symfoniczną i czterech solisów, ukończona w 2003 r., zadedykowana papieżowi Janowi Pawłowi II. Utwór składa się z 23 części a partytura liczy 325 stron.

Był absolwentem Państwowej Szkoły Muzycznej w Katowicach, gdzie studiował dyrygenturę u Artura Malawskiego oraz kompozycję u Bolesława Szabelskiego; jego kolegą szkolnym i przyjacielem był Wojciech Kilar (mówił, że Szostak był dla niego muzycznym wzorem i mistrzem); zaprzyjaźniony był też ze Zbigniewem Preisnerem, Antonim Wicherkiem. Po studiach został zatrudniony jako asystent dyrygenta w Filharmonii Śląskiej w Katowicach, od 1958 r. pracował na stanowisku dyrygenta Filharmonii Poznańskiej, m.in. akompaniował tu uczestnikom Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego. Nagrywał muzykę na płyty, dla filmu, dla radia i telewizji z wieloma orkiestrami w tym z NOSPR i Sinfonią Varsovią. Został odznaczony m.in. Złotym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria

Artis", w 2018 r. odsłonięto Jego gwiazdę w Alei Sławy na ul. Piotrkowskiej.

Do Łodzi zaprosił Go do pracy – można powiedzieć „ściągnął" właśnie z Poznania – maestro Henryk Czyż, był 1971 rok, pracował na stanowisku z-cy dyrektora ds. artystycznych, także dyrygenta. W filharmonii tej pracował do 1987 r. Ponieważ był znakomitym pedagogiem, uczył dyrygentury i prowadził orkiestrę symfoniczną studencką w Akademii Muzycznej w Łodzi, mimo że nie otworzył przewodu profesorskiego – był i nadal jest określany przez wielu jako profesor.

Śp. Zdzisław do końca życia miał dużo atencji do Poznania i poznaniaków, był tam zresztą podejmowany zawsze bardzo gościnnie, po królewsku, wracał stamtąd zawsze taki szczęśliwy i opowiadał godzinami jak przebiegała kolejna wizyta. Podobnie chętnie jeździł w swoje rodzinne strony, na Śląsk, do Dąbrowy Górniczej na Międzynarodowy Konkurs Muzyczny im. Michała Spisaka. Zasiadał w Komitecie Honorowym konkursu, komponował utwory do II etapu. Był uważnym obserwatorem każdego konkursu ale i śledził później losy laureatów, młodych muzyków solistów grających np. na oboju, rogu, fagocie czy kontrabasie.

Dzieło Jego życia – *Missa Latina*, wybitne, mimo zbieranych pochwał i nagród, mimo kilkukrotnych wykonań, nadal nie zostało nagrane i wydane w formie płyty przez Jego – można rzec – macierzystą łódzką filharmonię, mimo składanych wielokrotnie kolejnych obietnic dyrekcji tej instytucji. Zdzisław nawet doprowadził kilka lat temu do przekazania filharmonii łódzkiej dużej kwoty pieniędzy na ten cel... Maestro czekał do końca życia na to nagranie... Miejmy nadzieję, że muzycy filharmonii łódzkiej, z którymi pracował tyle lat, zjeździli niemal cały świat, dokonali mnóstwa nagrań, których tak cenił i bronił – będą zainteresowani dokonaniem tego nagrania i spełnią ostatnią wolę swojego mistrza.

Pogrzeb Śp. Zdzisława Szostaka miał miejsce 13 września. W Archikatedrze Łódzkiej o godz. 12 zebrały się tłumy łodzian i osób przyjezdnych, rodzina, przyjaciele; szkoda, że zabrakło prezydenta miasta, marszałka województwa i wojewody... Zmarłego żałobną muzyką żegnała Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej w pełnym składzie. Spoczął w grobie, przy żonie, na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej.

Był bardzo wrażliwym i przyjaznym Człowiekiem, mieliśmy to szczęście z małżonką, że obdarzył nas swoją przyjaźnią.

Żegnaj Przyjacielu. Niech aniołowie zawiodą Cię do raju (...), *Requiescat in pace*

– **Wojciech Stanisław Grochowalski**

Najważniejsze to dobrze przeżyć każdy dzień

Ks. Jacek Pleskaczyński SJ, za zasługi w dziedzinie patriotycznego wychowania młodych Polaków i za działalność opozycyjną przeciwko komunistycznemu totalitaryzmowi udekorowany został w lipcu br. przez Jarosława Szarka, prezesa IPN, Krzyżem Wolności i Solidarności, przyznanym mu przez Prezydenta RP. Miesiąc przedtem otrzymał od Prezydenta Krzyż Oficerski Odrodzenia Polski. Zmarł 17 VIII 2019

Księdza Jacka Pleskaczyńskiego poznałem w kwietniu 2010 roku. Był wtedy kapelanem w warszawskim szpitalu MSW przy Wołoskiej. Na prośbę Olgierda Narbutta ksiądz kapelan dopomógł umieścić w szpitalu jego brata Jerzego, wybitnego prozaika, poetę i eseistę, który poważnie zachorował. Ksiądz Jacek, na prośbę chorego, zawiadomił mnie o jego pobycie w szpitalu. Było to 8 kwietnia 2010. Od kilku już lat trochę opiekowałem się Jerzym Narbuttem, wożąc go autem w miarę potrzeb, głównie do lekarzy na wizyty i badania, bo jego zdrowie w tym czasie bardzo się pogarszało.

Od 8 kwietnia począwszy, codziennie byłem u Jerzego w szpitalu, ze zgrozą rozmawialiśmy o katastrofie smoleńskiej, Jerzy natychmiast nazwał ją „drugim Katyniem". Kilkakrotnie też kontaktowałem się z księdzem Jackiem, który także przychodził do nas. Pan Jerzy został podleczony i wypisany ze szpitala. Kilka jeszcze rozmów przeprowadziliśmy z ks. Jackiem, zachodziłem do niego do jezuickiego konwiktu przy Wołoskiej, ale przede wszystkim w rok i miesiąc później, gdy Jerzy Narbutt zmarł (30 maja 2011 roku), doznałem ogromnej pomocy ze strony ks. Jacka, jako organizator pogrzebu pisarza. Dzięki jego wstawiennictwu, proboszcz Sanktuarium św. Andrzeja Boboli (jego parafianami od lat byli Jerzy i Olgierd Narbuttowie) zdecydował, że uroczystości pogrzebowe, z udziałem i wspaniałą homilią ks. biskupa Antoniego Dydycza, przyjaciela braci, nie pociągnęły za sobą żadnych kosztów. Podobnej pomocy doznałem, gdy w rok i 3 miesiące później zmarł w 92 roku życia Olgierd Narbutt.

W następnych latach zabrakło nam chyba tych ludzkich powodów do dalszych spotkań. Charakterystyczne, że nie miałem pojęcia o pracy duszpasterskiej i wychowawczej ks. Jacka, nie mówił nic o tym, charakteryzowała go i po dziś dzień niejako określa jego charakter powściągliwość i skromność. W wywiadzie dla „Naszego Dziennika" dał tego przykład, mówiąc: „Znalezienie się w tym gronie odznaczonych Krzyżem Wolności i Solidarności traktuję też jako dowód uznania dla ludzi, środowisk, z którymi współpracowałem...". Dodał też: „Wiem oczywiście, że wielu wycierpiało znacznie więcej – nawet nie śmiałbym się z nimi porównywać."

Ks. Jacek pochodzi z Lublina, jak sam mówi, wychowywał się w cieniu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, chodził do kościoła uniwersyteckiego, jak przyjeżdżał prymas Wyszyński, to się tam biegało – powiada. Podkreśla formacyjno-ideowy wpływ ks. Prymasa, szczególnie w łączeniu życia duchowego, religijnego z miłością Ojczyzny.

– „Potem w sposób niezrównany – powiedział w cytowanym wywiadzie – pogłębiał to w nas Jan Paweł II. Wydaje mi się, że taki szeregowy ksiądz jak ja miał całą tę teologię przygotowaną i trzeba było tylko do tego się odnosić. I należy odnosić się nadal, skoro wlewają się nam z Zachodu różne nurty, które proponują zupełnie inny styl życia i lekceważenie tego, co było przez całe pokolenia naszym mocnym kręgosłupem. Tego kręgosłupa nadal potrzebujemy i nadal wokół tego powinna toczyć się dzisiejsza aktywność polskich patriotów".

Jak wielu takich jak on – miał wśród najbliższych pewien wzorzec polskiego losu: jego ojciec chrzestny, Henryk Taras, żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, został jeszcze przed zakończeniem wojny skazany na karę śmierci, cały jego oddział postawiono pod ścianą. Pochodzi z rodziny inteligenckiej, gdzie się wiele mówiło o tym, o czym nie pisano w reżimowej prasie, znał historię najnowszą od dziecka. Ziarno prymasowskiego nauczania padło na spulchnioną już glebę.

„Chrzest" polityczny nastąpił w 1968 roku, miał wtedy 20 lat, studiował na Politechnice Wrocławskiej i jednocześnie pracował, najpierw jako robotnik, a później na wyższym stanowisku w kierownictwie produkcji; zaczęło się rozprowadzanie ulotek, pierwsza styczność z SB, jak mówi – przyglądali mu się. Po drugim roku przerywa studia na PW i idzie na Akademię Teologii Katolickiej, na filozofię. Jednocześnie pasjonuje się lekturą historii zakonu jezuitów, napisaną przez anglikańskiego dziennikarza, lecz w sposób nadzwyczaj rzetelny. To ta książka – jak zaznacza – zadecydowała o jego wstąpieniu do tego zakonu.

Jako duchowny nie ma poczucia pełnienia jakiejś szczególnej misji. Jako zakonnik posłuszny jest przełożonym.

Zastanawiając się nad wyborem swojej drogi, doszedł do wniosku, że na podjęcie pracy naukowej już jest za późno – więc po prostu zajął się pracą duszpasterską; wśród studentów, w kręgach inteligenckich, środowiskach artystycznych, dla chorych w szpitalu (jako kapelan). A w latach 90. – jako kapelan więźniów, chętnie szedł tam, gdzie nikt nie chciał iść. W ten sposób trafił na oddział więźniów nosicieli wirusa HIV. Nie widzi w tym niczego nadzwyczajnego, akcentuje, że nie trzeba tu było jakichś specjalnych kwalifikacji duszpasterskich, wystarczyły te, które przez lata osiągnął. Warto było natomiast pobudzać zainteresowania więźniów dziejami tego miejsca, w jakim przebywali, dziejami tragicznymi, dziejami torturowanych tu i mordowanych polskich patriotów. Udało mu się zainteresować grupę więźniów tymi sprawami, przynosił im stosowne lektury, rozmawiali o tej historii.

I było rzeczą naturalną, że gdy w dawnym zakładzie karnym na Rakowieckiej utworzono Muzeum Żołnierzy Wyklętych, ks. Jacek został jego kapelanem. Zorganizował

kaplicę z pełnym wyposażeniem, ze sprzętem liturgicznym – meble, ołtarz, ambona, naczynia i szaty liturgiczne. Raz na miesiąc jest tam odprawiana Msza Święta.

Kiedy sięga myślą w przeszłość, to najbardziej dumny jest z tego, że w 30 dni po porwaniu i zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki (którego ani osobiście, ani z Mszy za Ojczyznę w ogóle nie znał, bo w tych latach był w Lublinie) zainicjował utworzenie komitetu budowy pomnika w Górsku, miejscu porwania. A było to tak. Grupa ludzi chciała postawić w tym miejscu krzyż i nawet myśleli o tym, by starać się u władz o pozwolenie. – „Gdy się o tym dowiedziałem, złapałem się za głowę, zdałem sobie sprawę, że gdy stanie tam krzyż, to o pomniku już nie będzie mogło być mowy" – mówi. Ks. Jacek. Podczas odprawianej przez siebie Mszy Świętej ogłosił, że będzie powołany komitet budowy pomnika, a także zbiórka pieniędzy. Wtedy chodziło o to, by stworzyć taki fakt, zauważalny. – „Nie brałem pod uwagę realności w wiadomej sytuacji politycznej" – przyznaje. Pomnik powstał dopiero w 2000 roku, ale wówczas, w tym czarnym roku 1984 sama inicjatywa miała swoją społeczną wymowę.

Wcale nie jestem zdziwiony, poznawszy teraz bliżej ks. Jacka, gdy na pytanie, co uważa za najważniejsze w życiu, odrzekł: – „Dobrze przeżyć każdy dzień."

Jerzy BIERNACKI

Fot. arch. IPN

„Nie wszystek umarłeś“ – słowo o Stanisławie Dybowskim...

25 marca 2019 zmarł w Warszawie Stanisław Dybowski, wybitny polski muzykolog i publicysta muzyczny – człowiek ogromnej wiedzy i wielu pasji...

Jego odejście było dla nas wszystkich wielkim zaskoczeniem. Pełen wiary, swoiście przez siebie rozumianego optymizmu (bo dla wielu z nas był jednak, przynajmniej zewnętrznie, raczej pesymistą), zawsze pochłonięty pracą, wciąż czekający na wydanie swoich książek, jakby przy okazji tylko wpadający – w tym natłoku zajęć – na koncerty, które dobierał wedle sobie tylko znanego klucza. Ale był, siedział koło nas, raczej zamknięty, milczący, raczej ostrożny wobec obcych, czasem tylko żywiej reagujący, zazwyczaj spektakularnie wtedy. Siedział sobie, słuchał – zawsze z nieodłącznym długopisem. Notował nawet godziny rozpoczęcia i zakończenia utworów, co dziś doskonale rozumiem, sam to niekiedy robię, wzorem Staszka oczywiście. Nie zawsze zdążam – on zdążał. Efekty jego notatek, spostrzeżeń znajdowaliśmy potem w jego publikacjach, w pisanych recenzjach, mówionych w radiu i telewizji, ale i w książkach, które zawsze miały charakter osobisty, bo zawsze wyrażały jego myśli. Dziś zatem, śmiało możemy powiedzieć, że jako twórca, autor książek, monografii wielkich artystów, słowników poświęconych artystom, konkursom chopinowskim, wydawca płyt – Stanisław nie wszystek umarł... Zostawił po sobie wielki, wspaniały owoc, tej żmudnej, codziennej, wielodziesięcioletniej pracy, owoc, który konsumujemy każdego dnia, a Jego płyty od lat znajdują się na półkach kolekcjonerów największych pianistycznych rarytasów na całym świecie. To nie stało się przypadkowo, świadom celów, potrafił całe swoje życie systemowo wręcz zorganizować. Tytaniczna praca stała się pomysłem na jego życie, poświęcił jej wszystko, pracował bez wytchnienia, bez urlopów czy jakichś weekendów. Pamiętam jak prawie po ojcowsku przestrzegał mnie: *Adasiu, nie trać czasu na przyziemne sprawy – pracuj! Nie pytaj o pieniądze ! Życie się kończy w parę chwil – rób wszystko, żebyś coś po sobie zostawił, żeby Twoje życie nie poszło na marne...* Raczej bezskutecznie radził to nam, ale za to sam z wielką dyscypliną stosował się do tych słusznych skądinąd zaleceń, doskonale wiedząc, że bez ciężkiej, mozolnej, mrówczej wręcz pracy – nie będzie owoców, że nic samo się nie urodzi. Kto wie czy nie dzieło jego życia (*F. Liszt – przyjaciel Polski i Polaków*), nad którym pracował tyle lat, które tak długo nie mogło doczekać się publikacji, w przeddzień ostatniego już pójścia do szpitala – znalazło się w księgarniach! To było symboliczne ukoronowanie jego zawodowego życia, piękne zwycięstwo jego pracowitości!

Treścią, glebą jego całego, nie tylko zawodowego życia była muzyka – jak najszerzej rozumiana. Zawsze pierwszy był fortepian i muzyka pisana na ten instrument, zawsze ważne były nuty i książki. Były jeszcze niezmierzone regały płyt, zarówno tych czarnych jak i kompaktowych. Wszystkie półki sam sobie projektował i wykonywał, bo wszystko potrafił zrobić sam, nb. służył też w tym względzie pomocą swoim przyjaciołom. Gros jego czasu wypełniało słuchanie muzyki – poznał tysiące wykonań i interpretacji. Godzinami przesiadywał też w bibliotekach, archiwach i czytelniach, zgłębiając

FOTO Z ARCHIWUM RODZINNEGO

wiedzę choćby z zakresu bogatego i intensywnego życia muzycznego dawnej Polski, w końcu przy biurku, gdzie przelewał na papier, zdobywaną przez całe swoje życie wiedzę. Koncerty, ale i konkursy, festiwale, tak w kraju jak i za granicą, były dla niego li tylko źródłem wiedzy, a nie celebracją czy zewnętrznym blichtrem, który zawsze był mu obcy. Dyskretnie zbierał to, co potem stawało się fundamentem jego celnych i cennych myśli, tych najcenniejszych, bo osobistych – opinii.

Skromność i pokora były dla niego najważniejsze, a wzorem byli dla niego dwaj nasi najwięksi mistrzowie sztuki muzycznej: Chopin i Paderewski. Wielcy ale zawsze skromni, zawsze oddani, szlachetni i dobrzy. Oni byli też dla niego patriotycznymi drogowskazami. Kto wie czy nie dzięki nim do spraw Ojczyzny podchodził z wielką miłością i z szacunkiem, a do artystów - z największą życzliwością. Co tu ważne, poprzez publiczną działalność, poprzez popularyzację ich zachowań, ich najwyższych wartości, ci wielcy stawali się i naszymi ideałami. To on przecież całe swoje zawodowe życie, zabierając nas na muzyczny Olimp, na artystyczny Parnas, wskazywał nam tych Najlepszych, Niezrównanych. Uczył nas dobrego smaku, gustu, świadomości najwyższych wartości, za co należą mu się wielkie słowa podzięki...

Nie było chyba dziełem przypadku, że trumna z ciałem Stanisława Dybowskiego, 25 marca br. znalazła się w kościele Sióstr Wizytek, w którym 194 lata temu grał co niedzielę na organach Fryderyk Chopin. Żegnał się z nami w tej samej przestrzeni, którą brzmieniowo wypełniał kiedyś Genialny Mistrz Fryderyk Franciszek! Wielki Jan Sebastian Bach, w rubryce uprawiany zawód, z wrodzoną sobie pokorą i skromnością wpisywał, że pracował w służbie muzyki. Jestem pewien, że i Stanisław mógłby być upoważniony do podobnego wpisu.

Dziękujemy mu dziś, przede wszystkim, za służbę muzyce polskiej, służbę, która nie znosiła żadnych kompromisów, a naszej rodzimej muzyce Stanisław Dybowski był wierny przez całe swoje życie, życie niełatwe, ale piękne, ciekawe, bogate i twórcze...

Tekst opracowany na podstawie słowa wygłoszonego przez jego autora, Adama Rozlacha, na prośbę najbliższej Rodziny, przy trumnie ś.p. Stanisława Dybowskiego, w kościele sióstr Wizytek w Warszawie, 29 marca 2019 r.

Stanisław Dybowski (**1946**–**2019**), wybitny polski muzykolog i publicysta muzyczny, człowiek ogromnej wiedzy i wielu pasji, z których największą stanowiła muzyka polska. Był jej niestrudzonym popularyzatorem, autorem licznych prac i audycji poświęconych naszej kulturze muzycznej. Przez wiele lat propagował twórczość polskich kompozytorów, m.in. Karola Lipińskiego, Franciszka Lessla, Mikołaja Gomółki, Stanisława Moniuszki, Józefa Wieniawskiego, Aleksandra Michałowskiego, Józefa Hofmana, Juliusza Zarębskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Raula Koczalskiego, Karola Mikulego, Ignacego Friedmana, Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego. Upowszechniał też wiedzę o polskich pianistach.

Naukę muzyki rozpoczął we wczesnych latach życia, ucząc się początkowo gry na fortepianie (u Wandy Bosackiej, Marii Zbijewskiej, Natalii Hornowskiej i Kajetana Mochtaka), a później, w średniej szkole muzycznej, także na organach (w klasie Stanisława Możdżonka i Feliksa Rączkowskiego) oraz na wydziale teorii muzyki. W latach 1968–1972 studiował muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim.

W 1978 r. uzyskał tytuł magistra na podstawie pracy pt. Pianistyka Franciszka Liszta. Od 1972 r. pracował w Towarzystwie im. Fryderyka Chopina, a w latach 1978–1993 w Przedsiębiorstwie Nagrań Wideo-Fonicznych WIFON. Był członkiem-założycielem Towarzystwa im. Ferenca Liszta we Wrocławiu i członkiem Towarzystwa Muzycznego im. Ignacego Jana Paderewskiego w Bydgoszczy. Współtworzył Międzynarodowe Konkursy Płytowe *Grand Prix du Disque Frédéric Chopin*. Jego zainteresowania naukowe koncentrowały się na historii muzyki. Interesował się także historią fonografii oraz historią wykonawstwa muzycznego.

W 1991 r. założył Przedsiębiorstwo Muzyczne SELENE, które wydawało płyty (w tym rzadkie i cenne nagrania polskich i zagranicznych pianistów) oraz książki. Był pomysłodawcą i organizatorem wielu przedsięwzięć muzycznych i wydawniczych, m.in. unikatowego polskiego wydania płytowego wszystkich utworów organowych Jana Sebastiana Bacha w wykonaniu Karola Gołębiowskiego, a także wszystkich fortepianowych dzieł Ignacego Jana Paderewskiego w interpretacjach Karola Radziwonowicza. W Selene Records zajmował się również reżyserią dźwięku.

W bezcennych z historycznego punktu widzenia i niedostępnych dotąd na płytowym rynku, dźwiękowych rejestracjach, ukazał światu grę polskich wirtuozów: Ignacego Jana Paderewskiego, Ignacego Friedmana, Maurycego Rosenthala, Józefa Hofmana, Raula Koczalskiego, Aleksandra Michałowskiego...

Od roku 1970 opublikował w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach blisko 2000 tekstów poświęconych muzyce, w tym recenzji, felietonów, tekstów publicystycznych m.in. w „Słowie Powszechnym”, „Ruchu Muzycznym”, „Kierunkach”, „Studiu”, „Naszym Dzienniku”, „Naszym Głosie”, „Muzyce 21”, „Twojej Muzie”. Od roku 1971 pisał omówienia do programów koncertów odbywających się w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Wielokrotnie prowadził prelekcje przed piątkowymi filharmonicznymi koncertami symfonicznymi. Był autorem omówienia repertuaru płyty serii *Polish Music* z dziełami Młynarskiego, Weinberga i Pendereckiego, wydanej przez Filharmonię Narodową (2018).

Napisał kilka książek, ogłosił drukiem wiele publikacji naukowych i popularnonaukowych. Materiały do swych prac gromadził przez wiele lat. Tak powstawały jego monografie: *Franciszek Liszt* (1986), *Raul Koczalski. Chopinista i kompozytor* (1998), biografie – *Raul Koczalski* (2001), Aleksander Michałowski. Rzecz o wielkim chopiniście i muzycznej Warszawie jego czasów (2005), *Halina Czerny-Stefańska – epizody z życia chopinistki* (2006). Tak też tworzył swe pomnikowe dzieła. Pierwszym jest *Słownik pianistów polskich* (2003), nieoceniona kopalnia informacji pozwalających usunąć tysiące białych plam z historii polskiej pianistyki. Drugim opus magnum jest księga *Laureaci Konkursów Chopinowskich w Warszawie* (2010), ukazująca elitę światowej pianistyki wypromowaną przez owe konkursy w latach 1927–2005. Autor związany był z warszawskimi konkursami chopinowskimi (od 1975) nie tylko jako ich historyk, lecz także jako komentator i recenzent.

Ukończona w roku 2019 biografia dla Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina *Ignacy Feliks Dobrzyński. Zdolność niepospolita, tęgi kompozytor*, oczekuje na publikację. W niedokończonym rękopisie pozostała ostatnia książka autora, opisująca życie i twórczość Witolda Maliszewskiego.

Był autorem lub współautorem około tysiąca audycji muzycznych na antenach Polskiego Radia, nieco później Polskiego Radia Chopin oraz programów Telewizji Polskiej i TVP Kultura. Dużym zainteresowaniem cieszyły się cykle audycji prezentowanych w Programie 2 Polskiego Radia m.in. *Antologia sonaty fortepianowej*, *Wielcy wykonawcy, Rachmaninow, Grają uczniowie Liszta, „Wykonawcy polscy“...*

Materiał biograficzny Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina, opublikowany 22 sierpnia 2019 r. w programie koncertu symfonicznego 15. Międzynarodowego Festiwalu „Chopin i jego Europa“, koncertu dedykowanego pamięci Stanisława Dybowskiego ■

Katyń... ocalić od zapomnienia

80. rocznica zbrodni katyńskiej – dąb katyński por. Grohmana

Zbrodnią katyńską nazywamy umownie masowe egzekucje popełnione przez NKWD przez rozstrzelanie wiosną 1940 roku co najmniej 21 768 obywateli Polski (w tym ponad 10 tys. oficerów Wojska Polskiego i Policji Państwowej), na mocy decyzji najwyższych władz ZSRR zawartej w tajnej uchwale Biura Politycznego KC WKP z 5 marca 1940 roku (tzw. „decyzja katyńska"). Egzekucji ofiar, uznanych za „wrogów władzy sowieckiej", NKWD dokonywało przez strzał w tył głowy z broni krótkiej. Zbrodnię tę kwalifikuje się jako wojenną, przeciwko ludzkości, przeciwko pokojowi, komunistyczną i ludobójstwa.

Po agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku, w niewoli sowieckiej znalazło się około 250.000 polskich jeńców, w tym ponad 10.000 oficerów. Władze sowieckie zwalniały cześć jeńców-szeregowców i tworzyły jednocześnie obozy jenieckie „oficerskie" w Starobielsku i Kozielsku oraz obóz w Ostaszkowie dla funkcjonariuszy policji, KOP i więziennictwa. Wśród uwięzionych znajdowała się duża grupa oficerów rezerwy, powołanych do wojska przed wybuchem wojny. Był to kwiat polskiej inteligencji: lekarze, prawnicy, nauczyciele szkolni i akademiccy, przedsiębiorcy, inżynierowie, literaci, dziennikarze, działacze społeczni, urzędnicy państwowi, samorządowi, ziemianie i kapelani różnych wyznań.

W nocy z 12 na 13 kwietnia, kiedy NKWD mordowało polskich jeńców i więźniów, ich rodziny stały się ofiarami masowej deportacji w głąb ZSRS, w tym najwięcej do Kazachstanu, łącznie zesłano 61.000 obywateli polskich. Zginęła polska elita, oczywiste jądro antykomunizmu, które pozostałoby w powojennej Polsce i uczyniłoby Polskę znacznie trudniejszą do opanowania przez ZSRR. Byli oni przeszkodą, którą trzeba było usunąć i która została usunięta siłą.

Odkrycia pochówku 10.000 oficerów dokonali już w 1941 roku polscy przymusowi robotnicy. Wiosną 1943 roku miejscowa ludność wskazała masowe groby żołnierzom Wermachtu, którzy opanowali te tereny ZSRR posuwając się z ofensywą na Wschód. Władze niemieckie od razu nagłośniły sprawę wykorzystując ją w celach propagandowych, by zdyskwalifikować ZSRR jako alianta Zachodu. W odpowiedzi Stalin stanowczo zaprzeczył sprawstwu. Niemcy utworzyli zatem Międzynarodową Komisję Lekarską (MKL) złożoną z 12 ekspertów z krajów zależnych od III Rzeszy i 1 eksperta ze Szwajcarii. Tym szwajcarskim ekspertem był Dziekan Wydziału Medycyny Sądowej Uniwersytetu w Genewie, profesor François Naville. Po zbadaniu i ekshumacji ciał, po przeprowadzeniu wywiadów ze świadkami oraz przeczytaniu dokumentów znalezionych przy zamordowanych, 13 członków komisji jednogłośnie podpisało raport, w którym przyznało i wskazało na sprawstwo sowietów.

Prof. François Naville – życie poświęcone prawdzie

Raport i nieugięta postawa w głoszeniu poznanej prawdy kosztowały profesora Navilla kolejne 40 lat życia w cieniu Katynia. Prześladowany w Radzie Genewskiej przez komunistę Jean Vincenta, który zarzucił mu kolaborację z Niemcami, nigdy nie wycofał swojego podpisu spod raportu niemieckiej komisji. Swoje ustalenia powtórzył przed amerykańską komisją senacką w 1953, która go przesłuchiwała we Frankfurcie nad Menem. Do końca życia zbierał dokumenty dotyczące Katynia, a po jego śmierci, jego archiwa dotyczące Katynia, jego wnuk, profesor prawa pracy Gabriel Aubert, przekazał do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Profesor François Naville został odznaczony pośmiertnie, w 2007 roku przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za wybitne zasługi w odkrywaniu i dokumentowaniu prawdy o zbrodni katyńskiej. Losy Polski i Szwajcarii się splatają.

Tablica ku czci por. Karola Emanuela Grohmana

Prof. François Naville odpowiedział rzeczowo na oskarżenia podniesione przeciwko niemu w 1946 roku przed Wielką Radą Genewską, posądzenia finansowe i inne. Oto co napisał:

– „Od nikogo nie domagałem się – ani też nie dostałem – żadnych prezentów, złota, srebra, nagród, żadnych korzyści, żadnych obietnic... Gdy dany kraj jest atakowany z obu stron przez potężnych sąsiadów, gdy dowiaduję się, że 10.000 oficerów jego armii zostało zamordowanych, kiedy jedynym ich przewinieniem była walka o ojczyznę, gdy ów kraj stara się na wszystkie sposoby wyjaśnić okoliczności tej zbrodni, domaganie się jakiegoś wynagrodzenia za to, że się pojechało na miejsce w poszukiwaniu prawdy o tych wyjątkowo ohydnych faktach niemających nic wspólnego z «normalnie przyjętymi» praktykami w warunkach wojny – byłoby po prostu nieludzkie.

My, lekarze sądowi, powinniśmy w takich okolicznościach służyć Prawdzie, niezależnie od krytyk i wrogiego nastawienia tych, którzy próbują przekręcać naszą ekspertyzę i podważać naszą niezawisłość. Nasza dewizą powinna być ta, którą czytamy niekiedy na grobowcach: *vitam impendere vero* – prawdzie poświecił swe życie"[1].

Historia przyznała mu rację, gdy władze ZSRR, zaprzeczające przez 50 lat swojej odpowiedzialności za zbrodnię katyńską, 13 kwietnia 1990 roku oficjalnie przyznały, że była to „jedna z ciężkich zbrodni stalinizmu". Wiele kwestii związanych z tą zbrodnią nie zostało jak dotąd wyjaśnionych, ale otwarcie archiwów sowieckich pozwoliło dojść prawdy. Zbrodnia katyńska przez dziesiątki lat była tematem zakazanym, wypartym, przemilczanym. Zakłamana wersja wydarzeń, jakoby sprawcami jej byli Niemcy, była jednym z kamieni węgielnych „kłamstwa założycielskiego" Polski Ludowej (dr Piotr Łysakowski). Za rozpowszechnianie wiedzy „o Katyniu" i posiadanie książek o zbrodni można było iść do więzienia. Głośna była sprawa „kradzieży przez nieznanych sprawców" pomnika katyńskiego wystawionego „nielegalnie" na Powązkach, w Dolince Katyńskiej w 1981 roku. W rodzinach mówiono o tym po cichu.

Dąb pamięci

Podążając za mottem profesora François Navilla, który nie bał się głosić tak trudnej prawdy dotyczącej zbrodni na naszym narodzie, Polskie Stowarzyszenie w Lozannie postanowiło włączyć się w projekt prowadzony przez Stowarzyszenie Parafiada im. św. Józefa Kalasancjusza w Warszawie. Na stronie internetowej www.katyn-pamietam.pl stowarzyszenie to publikuje listę 22 tysięcy nazwisk i imion pomordowanych Polaków w Katyniu, Charkowie, Twerze, Bykowni... Polacy na całym świecie mogą wybrać sobie osobę z tej listy i posadzić jej w przestrzeni publicznej dąb oraz umieścić tabliczkę informacyjną z imieniem i nazwiskiem bohatera. Jeden dąb – jedno nazwisko. Dąb, drzewo które rośnie stulecia, będzie świadczył żywo na wiele pokoleń o prawdzie, która miała być przemilczana, zapomniana. W ten łańcuch włączyło się dotychczas 3.000 osób i podmiotów na całym świecie, sadząc do tej pory 4.986 dębów. Dwa z nich rosną w Szwajcarii, w Bernie i Genewie. Kolejny zostanie posadzony 4 kwietnia 2020 roku w Lozannie.

Dąb, którego liście będą szumiały i rzucały cień w parku lozańskim, stworzonym na miejscu dawnego cmentarza la Calvarie (jakże to wymowne...), pozostanie trwałym śladem po naszym Rodaku na ziemi szwajcarskiej, na terenie której przebywał i kształcił się, a jego stryj organizował zalążek polskiej państwowości.

Grohmanowie

Ppor. rez. Karol Emanuel Grohman, którego dąb posadzony zostanie w Lozannie – ku jego czci i pamięci – pochodził z Łodzi, ze spolszczonej niemieckiej rodziny Grohmanów. Rodzina ta uważana jest za ojców założycieli miasta fabrycznego, do którego trafiła w połowie XIX wieku i szybko zintegrowała z polskim społeczeństwem przyjmując polską tożsamość. Protoplasta rodu wybudował przędzalnię, dorobił się ogromnego majątku i był bardzo cenionym pracodawcą. Jego następca, Ludwik Grohman, a dziadek naszego bohatera Karola Grohmana, nie tylko kontynuował dzieło swego ojca, ale też zajmował ważne funkcje we władzach miejskich, był prężny w bankowości, w dziełach charytatywnych i architektonicznych. Zbudował potęgę rodu. Jego synowie kontynuowali dzieło ojca. Jeden z nich, Henryk Grohman, był wybitnym kolekcjonerem i mecenasem sztuki, ojcem duchowym artystów tak modnej na początku XX wieku secesji. Swoje zbiory grafik przekazał państwu polskiemu, co stanowi perłę narodowej kolekcji, znajdują się w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego w Gabinecie Rycin.

Karol Emanuel Grohman (1897-1940), ochotnik na wojnę bolszewicką 1920 r., foto z arch. rodziny Grohmanów, p. Elżbiety Skotnickiej

Podczas I wojny światowej, Henryk Grohman tworzył w Lozannie z Ignacym Paderewskim, Henrykiem Sienkiewiczem, Maurycym Zamoyskim i innymi Komitet Narodowy Polski, zaczątek rządu polskiego na emigracji. Po wojnie, w niepodległej już Polsce, sprawował bardzo ważne funkcje w biznesie, był senatorem. Założył Łódzkie Towarzystwo Muzyczne w Łodzi. W jego salonie w Łodzi grywali Ignacy Paderewski i młody Artur Rubinstein. Miasto Łódź nazwało jedną z ulic Aleją Rodziny Grohmanów.

Grohmanowie byli ludźmi wybitnymi; fabrykanci, którzy nie budowali jedynie swojej potęgi dla siebie, ale umieli dzielić się swoim zamiłowaniem do sztuki, do muzyki. Służyli Polsce i po 1918 r., gdy podnosiła się z niewoli po 123 latach. Ponieważ podczas drugiej wojny światowej odmówili przyjęcia niemieckiego obywatelstwa (volkslisty), musieli opuścić swoje ukochane miasto Łódź, by uniknąć śmierci. Ich siedzibę przejęło niemieckie NSDAP.

Podporucznik rezerwy Wojska Polskiego Karol Grohman był bratankiem Henryka Grohmana. W latach 1915-1919 studiował na uniwersytecie w Lozannie elektrotechnikę. Zmarł bezpotomnie w wieku 43 lat, zabity strzałem w tył głowy w Katyniu. Łódzcy Niemcy chcieli go wyciągnąć z niewoli sowieckiej – jak wielu innym pomogli uniknąć śmierci (pamiętamy pakt Ribentrop-Mołotow), ale nie zgodził się, został z polskimi kolegami. Pośmiertnie awansowany na por. rez. przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Karol Emanuel Grohman... Ocalony od zapomnienia.

Joanna KONDRACKA, LOZANNA

[1] List François Naville z 24 września 1946, Revue Université de Genève, Campus no 88, tłumaczenie François Rosset.

Wystawa o Armii Polskiej w Ameryce

Obóz Kościuszko w Niagara-on-the-Lake, 1917–1919

Zachęcamy do poznania pięknej historii o Armii Polskiej w Ameryce. Poniższy artykuł jest tylko wywołaniem tematu, przybliżeniem wystawy, ale i poleca ją ewentualnym kolejnym zainteresowanym miastom.

Otóż od 2017 r. pokazywana jest w Polsce wystawa o Armii Polskiej w Ameryce, pełny jej tytuł brzmi: „W drodze do niepodległości, kanadyjski przystanek – Obóz Kościuszko w Niagara-on-the-Lake, 1917–1919". Jest to wystawa o wielkim czynie niepodległościowym Polonii amerykańskiej, o wielkiej sprawie, która łączy Polskę, Stany Zjednoczone, Kanadę i Francję. Ochotnicy polonijni przeszkoleni wojskowo w miasteczku Niagara-on-the-Lake (pogranicze Kanady i Stanów Zjednoczonych) przybywali statkami do Francji i wchodzili w skład Armii Polskiej we Francji, tzw. Błękitnej Armii. W 1919 r. przybyli z generałem Hallerem do Polski, walczyli także w wojnie polsko-ukraińskiej i polsko-radzieckiej. Szerzej o wystawie pisaliśmy na str. 3 w gazecie nr 69/2018, www.kulturaibiznes.pl.

Od 2019 r. wystawę „objazdowo" organizuje Fundacja Kultury i Biznesu (FKiB), przy wsparciu finansowym Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce Okręg nr 2 w Nowym Jorku. Jego komendantem jest Antoni Chrościelewski, żołnierz gen. Andersa, uczestnik bitwy o Monte Cassino.

Miejsca wystaw

Prezentowana jest w ośrodkach akademickich, centrach kultury, bibliotekach, galeriach, muzeach miejskich, kościołach, szkołach i na uczelniach.

Wystawa została zaprojektowana i wykonana (prawie 120 obiektów, najwięcej zdjęć z okresu organizacji tej armii w Kanadzie) przez dr Anittę Maksymowicz z Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Autorka przybywa na otwarcia wystawy w kolejnych miastach i wygłasza prelekcję. Gości wernisażu zawsze wita gospodarz miejsca, zaś wystawę otwiera (mówi kilka słów o niej i zapowiada prelekcję autorki) koordynator i organizator wystaw w Polsce, prezes FKiB Wojciech Stanisław Grochowalski. W 2019 r. wystawa była prezentowana: w marcu i kwietniu w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego; w maju w Piotrkowie Tryb., w filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego; w czerwcu w Bibliotece Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; w lipcu i sierpniu w Centrum Informacji Turystycznej w Łebie; we wrześniu w Centrum Spotkania Kultur w Lublinie; październik–grudzień na Kopcu Kościuszki w Krakowie.

Pod koniec grudnia wystawę zdemontowano i przewieziono do Zakopanego (otwarcie 12 stycznia 2020 r.). Przez dwa miesiące wystawę obejrzą koloniści i turyści na feriach zimowych. Pod Tatrami wystawa będzie prezentowana w Sanktuarium Najświętszej Rodziny przy ul. Krupówki 1a, w sali teatralnej, gospodarzem miejsca jest proboszcz, ks. dziekan Bogusław Filipiak. Krupówki są centrum Zakopanego, miejscem, gdzie wszyscy bywają, wszak ważność tematu wystawy, zaangażowanie dużych środków i ogromnej pracy, wielkość wystawy i jej wysoki poziom merytoryczny i graficzny wymagają, by wystawa była pokazywana w centralnych miejscach miast. *Noblesse oblige*. W parafii tej rezyduje poprzedni – pracujący tu ponad dwadzieścia lat – proboszcz ks. Stanisław Olszówka, zasłużony i honorowy obywatel Zakopanego, wyświęcony na księdza przez kardynała Karola Wojtyłę, późniejszego papieża.

Wystawa w Krakowie miała trwać dwa miesiące, była wystawiona w bastionie fortu na Kopcu Kościuszki, gdzie jest siedziba Komitetu Kopca Kościuszki. Z uwagi na duże zainteresowanie wystawa została przedłużona do końca grudnia. Gwoli przypomnienia, Kopiec Polacy usypali w latach 1820–1823, a w latach 1850–1856 Austriacy zbudowali wokół niego fort nr 2 twierdzy Kraków. Jest to bardzo ładnie zagospodarowywane i odnawiane miejsce, Komitet Kopca Kościuszki w Krakowie ustanowiono w 1820 r., obecnym jego prezesem jest prof. dr hab. Mieczysław Rokosz.

O wystawie to i owo

W 2020 r. wernisaże wystaw zostaną wzbogacone o film dokumentalny z 1927 r. pt. „Z wycieczki Stowarzyszenia Weteranów do Polski". Otóż gdy żołnierze tej armii wrócili po wojnie bolszewickiej do Ameryki, byli weteranami I wojny w Europie pozostawionymi samym sobie, założyli w 1921 r. Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, działające do dziś! I właśnie w 1927 r. przypłynęli do kraju na wycieczkę. Kamera towarzyszy weteranom i ich rodzinom w objeździe Polski (pociągiem) od przybycia statkiem do Gdyni. Pokazane są piękne, unikatowe, historyczne zdjęcia z: Gdyni, Gniezna, Poznania, Częstochowy, Katowic, Krakowa, Zakopanego, Marcinkowic, Nowego Sącza, Borysławia, Lwowa, Równego, Wilna, Warszawy, Wilanowa, Radzymina i Łodzi. Są defilady wojskowe, widać pola Mazowsza, Wołynia i Polesia, ukazano wiele historycznych postaci, w tym gen. Józefa Hallera i gen. Mariusza Zaruskiego, powstańców styczniowych, witających weteranów w Warszawie, organizatora Obozu Kościuszko płka Teofila Starzyńskiego. Film pochodzi z archiwum SWAP, rekonstrukcję kopii wykonała Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny, film trwa 84 minuty i w 2020 r. ukaże się na płycie DVD wydanej przez IPN.

Wszędzie gdzie wystawa gości, jest szeroko promowana i reklamowana w mieście, powiecie i województwie. Organizator drukuje w dużym nakładzie kolorowe plakaty i plakatuje miasto, są foldery z tekstem w trzech wersjach językowych (zawsze wysyłane do ambasad, konsulów, firm i biur zagranicznych), zaproszenia, zamawia się spoty reklamowe w mediach. Foldery rozkładane są w całym mieście wystawy, w urzędach, szkołach i uczelniach, miejscach kultury, także w kościołach; służą też za swoisty mały informator-przewodnik po wystawie, stale są wykładane przy niej. Chętnie przybywają na wernisaże wystawy lokalni włodarze, parlamentarzyści, oficerowie Wojska Polskiego, artyści, profesorowie, politycy, dziennikarze lokalnych mediów; relacje ukazują się także na stronach internetowych fundacji, SWAP, lokalnych mediów, urzędów i innych instytucji. Informacje o niej pojawiają się na stronach internetowych rozgłośni i telewizji lokalnych, plakaty i foldery wysyłane są też w pakiecie do kilkudziesięciu szkół podstawowych i średnich (zawodowych, liceów, techników) w danym mieście i powiecie oraz powiatach ościennych, także do gmin wiejskich – zapraszając na wystawę.

Organizator rozsyła informacje o wystawie przez cały czas jej trwania, przyjeżdża na nią, oprowadza i opowiada zwiedzającym o Armii Polskiej w Ameryce.

Bardzo często na wystawę przychodzą potomkowie żołnierzy „Błękitnej Armii", hallerczyków, przynoszą nawet jakieś zdjęcia rodzinne i opowiadają ze wzruszeniem o tamtym czynie niepodległościowym. Są wdzięczni, że taka wystawa powstała i objeżdża Polskę, od Tatr po Bałtyk, głosząc czyn polskiego polonijnego żołnierza z Ameryki.

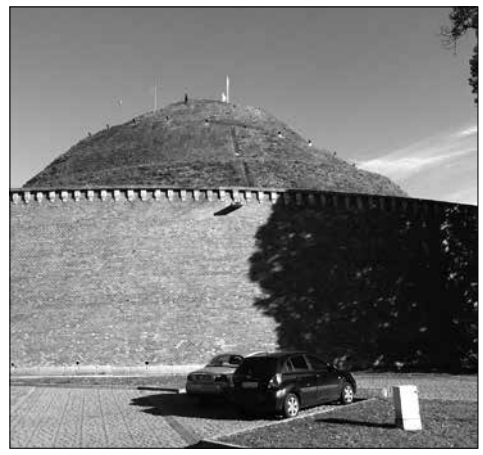

Kraków, Kopiec Kościuszki

Kraków, Centrum Wystawowo-Konferencyjne im. Tadeusza Kościuszki pod Kopcem Kościuszki, 3 X 2019, w środku (z bródką) prof. Mieczysław Rokosz

Kielce, biblioteka Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, od prawej: dr Anitta Maksymowicz, prorektor UJK dr hab. Monika Szpringer, poseł na Sejm RP Marek Kwitek, Wojciech S. Grochowalski, dyr. biblioteki Andrzej Antoniak

Kolejnym miastem po Zakopanem, gdzie zagości wystawa, informując o czynie niepodległościowym Polonii i mało jeszcze znanej Polakom Armii Polskiej w Ameryce, będzie Bolesławiec. Jest to piękne, o średniowiecznym piastowskim rodowodzie miasto na Dolnym Śląsku, miasto powiatowe, liczy około 43 000 mieszkańców. Bolesławiec został wybrany z kilku powodów, po dość dokładnym rozeznaniu miast Dolnego Śląska zainteresowanych wystawą – łącznie z Wrocławiem. W Bolesławcu jest przyjazna i życzliwa przedsięwzięciu (wystawie) władza lokalna, tj. prezydent miasta i starosta, otrzymamy do wyboru prawdopodobnie bezpłatnie w ramach współpracy nawet dwa miejskie obiekty (m.in. Bolesławiecki Ośrodek Kultury – Międzynarodowe Centrum Ceramiki); w mieście i okolicy jest dużo jednostek wojskowych – w tym wojska amerykańskie, wszyscy zostaną zaproszeni na wystawę.

Indianin Siuks w Armii Polskiej

Pani dr Maksymowicz opowiada podczas prezentacji wystawy o pewnym Indianinie z plemienia Siuksów, który zjawił się w Nowym Jorku bodajże już w 1917 r. w punkcie werbunkowym dla ochotników do Obozu Kościuszko, pragnąc zaciągnąć się na wojnę. Nazywał się Jack Wheelbarrow. Pytany, dlaczego chce być polskim żołnierzem, czy wie co to za wojsko, zniechęcany wręcz, odparł, że doskonale wie! Wie, że chodzi o armię Polską, zna polską historię i dążenia do niepodległości, chce walczyć za niepodległość Polski, chce spłacić dług Indian wobec Tadeusza Kościuszki, który bronił ich sprawy u prezydentów i dowódców amerykańskich, bronił ich praw.

Został przyjęty, umundurowany, przeszkolony, i razem z kolejnym transportem wysłany do Francji. Niestety, nie dotarł do Polski, zginął w Szampanii we Francji na froncie I wojny światowej.

Istotnie Kościuszko bronił praw obywateli amerykańskich, tak Indian, jak i czarnoskórych. W Filadelfii w muzeum Kościuszki przechowywane są dwa pistolety. Bardzo możliwe, że są bardzo historyczne, gdyż jak głosi opowieść, Kościuszko dał takie pistolety pewnemu przywódcy przewodzącemu delegacji (jedni piszą, że czarnych, inni, że Indian), która chciała z nim rozmawiać. Do tego wodza Kościuszko miał powiedzieć, żegnając się z nim: Daję ci te dwa pistolety, ktokolwiek będzie chciał zabrać wam prawa, wal mu prosto w łeb!

WSG

Mirosław WINIARCZYK

Kino w 2019 roku

W 2019 roku w światowym kinie brak było filmów naprawdę wybitnych. Jak zwykle w drugim półroczu pojawiły się na ekranach utwory najbardziej interesujące, kandydujące do międzynarodowych nagród. Za najciekawszy obraz uważam brytyjski dramat wojenny „1917" Sama Mendesa, o heroicznej misji dwóch angielskich żołnierzy, którzy w okopach I wojny światowej musieli wykonać rozkaz dostarczenia ważnego meldunku. Ten dramatyczny utwór antywojenny przepełniony jest intrygującymi emocjami Ważny okazał się także koreański komediodramat *Parasite*, nagrodzony na kilku festiwalach. Z polskich filmów warto wymienić „Czarny mercedes" Janusza Majewskiego, gdzie oglądaliśmy ciekawy i niebanalny obraz okupacji, ukazany w gatunku sensacyjnym. Zróbmy szerszy choć krótki i niepełny przegląd kilku ważnych filmów ubiegłego roku.

Amerykańscy producenci filmowi coraz silniej eksploatują temat prawdziwego lub domniemanego molestowania aktorek i dziennikarek w miejscach pracy – studiach filmowych i mediach. Akcja ta nabrała obecnie cech prawdziwego szaleństwa, mającego podłoże światopoglądowe i polityczne. Świadczy o tym film „Gorący temat" z udziałem czołowych gwiazd hollywoodzkich. Charlize Theron, Nicole Kidman i Margot Robbie grają tu prezenterki trzech pokoleń, zatrudnione w wielkiej telewizji informacyjnej Fox, które w lipcu 2016 r., w czasie kampanii prezydenckiej (stacja popierała wtedy Trumpa), wywołały skandal oskarżając swego despotycznego szefa o molestowanie seksualne. Doszło wówczas do procesu sądowego, w wyniku którego główna pokrzywdzona – skarżąca stację – otrzymała wysokie odszkodowanie, a obleśny szef został zwolniony. Kierownictwo Fox przejął wówczas właściciel – medialny potentat Rupert Murdoch. Autorzy filmu ukazują przebieg wypadków z punktu widzenia feministycznego nie unikając drastycznych szczegółów. Wydarzenia śledzimy przez pryzmat wspomnień dziennikarek, rozdartych między chęcią zrobienia telewizyjnej kariery i zdobycia popularności, a presją lewicowych mediów, chcących zniszczyć konkurencyjną stację. Ciekawe są niektóre podteksty akcji, rzucające nieoczywiste światło na założone z góry tezy. Myślę o postępowaniu młodej dziennikarki Kayli, która nachodzi szefa w celu zrobienia kariery jako prezenterka.

Problem w tym, że telewizja Fox była i jest stacją jak na warunki amerykańskie konserwatywną, konkurencyjną wobec większości tamtejszych lewicowych i liberalnych mediów. Dlatego jako jedyna wielka stacja ośmiela się popierać Donalda Trumpa, narażając się na ataki i ostracyzm. W lipcu 2016 r. podczas kampanii wyborczej była okazja, żeby solidnie przyłożyć Fox z powodu afery z molestowaniem dziennikarek. Wydarzenia z tamtego czasu były oczywiście odpowiednio komentowane i nagłaśniane w celu wykończenia znienawidzonej telewizji. „Gorący temat" jest zatem filmem do przemyśleń na temat mechanizmów walki konkurencyjnej wśród amerykańskich mediów.

Ostatnia, IX odsłona „Gwiezdnych wojen", serii z gatunku fantastyki, cieszącej się od 1978 roku nieustającym fałszywym religijnym kultem, według większości opinii mediów okazała się filmem nieudanym. Przyczyny porażki należy upatrywać w tym, że producenci z wytwórni Disneya, która wykupiła prawa do serii, postanowili zdyskontować finansowo sukces „Wojen" i zrealizowali na siłę ostatnią część. Pamiętajmy, że od premiery pierwszej odsłony powstał komercyjny wielki przemysł gadżetów i zabawek. Napędzało to frekwencyjne powodzenie kolejnych obrazów. Nie byłoby więc sensu zajmować się filmem „Gwiezdne wojny: Skywalker. Odrodzenie", gdyby nie konieczność skomentowania zakończenia tej serii, która stała się jednym z mitów kultury popularnej przełomu XX i XXI wieku. Autorzy tego filmu starają się kontynuować wątki poprzednich odcinków sagi. Oglądamy przygody wybranych bohaterów z rodu Skywalkerów, ich zmagania o ocalenie galaktyki z sił złych mocy. Odnosimy jednak wrażenie, że mamy tu do czynienia z plątaniną wątków, często niejasnych dla wielu widzów. Nie wszyscy odbiorcy są bowiem tak wielkimi fanami sagi, że na pamięć znają szczegóły każdej części cyklu. Dlatego remanenty z poprzednich utworów sagi nie budzą tu większych emocji. W miarę biegu akcji utwór staje się po prostu nudny. W odbiorze filmu nie pomaga świetna technika zdjęciowa i efekty specjalne w scenach kolejnych walk. Wielka reklama medialna spowodowała, że część „Gwiezdnych wojen" cieszy się frekwencyjnym powodzeniem.

Ciekawostką okazał się film o Judy Garland (1922-1969), jednej z najpopularniejszych gwiazd hollywoodzkich. Po artystycznym i komercyjnym sukcesie „Czarodzieja z Oz" (1939) w latach 40. i 50. zagrała ona w kilkunastu filmach, głównie muzycznych, ale także dramatach, m.in. w „Narodzinach gwiazdy" i „Wyroku w Norymberdze". Młoda aktorka i pieśniarka czarowała widownię pięknych głosem i wdziękiem; związała się z wytwórnią Metro-Goldwyn-Mayer. Jednak jej życie prywatne nie układało się szczęśliwie. Młoda gwiazda, która jako 16-letnia panna zyskała sławę w „Czarodzieju z Oz", była bowiem wykorzystywana przez producentów i media, żerujące na jej popularności. W brytyjskim filmie „Judy" twórcy opowiadają o ostatnich miesiącach życia gwiazdy, kiedy w 1968 roku Garland przeżywała załamanie kariery i pogrążana w długach walczyła o opiekę nad dwójką dorastających dzieci; starsza córka Liza Minnelli była już dorosła. Zdecydowała się wówczas wyjechać do Londynu na serię występów w modnym klubie. Musiała wówczas zmierzyć się z depresjami oraz uzależnieniem od leków i alkoholu. W serii retrospekcji poznajemy przeżycia z młodości Judy, kiedy w czasie realizacji „Czarodzieja z Oz" jako dojrzewająca dziewczyna była poddawana drakońskiej diecie przez producenta i matkę. Późniejsze nieudane małżeństwa i presja mediów spowodowały załamanie jej kariery filmowej. W roli Judy Garland wystąpiła Renee Zellweger, popularna gwiazda hollywoodzka, która zyskała sławę w serii popularnych komedii o przygodach Bridges Jones i amerykańskich komediodramatach. Dzięki znakomitej charakteryzacji i talentowi Renee świetnie oddała dramatyczne losy Garland w ostatnich miesiącach życia, jej skrajne emocje, wzloty i upadki.

Weteran hollywoodzkiej kinematografii Clint Eastwood mimo sędziwego wieku (90 lat) zadziwia żywotnością i energią twórczą. Kultowy ekranowy policjant Brudny Harry i bohater głośnych westernów i filmów sensacyjnych stale realizuje utwory na wysokim poziomie profesjonalnym, w których często występuje jako aktor. Od przełomu lat 50. i 60. XX wieku artysta przeszedł długą drogę od epizodów do nagradzanych Oscarami osiągnięć aktorskich i reżyserskich. Na ekranach pojawił się „Richard Jewell", ostatni utwór Clinta będący fabularną rekonstrukcją tragicznego zamachu bombowego podczas olimpiady w Atlancie w 1996 roku. Film jest świetnie nakręconą opowieścią sensacyjną z niebanalnymi podtekstami. Reżysera interesuje tytułowy bohater utworu, niepozorny ochroniarz, który w trakcie olimpijskiego koncertu wykrył podłożoną przez zamachowca bombę, zaalarmował policję i wziął udział w akcji ratunkowej. Na krótko stał się amerykańskim bohaterem medialnym. Eastwooda interesuje głównie fakt, jak to było możliwe, że Jewell wkrótce został oskarżony przez FBI i media o zaplanowanie zamachu w celu zyskania sławy. W konsekwencji Richard musiał długo walczyć o uniewinnienie. Powodem oskarżenia ochroniarza był fakt, że jego profil psychologiczny wskazywał, że taki typ człowieka mógł dopuścić się zamachu. Mieszkający z kochającą go matką dobroduszny Jewell był bowiem miłośnikiem broni, maniakiem porządku oraz przestrzegania procedur i prawa. Zawsze marzył o wstąpieniu do policji, ale jego podania były odrzucane. Eastwood w ciekawy sposób pokazuje, że dwuznacznie zachowujący się służbista nieomylnym instynktem wykrył bombę i uratował wielu ludzi. Z bohatera stał się jednak ofiarą brutalnego śledztwa FBI, które chciało jak najszybciej pochwalić się sukcesem w wykryciu sprawcy. Swoje dołożyły bezwzględne media, bezlitośnie szkalujące Richarda. Reżyser tego znakomicie zrealizowanego filmu oskarżył więc czołowe instytucje amerykańskiego życia publicznego o nieuczciwość i łamanie demokracji. ■

Janusz JANYST

Nowy łódzki witraż

Dzięki mistrzowi witrażownictwa artystycznego, Janowi Dominikowskiemu, Łódź wzbogaciła się o piękny witraż w westybulu neorenesansowej willi przy ulicy Wólczańskiej 199

Dominikowski to postać nader ciekawa. Studiował historię sztuki na UJ, ale też śpiew solowy w Akademiach Muzycznych Krakowa i Łodzi. Opublikował wiele artykułów z zakresu historii sztuki i architektury. Jest autorem kilkunastu publikacji książkowych, w tym monumentalnej monografii łódzkiego Cmentarza Starego pt. *Nekropolia Łodzi wielkoprzemysłowej*, uhonorowanej w 2004 roku nagrodą Złotego Exlibrisu. Kilka lat temu przygotował w Łodzi wystawy: *Okna – witraże łódzkie belle epoque* a następnie ekspozycję prac ks. Tadeusza Furdyny z okazji 50-lecia jego działalności twórczej. W latach 1993-2017 współpracował z Urzędem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Łodzi, określając i korygując historyczną stylistykę w powstających projektach rekonstrukcji elewacji łódzkich kamienic i pałaców. Prowadzi autorską pracownię projektowania wnętrz stylowych i witraży artystycznych. Koncertuje także jako solista (tenor specjalizujący się w liryce wokalnej z przełomu XIX i XX wieku), pisze wiersze.

Wspomnianą willę przy ul. Wólczańskiej wybudował w 1888 roku przedsiębiorca z branży wełnianej, Zygmunt Richter, syn przybyłego z Czech Józefa Richtera. W 2004 roku obiekt nabyła na swą siedzibę Okręgowa Rada Adwokacka, która postanowiła zrekonstruować, nawiązujący stylistyką do wiedeńskiej secesji geometrycznej, witraż. Zadanie nie było łatwe, gdyż z pierwotnego witraża, który najprawdopodobniej powstał w pracowni Dezyderego Mocznaya – autora witraży w willach Oskara Kona (obecnie rektorat „Filmówki"), Alfreda Jarischa (Urząd Stanu Cywilnego Łódź-Śródmieście), czy Ryszarda Geyera (Okręgowa Rada Lekarska) zachował się jedynie górny fragment w tzw. nadświetlu okna, brak było natomiast jakiejkolwiek dokumentacji dotyczącej wyglądu zasadniczej, brakującej części.

Rekonstrukcja miała więc w dużym stopniu stanowić artystyczną kreację. Fundusze się znalazły, ofiarowała je, obejrzawszy podczas wizyty w Łodzi wnętrze domu swych przodków, mieszkająca w Australii Belinda Miller. Jan Dominikowski podjął się dotworzenia głównej kwatery witraża, zakładając estetyczne i technologiczne nawiązanie do ocalałego fragmentu.

W porozumieniu z obecnymi właścicielami budynku doszedł do wniosku, że na nowej części witraża dobrze będzie zaakcentować

włókienniczą i tkacką historię przemysłowej Łodzi. Stąd motyw dziewczyny z przędzą i czółenkiem tkackim w dłoniach.

A oto, jak przebiegała praca artysty nad witrażem – warto poświecić temu nieco uwagi, gdyż tego typu sprawy nie są powszechnie znane. Po wykonaniu projektu w kolorze a następnie tzw. kartonu projektowego w skali 1:1, który potem został pocięty na szablony odpowiadające poszczególnym tafelkom barwnego szkła, nastąpiło żmudnie dobieranie kolorów poszczególnych szybek i gatunki szkieł. Zachowany w willi oryginalny fragment witraża był wykonany ze szkieł tzw. katedralnych, o charakterystycznych nierównościach i lekko matowej fakturze. Takie szkła produkowano niegdyś w wyspecjalizowanych hutach europejskich i amerykańskich. Dziś produkuje się je głównie w Chinach, ale witraż w willi Richterów został odtworzony z użyciem droższych, ale za to wysokiej jakości szkieł amerykańskich. Po precyzyjnym docięciu i oszlifowaniu obrzeży tafelek szklanych, Dominikowski wykonał na nich czasochłonne prace malarskie: nakładał czarne kontury, światłocienie w odcieniach czerni i brązu, kolorowe emalie. Każdy etap trzeba było wypalić w piecu w temperaturze 580 – 600 stopni Celsjusza, a sam wypał każdorazowo trwał dobę. Niezachowanie rygorów powolnego rozgrzewania a potem studzenia (odprężania) szkła mogłoby spowodować, że od razu, albo po krótkim czasie, nastąpiłoby jego spękania. Jedna szybka była czasem cztery, a nawet pięć razy wkładana do pieca. Następnie wypalone szybki zostały złożone na stole w docelową płaszczyznę witraża. Pomiędzy nie wsunięte zostały odpowiednio docięte i wygięte dwuteowe ramki ołowiane. Każdy element szklany należało przy tym lekko „dobić" drewnianym młotkiem, aby szkła dobrze się ułożyły w ołowianej sieci. Ta delikatna operacja była – jak mówi autor - nieco stresująca, ponieważ źle złożony witraż jest mało sztywny i potrafi się po pewnym czasie w oknie wybrzuszyć. Przy skomplikowanych kształtach szybek zdarza się, że jakiś element pęka i trzeba go wykonać i wypalić od nowa. Na końcu nastąpiło obustronne lutowanie złączeń ramek ołowianych cyną i sztuczne patynowanie błyszczących, srebrzystych ramek do odcienia szarografitowego, którego ołów i cyna w normalnym procesie nabierają dopiero po około stu latach.

Wszystko wymagało więc niemało trudu, jednak rezultat jest naprawdę godny uznania. „Willa adwokatów" wiele zyskała. Notabene jej wnętrza, w których odbyło się już kilka koncertów, pretendują do miana nowego salonu artystycznego Łodzi. ■

Słynne ucieczki Polaków

Andrzej Fedorowicz, współpracownik „Super Expressu" i rozmaitych periodyków, uprawiający historyczne dziennikarstwo śledcze, jest autorem książki *25 polskich wynalazców i odkrywców, którzy zmienili świat,* a razem z małżonką, Ireną, napisał *Niezwykłe Polki, które podbiły świat.* Ostatnio wydawnictwo Fronda wydało jego *Słynne ucieczki Polaków.*

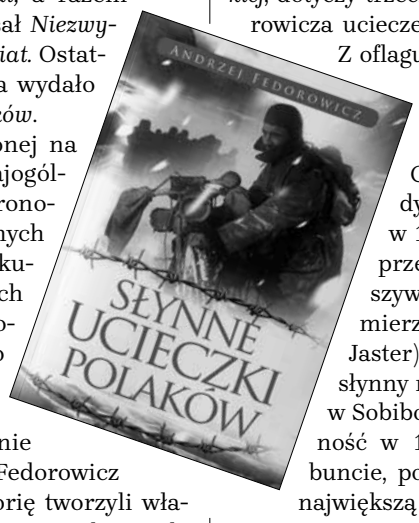

W pracy tej, podzielonej na cztery części i w sposób najogólniejszy zachowującej chronologię wydarzeń, opisanych zostało dziesięć spektakularnych ucieczek, będących dokonaniami – wydawałoby się – niemożliwymi do zrealizowania, wyczynami bohaterskimi i stanowiącymi niejednokrotnie ważne fakty historyczne. Fedorowicz podkreśla, że naszą historię tworzyli właśnie również uciekinierzy – oni pokazywali, że Polak nigdy nie godził się na bycie niewolnikiem. Pierwszy rozdział książki, *Z dalekiej Syberii*, rozpoczyna się omówieniem ucieczki w roku 1771 z zesłania na Kamczatce jednego z dowódców Konfederacji Barskiej, Maurycego Beniowskiego, który posłużył się skradzionym okrętem i wywiózł zarazem... tajne archiwa rosyjskie dotyczące planów ekspansji w Azji i Ameryce Północnej. Z kolei w roku 1846 udało się z Syberii wydostać Rufinowi Piotrowskiemu, a w roku 1929 Ferdynandowi Ossendowskiemu – dzięki niemu trafiły notabene do USA tzw. dokumenty Sissona świadczące o tym, że Lenin i inni bolszewicy byli agentami niemieckiego wywiadu (komuniści wyszukiwali potem wspomnienia Ossendowskiego w bibliotekach i palili je).

Nieco inny charakter ma drugi rozdział pt. *Ucieczka złotego konwoju, czyli jak ewakuowano polskie zapasy złota.* Chodzi tu, oczywiście, o wywiezienie w 1939 roku 75 ton cennego kruszcu o wartości 21 milionów funtów szterlingów z polskich banków w bezpieczne miejsce za granicą. Zupełnie inną sprawa jest to, co się później z tym skarbem stało.

Trzecia cześć książki, *Z niewoli niemieckiej*, dotyczy trzech wybranych przez Fedorowicza ucieczek z niemieckich obozów. Z oflagu w Srebrnej Górze w Sudetach uciekła w 1940 roku grupa oficerów – mózgiem akcji był Jędrzej Giertych. Z obozu zagłady w Oświęcimiu wyjechało w 1942 roku... samochodem, przebrane w mundury SS, fałszywe komando (m.in. Kazimierz Piechowski, Stanisław Jaster) wywożąc przy okazji słynny raport Pileckiego. Z obozu w Sobiborze wydostało się na wolność w 1943 roku, po zbrojnym buncie, ponad 300 Żydów, co było największą ucieczką z obozu śmierci w czasie II wojny światowej. Udało się przeżyć około 50 śmiałkom. Głównym organizatorem tych działań był Sasza Peczerski.

Ostatnia część *Słynnych ucieczek Polaków* poświęcona została pokonywaniu niewoli sowieckiej. W 1940 roku z łagru Mežog uciekł Bronisław Szeremeta, pokonując 3 i pół tysiąca kilometrów – połowę tej trasy pieszo. W następnym roku „opuściła" zesłanie w okolicach kołchozu Oktabrskij Władysława Pawłowska. Natomiast z przeznaczonego dla antykomunistycznej partyzantki więzienia NKWD w Skrobowie wydostała się w 1945 roku grupa akowców kierowana przez ppor. Piotra Mierzwińskiego.

Fedorowicz wszystkie rozdziały zredagował w sposób nadający narracji dramaturgię i trzymający w napięciu. Fabularyzacji posłużyło wprowadzenie miejscami elementów dialogu. Książka warta jest przeczytania, zapewne dobrze by też było, aby opisanymi w niej wydarzeniami zainteresowali się nasi filmowcy.

Janusz JANYST

Łuk triumfalny w Warszawie

Wiele razy i od lat pisałem na łamach tego czasopisma o konieczności budowy w Warszawie łuku triumfalnego w hołdzie Armii Polskiej. Ale teraz kolejny raz upubliczniam mój projekt, koncepcję i propozycję przebudowy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie na... cztery (!) ażurowe łuki triumfalne. Ciekawe co Państwo na to?

Cztery łuki skierowane na cztery strony świata:
1 – Łuk 11 XI 1918;
2 – Łuk Bitwy Warszawskiej 1920;
3 – Łuk Powstania Warszawskiego 1944;
4 – Łuk „Solidarności".

Jak widać na załączonym (bardzo uproszczonym szkicu bo to pomysł, koncepcja), zdjąłbym górną część ‚pałacu' (po co go burzyć, niech służy nam dalej!) i umieściłbym w tamtym miejscu, wysoko, koronę-symbol, spoczywającą na owych czterech łukach. To byłoby prawdziwe zwycięstwo nad Stalinem, nad komunizmem – chyba już nadszedł czas...?!

Obserwując jałowe dyskusje w tym temacie, od lat, obawiam się jednak, że z łuku triumfalnego w stolicy Polski nic nie wyjdzie. Bo Polska nadal jest w jakiejś tajemnej niemocy i niewoli, kondominium różnych obcych państw i wpływów. Poza tym nie mamy człowieka u steru władzy, który podjąłby taką decyzję i nakazałby ją zrealizować, który chciałby tego dokonać, miałby władzę, wolę ku temu, tzw. posłuch, siłę. My przypilnowalibyśmy już reszty, realizacji etc. Proszę przeczytać w nr. 68 str. 2 „Kultury i Biznesu" (www.kulturaibiznes.pl zakładka archiwum) artykuł o sprowadzeniu do kraju przez marszałka Piłsudskiego w 1927 r. prochów Juliusza Słowackiego! Dyskusje i kłótnie z tym związane ‚Polacy' prowadzili od końca XIX w., oczywiście bezskutecznie. Dokonał tego po cichu, konkretnie, bez dyskusji Marszałek!

W.S. GROCHOWALSKI

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Leszek Żebrowski
O najnowszej historii Polski 1939-1989. Szkice i artykuły

Kolejna książka tego autora prostująca wiele mitów i nieprawdziwych informacji w polskiej publicystyce i pseudonaukowych opracowaniach dot. II wojny światowej i czasów powojennych. W kilkunastu rozdziałach, opierając się na faktach, źródłach, dowodach (dokumentach) autor pisze o Narodowych Siłach Zbrojnych, scalaniu ich z AK, o Powstaniu Warszawskim, wydarzeniach w marcu 1968, stosunkach polsko-żydowskich, braku dekomunizacji nauki polskiej po 1989 r. Ilustracje, dokumenty, przypisy, indeks nazwisk, format A5, oprawa miękka, ss. 322, wydawnictwo Capital Sp. z o.o., Warszawa 2018

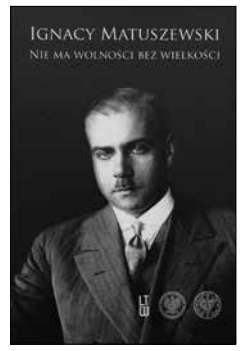

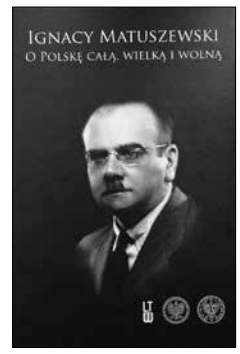

Ignacy Matuszewski
Pisma Wybrane. Tom 1: 1912-1942; Tom 2: 1943-1946

Wybór i opracowanie **Sławomir Cenckiewicz**, t. 1 ma tytuł: *Nie ma wolności bez wielkości*, tom 2: *O Polskę całą, wielką i wolną*
Oba tomy obejmują większą część pism politycznych płk. Matuszewskiego (1891––1946) opublikowanych przez tego znakomitego publicystę w zakreślonych datach. Wśród setek tekstów, Czytelnik znajdzie artykuły o ludziach i zdarzeniach. Np. o komunizmie polskim Matuszewski pisał, że „nigdy nie był polski, zawsze był antypolski" – zaś komunizm rosyjski nie był antyrosyjski. Dalej: „Kolaboracja z komunistami wszędzie na świecie jest błędem. Kolaboracja z komunistami w Polsce jest więcej niż błędem – jest szaleństwem".
Przypisy, bibliografie, portrety płk. Matuszewskiego, indeks nazwisk, format B6, oprawa twarda, ss. t. 1: 752, t. 2: 1116, wyd. LTW, Warszawa 2019 (wydano przy dużym udziale IPN)

Tomasz Łabuszewski, Anna Obrębska, Małgorzata Ptasińska
Przez Morze Czerwone. Rzeczpospolita Polska na uchodźstwie 1945-1990

Album fotografii i dokumentów ukazujący polską „pojałtańską" emigrację: urząd prezydenta RP, wszystkie polskie rządy na uchodźstwie, ustawodawstwo, partie polityczne, wojsko, Kościół, Polski Uniwersytet na Obczyźnie, życie kulturalne (wydawnictwa, księgarnie, galerie, prasa, radio, telewizja, film, teatr polski – tylko w Londynie istniało pięć scen), fundacje, muzyka polska na Obczyźnie, rzeźba, grafika i malarstwo, życie naukowe i sportowe, działalność ZHP (w kraju zlikwidowanego) i in. Album dokumentuje cały świat ale najwięcej miejsca poświęca „polskiemu Londynowi", aktywności Polonii w Europie i Stanach Zjednoczonych. Oprócz fotografii (ponad tysiąc) album zawiera dokumenty, poezje, biografie wybitnych przedstawicieli Polonii, indeks nazwisk; format A4, oprawa twarda, ss. 656, wyd. IPN, Warszawa 2019

Marcin K. Schirmer
Wybitne rody, które tworzyły polską kulturę i naukę
W podtytule – *Wybitne rodziny: Curie, Kossakowie, Lilpopowie, Estreicherowie, Lutosławscy, Młynarscy i Rubinsteinowie, Żuławscy*

Książka ma przybliżyć wybrane osoby z polskich elit intelektualnych, tytułowy ich wkład w życie Polski XIX, XX ale i XXI wieku. Dużo miejsca autor poświęcił Arturowi Rubinsteinowi, mężowi Anieli Młynarskiej. Na przykładzie sylwetki Karola R. Estreichera widać jak różne wręcz opinie o nim można przeczytać w książce Schirmera (same pozytywne) i w powyższej książce Matuszewskiego – bardzo krytyczne.
Przypisy, ilustracje, bibliografia, indeks nazwisk, format B6, oprawa twarda, ss. 480, Sport i Turystyka – Muza SA, Warszawa 2017, wyd. II 2018

Andrzej Bart
La fabrique de papier tue-mouches – francuskie tłumaczenie Erika Veaux powieści *Fabryka muchołapek*

A. Bart (1951) jest pisarzem – autorem kilku powieści, eseistą, scenarzystą i dokumentalistą (napisał m.in. scenariusz filmu *Rewers*, zrealizował kilkanaście filmów dok.), autorem sztuk teatralnych, tłumaczem. Jego powieści przetłumaczono na wiele języków obcych, tytułowa *Fabryka muchołapek* to powieść z 2008 r., o łódzkim getcie, Chaimie Rumkowskim, o łodzianach. Z urodzenia wrocławianin, z wyboru łodzianin; jest m.in. laureatem Nagrody im. Kościelskich w 1991 r. *Fabryka muchołapek* wystawiana jest od kilku lat na scenie Teatru Nowego im. K. Dejmka w Łodzi.
Format B6, ss. 204, krótkie noty biograficzne postaci, wyd. Les Éditions Noir sur Blanc, Paryż 2019

Główna Biblioteka Lekarska im. Stanisława Konopki
Album jubileuszowy biblioteki, opracowany przez zespół GBL pod kierunkiem dyrektora dr. Wojciecha Giermaziaka

GBL została założona w 1945 r., jest biblioteką, archiwum, muzeum, wydawnictwem; jest też Centrum Dokumentacji Światowej Org. Zdrowia i archiwum Zakonu Maltańskiego. Siedziba muzeum znajduje się w Szpitalu Ujazdowskim; GBL posiada 14 oddziałów. Obecny dyrektor (od 2011) kontynuuje organizację wystaw medycznych i patriotycznych, realizuje filmy dok. – ostatni o gen. dr. B. Wieniawa-Długoszowskim; całą tę działalność album pokazuje.
Ilustracje i dokumenty (ok. 1000), bibliografia, format A4, ss. 396, wyd. GBL, Warszawa 2019

Droga wiodła przez... życie

Nakładem „Oficyny Literatów i Dziennikarzy POD WIATR" ukazała się trzytomowa opowieść biograficzna, której podtytuł „Majora Sucharskiego droga na Westerplatte" obejmuje wszystkie tomy. Ich autorem jest znany polski reporter, literat i laureat licznych nagród – Romuald Karaś, zaś ideowym fundamentem tego dzieła jest autorskie pragnienie i konieczność, by – jak to podkreślono w okładkowej wizytówce dzieła:
„zadać kłam nagonce, jakiej stał się ofiarą nasz bohater narodowy, major Henryk Sucharski – obiekt ataków w polskiej prasie, radiu, telewizji, filmach i wielu książkach. Karaś, większości z nich udowadnia i oznajmia: to nieprawda. Kwestionuje wredne insynuacje, zacząwszy od najgłośniejszych: o załamaniu psychicznym dowódcy Westerplatte i wywieszeniu białej flagi po bombardowaniach placówki 2 września 1939 roku"

Podejmując wielki reporterski trud Romuald Karaś postanowił pokazać czytelnikom, w ramach bardzo rozległej i starannie udokumentowanej opowieści, kim – jakim człowiekiem, żołnierzem i patriotą – był mjr Henryk Sucharski. Na tle osobistych przeżyć bohatera swojego tryptyku autor przedstawił czasy i wydarzenia, podczas których dorastał, dojrzewał i kształtował swój charakter i poglądy przyszły dowódca bohaterskiej załogi Westerplatte.

Zaiste niezwykła to i fascynująca lektura, której pierwszy tom zaprezentowaliśmy czytelnikom „Kultury i Biznesu" w nr 68 z 2017 r. Nosi on tytuł „Klątwa i cud", a zrecenzował go p. Jerzy Biernacki.

Ukazanie się w druku dwóch kolejnych tomów dzieła Romualda Karasia – pt. „Tajemna broń" i „Bohater Wielkiej Wojny" – pozwala ponownie zachęcić czytelników naszego czasopisma do poznania dalszych losów Henryka Sucharskiego oraz panoramy czasów, w których przyszło Mu dorastać, dojrzewać i kształtować swoje poglądy na życie, dzieje Polski i jej narodu oraz przyszłość Europy i świata, którą postawiła pod tak wielkim znakiem zapytania I wojna światowa.

Romuald Karaś nakreślił te tematy w bogato ilustrowanej opowieści, której forma nadaje jej charakter pasjonującej gawędy pozwalającej na zastosowanie licznych dygresji, cytatów, wątków pobocznych – a wszystko dla wzbogacenia narracji i uczynienia jej jak najbardziej interesującą dla czytelnika.

Podobnie więc jak w tomie „Klątwa i cud" także i przy lekturze „Tajemnej broni" prezentacja dalszych losów Henryka Sucharskiego w latach jego edukacji gimnazjalnej powiązana jest ściśle nie tylko z osobistym położeniem bohatera opowieści, ale i z ówczesną sytuacją geopolityczną. Relację o tym, co działo się wówczas z młodym ale niezwykle ciekawym wydarzeń i ludzi gimnazjalistą, autor książki wzbogaca ogromną ilością faktów dotyczących ówczesnych wydarzeń politycznych, społecznych, kulturalnych.

Nie rezygnuje z ciekawostek, cytatów z literatury, anegdot. Przypomina życiorysy wielu słynnych, ale i mniej znanych postaci, z którymi mógł się wówczas spotykać Henryk Sucharski oraz tych, których poglądy dzielił lub autentycznie się nimi fascynował. Czasem dygresja goni dygresję, dość często podczas lektury odbiegamy od losów bohatera w stronę innych ludzkich przeżyć, poglądów i towarzyszących im wydarzeń. Dzięki temu powstaje jednak barwny i niezwykle ciekawy obraz czasu, który jest kanwą tej reporterskiej biograficznej opowieści.

Wszystkie omawiane tomy dostarczą niejednemu czytelnikowi szerokiego wglądu w codzienność lat, w których dorastał i kształtował swój charakter Henryk Sucharski. Jest to opowieść dla wszystkich ciekawych świata, którego już nie ma, ale który pozostawił tak mocne ślady w życiu – jeśli nie naszym – to z pewnością naszych ojców i dziadów.

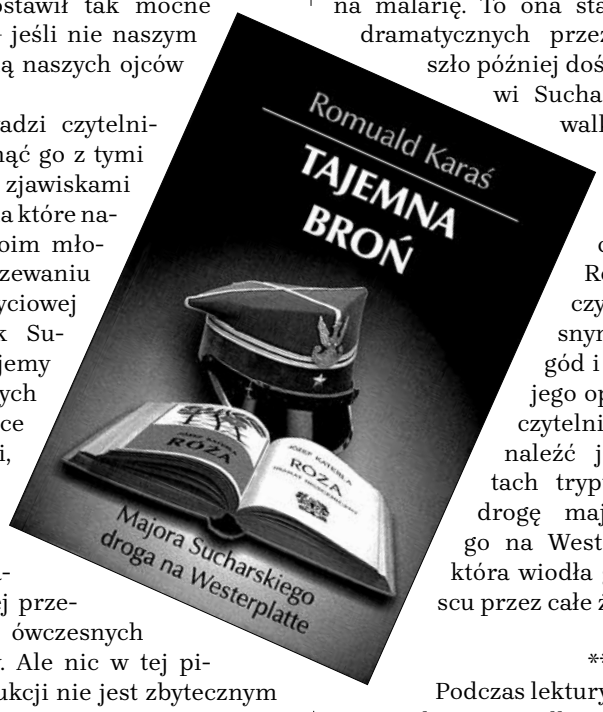

Autor prowadzi czytelnika tak, by zetknąć go z tymi wszystkimi zjawiskami i problemami, na które natknął się w swoim młodzieńczym dojrzewaniu i późniejszej życiowej drodze Henryk Sucharski. Poznajemy ludzi zajmujących ważne miejsce w jego biografii, artykuły z dawnych gazet i tygodników, cytaty z literatury najbardziej przemawiającej do ówczesnych serc i umysłów. Ale nic w tej pisarskiej konstrukcji nie jest zbytecznym ozdobnikiem.

Liczne i doskonale dobrane faktograficzne, historyczne czy publicystyczne uzupełnienia doskonale wpływają na rozległość i koloryt narracji, zaś owe dygresje i poboczne wątki (które w pierwszej chwili lektury mogą się komuś wydać niepotrzebne, albo nawet irytujące) z czasem pozwolą na wniosek, że również one stanowią o urodzie i bogactwie tego, niezwykłego w swej epickiej rozległości, tryptyku.

Sam autor odnosząc się do swojej metody reporterskiej powiada, że dąży *„do ukazania faktów w możliwie szerokim wachlarzu. Jak najwięcej światła, ale i tła, które jest nader istotne przy dochodzeniu do prawdy"*.

Dlatego chciałbym tą recenzją przekonać czytelników do starannej, niespiesznej lektury, do smakowania niuansów opowiadania, do cierpliwości i uwagi, która z pewnością pozwoli na poddanie się nurtowi tej pasjonującej opowieści. Wielu z nas zachwyci bogactwo szczegółów, innych do uzasadnionego podziwu skłoni ogromna reporterska dociekliwość, intuicja i pracowitość, która pozwoliła Romualdowi Karasiowi na zgromadzenie tak obszernego, imponującego materiału, który posłużył autorowi do zbudowania fundamentów jego arcyciekawych książek.

***

Niektórych czytelników zaskoczy może ten szczególny – rzekłbym „kalejdoskopowy" – sposób opowiadania, który daje o sobie znać także w tomie „Bohater wielkiej wojny", w którym znajdziemy różne relacje z lat strasznego światowego konfliktu, nowe fakty, nowe postacie i dramatyczne przejścia Henryka Sucharskiego – syna szewca, rodem z podtarnowskiego Gręboszowa – już nie jako gimnazjalisty, ale żołnierza.

„Czy starszy strzelec Henryk Sucharski uczestnik frontu włoskiego nad rzeką Piawą był istotnie bohaterem Wielkiej Wojny – pyta Romuald Karaś". I tak oto odpowiada sobie i Czytelnikowi:

„O każdym żołnierzu tego kataklizmu w dziejach ludzkości tak mówiono i pisano. Przeszli straszliwe doświadczenia. Z Wielkiej Wojny nie wróciło około 10 milionów zabitych żołnierzy".

Henryk Sucharski ocalał, ale wrócił z wojny do rodzinnego domu ciężko chory na malarię. To ona stała się przyczyną dramatycznych przeżyć jakich przyszło później doświadczyć majorowi Sucharskiemu podczas walki w obronie Westerplatte.

Nie chcę jednak mnożyć cytatów z tekstu Romualda Karasia, czy opisywać własnymi słowami przygód i przeżyć bohatera jego opowieści. Wolę, by czytelnicy zechcieli odnaleźć je sami na kartach tryptyku opisującego drogę majora Sucharskiego na Westerplatte – drogę, która wiodła go ku temu miejscu przez całe życie.

***

Podczas lektury „Tajemnej broni" i „Bohatera Wielkiej Wojny" odbywać będziemy długą i pełną niespodzianek podróż przez czas dawno miniony, a wracający echem wydarzeń, które – na ogół w bardzo dramatyczny sposób – poprzedziły naszą rzeczywistość. I to do niej chciałbym teraz powrócić, bo to właśnie ona jest tym źródłem goryczy, jaka daje o sobie znać we wszystkich tomach tryptyku Romualda Karasia. W każdym z nich autor zamieścił bowiem specjalny autorski dodatek jakim są Listy reportera adresowane do... Świętej Pamięci Majora Sucharskiego.

Niezwykle dramatyczna i przejmująca to epistolografia. To w tych listach Romuald Karaś – zwracając się do bohatera swoich książek, ale i do czytelnika – akcentuje najmocniej swoje oburzenie krzywdą i niesprawiedliwością, jaka po śmierci spotkała dowódcę obrony Westerplatte.

W obszernym *Liście reportera* zamieszczonym na zakończenie tomu pt. „Tajemna broń" pisze: *Pan, nim trafił na Westerplatte miał już na piersi Virtuti Militari za męstwo wojenne, najwyższy polski order wojskowy nadawany za wybitne zasługi bojowe. Skąd się wzięły oskarżenia przeciwko Panu, majorze Sucharski? Znam ich źródło. (...) Niskie, przyziemne były to pobudki i poczynania.*

Ich opis i pełen oburzenia protest autora książki znajdziemy w dalszej części „Listu", w którym Romuald Karaś pisze o *„żądnych sensacji autorach współczesnych. (...) Gdy Pan dawno nie żyje oni wciąż z Panem walczą. Pytanie w imię czego"*? W tej walce z dobrą pamięcią o Majorze Henryku Sucharskim posunięto się bowiem bardzo daleko – do podłych pomówień (m.in. o „przedwczesne" poddanie placówki), fałszów i zmyśleń. Romuald Karaś rozprawia się z nimi punkt po punkcie, szczególnie wiele miejsca poświęcając pewnemu, do dziś powielanemu, komikowi, w którym dowódcę obrony Westerplatte pokazano w karykaturalny sposób i w ośmieszających Go rysunkach jako *„człowieka słabego charakteru. Dowódcę, który stchórzył jako pierwszy i załamał się"*, co spowodować miało ubezwłasnowolnienie dowódcy przez podwładnych.

„Sceny takie weszły do książek, pojawiły się w filmie – pisze Karaś – *To miała być ta wielka tajemnica Westerplatte.(...) W drugim dniu walki nie było rozkazu Majora do wywieszenia białej flagi. Nie było rozstrzeliwania dezerterów. Negatywnym bohaterem komiksu jawi się jednak Pan, majorze Sucharski. To Pan załamuje się pierwszy spośród załogi obrońców. To Pan według autorów komiksu staje się negatywnym bohaterem Westerplatte. Rysunki podkreślają haniebność Pańskiej postawy.*

Wszystkie te sugestie i opinie nie znajdują potwierdzenia w badaniach historyków polskich i obcych. Budzą zastrzeżenia i protesty rodzin obrońców Westerplatte. *„Historyk – dr Jan Szkudliński, badacz dziejów Westerplatte wykazał w r. 2012 na łamach „Przeglądu Historyczno-Wojskowego", że wspomniany komiks nie opiera się na faktach. Postać dowódcy Westerplatte przedstawiona jest tendencyjnie. Rysunki wręcz go poniżają.*

Tymczasem – *„W stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę ukazała się trzecia edycja komiksu" a plansza reklamująca komiks zawiera zapewnienie autora, że publikacja została ściśle oparta na „autentycznych wydarzeniach".* Tę „autentyczność" przekreślają jednak badania dra Jana Szkudlińskiego , który – jak pisze Karaś: *„docierając do źródeł nie tylko polskich, ale także niemieckich i szwedzkich, ustalił, że w trzecim wydaniu komiksu znów znalazła się wersja wydarzeń niezgodna z prawdą, czyli wywieszanie białej flagi 2 września 1939 roku, jak też rzekome powiadomienie o tym dowództwa niemieckiego przez pancernik „Schleswig Holstein".*

Romuald Karaś protestuje nie tylko przeciwko krzywdzącym Majora Sucharskiego pomówieniom, nieusprawiedliwionym zarzutom, ale także przeciw zakłamywaniu prawdy historycznej, szczególnie tej dotyczącej odpowiedzialności Niemiec za wybuch II wojny światowej i popełnione przez Niemców zbrodnie. Pisze o tym obszernie w „Bohaterze Wielkiej Wojny" w swoim kolejnym *Liście reportera.* Tom ten zawiera dwa takie listy, których uważną lekturę szczególnie polecam wszystkim czytelnikom. Sądzę też, że fragment jednego z nich, jaki chciałbym zacytować na zakończenie moich rozważań będzie tych rozważań najwłaściwszą pointą:

„Majorze! Jest Pan dla mnie postacią historyczną i taką pozostanie.(...) Dziś nikt już nie żyje z załogi Westerplatte. Odeszli na wieczną wartę. Pamiętamy o nich. Wciąż pozostaną w naszej pamięci. Jak co roku 1 września zjadą na Westerplatte rodziny obrońców. Jak podczas poprzednich spotkań usłyszę znamienne słowa: „Gdyby nie major Sucharski nas by tutaj nie było". Tak się stało, że po siedmiu dniach heroicznej obrony Westerplatte przyszło poddać placówkę z myślą o tym, by ocalić ponad stu osiemdziesięciu żołnierzy. Wtedy padły te Pana mądre dalekowzroczne słowa: „Jeszcze się Polsce przydacie". To jest Pańskie zwycięstwo, Komendancie Westerplatte!"

Zdzisław SZCZEPANIAK

VI Rubinstein Piano Festival 2019

Kolejny Międzynarodowy Festiwal Muzyczny im. Artura Rubinsteina „Rubinstein Piano Festival" (marka zastrzeżona) odbywał się w dniach 14-19 X 2019 roku w Łodzi, mieście urodzenia patrona fundacji i festiwalu. Koncerty odbywały się w Łodzi, Wieluniu i Rawie Mazowieckiej, w poprzednich latach także w Częstochowie i Skierniewicach

Prestiż, sława i niedofinansowanie

Festiwal zyskał sobie prestiż i sławę mimo notorycznego niedofinansowania, braku środków na wypromowanie i obecność w mediach ogólnopolskich i światowych. Budżet takiego tygodniowego festiwalu powinien wynosić ok. 1 mln dolarów (50 wydarzeń w tym min. dwa duże koncerty symfoniczne, 10 mistrzowskich recitali, 5 wystaw, przegląd filmów, transmisje koncertów, masterclass, duża reklama etc.); ten festiwal nigdy takich kwot nie zebrał a tegoroczny budżet oscylował raptem wokół rekordowo niskiej kwoty ok. 500 tys. zł.

Honorowy patronat nad festiwalem objęła tradycyjnie polska para prezydencka, gościem honorowym była pani Ewa Rubinstein – najstarsza córka Neli i Artura Rubinsteinów, mieszkająca w Nowym Jorku. Dyrektorem festiwalu od początku jego istnienia jest Wojciech Stanisław Grochowalski, sprawy administracyjne prowadzi p. Agnieszka Trocha a stałym współpracownikiem jest pani mgr Natalie Moreno-Kamińska – obecnie pracownik naukowy i doktorantka Uniwersytetu Łódzkiego.

Festiwal oddaje hołd i cześć największemu łodzianinowi, światowej sławy artyście, pianiście i chopiniście, wielkiemu polskiemu patriocie, który szczerze kochał swoje rodzinne miasto i któremu przekazywał walory milionowej wartości. Festiwal jest spotkaniem przede wszystkim pianistów, ludzi kultury, wymianą myśli; każdorazowo prezentuje kilku wybitnych młodych artystów. Zapraszani są na niego utytułowani i słynni już pianiści jak i ci młodzi (vide lista dalej). W pierwszej kolejności są to laureaci konkursów pianistycznych im. A. Rubinsteina w Bydgoszczy i Tel Awiwie – to dwa jedyne konkursy pianistyczne na świecie imienia Artura Rubinsteina.

Gwoli wyjaśnienia czytelnikom (z obowiązku) pewnych spraw organizacyjnych. Otóż w 2019 r. głównym organizatorem festiwalu była Fundacja Kultury i Biznesu przy współpracy z Międzynarodową Fundacją Muzyczną im. Artura Rubinsteina w Łodzi; obie prowadzi W.S. Grochowalski, posiadający wszelkie pełnomocnictwa od rodziny-spadkobierców Pianisty. Z powodów bardzo ograniczonych środków finansowych, festiwal był bardziej kameralny i skromny. Przede wszystkim organizator nie otrzymał (pierwszy raz w historii festiwalu!) żadnego dofinansowania od prezydenta miasta Łodzi (Hanna Zdanowska z partii Platforma Obywatelska) oraz od marszałka województwa łódzkiego – Grzegorza Schreibera (z partii Prawo i Sprawiedliwość). Prezydent miasta jak i marszałek mogą wspierać tego typu wydarzenia wieloma metodami, przede wszystkim poprzez konkursy, dotacje, zakup reklam, inny sponsoring, bywanie na festiwalu i zakup biletów etc., etc. Dość powiedzieć, że na pierwszy festiwal w 2008 r. marszałek województwa – wtedy Włodzimierz Fisiak – przekazał kwotę 370.000 zł zaś Miasto (wtedy prezydentem był Jerzy Kropiwnicki) przyznało 300 000 zł. Niestety zbyt wiele osób w Łodzi nie cieszy się tym wydarzeniem a patrzy na niego coraz zazdrośniej i czyni starania przejęcia festiwalu... Poprzez niechęć niektórych urzędników – głównie z Urzędu Marszałkowskiego – a nawet intrygi, od kilku lat fundacja Rubinsteina nękana jest przez Urząd Marszałkowski starymi rozliczeniami – mimo wygrywanych przez fundację spraw w Sądach Administracyjnych. Marszałek nie pomaga i nie wspiera fundacji tylko blokuje jej działalność! Dlatego festiwal organizowała Fundacja Kultury i Biznesu. Pani Ewa Rubinstein napisała przed festiwalem w tej sprawie list do prezesa PiS p. Jarosława Kaczyńskiego. Do połowy grudnia nie było odpowiedzi...

W 2019 r. znacznie mniejsze środki festiwal otrzymał też od ministra kultury prof. Piotra Glińskiego – w dodatku zostały przyznane dopiero w odwołaniu. Sytuacja jest kuriozalna, bo festiwal zyskał sławę i renomę, jest organizowany bardzo dobrze i im bardziej mógłby się rozwijać i sławić Łódź – tym bardziej jest blokowany w Łodzi. (Vide m.in. wypowiedzi pań Marii Kaczyńskiej, Ewy i Aliny Rubinstein, artystów i gości festiwalu na filmach o festiwalach www.kulturaibiznes.pl zakł. Foto YouTube).

Artyści i miejsca VI festiwalu

Na VI festiwalu wystąpili: **Elena Bashkirova**, prof. **Andrzej Jasiński**, prof. **Wojciech Świtała**, **Sergiej Tarasov** (zwycięzca Międzynarodowego Mistrzowskiego Konkursu Pianistycznego im. A. Rubinsteina w Tel Awiwie oraz zwycięzca i laureat wielu innych konkursów), **Szymon Nehring** (laureat I nagrody Międzynarodowego Mistrzowskiego Konkursu Pianistycznego im. A. Rubinsteina w Tel Awiwie w 2017 r.), **Daniel Ciobanu** (Rumunia, II nagroda Konkursu Rubinsteina w Tel Awiwie w 2017), **Alexander Gadjiev** (zwycięzca konkursu w Hamamatsu w 2015), **Paweł Wakarecy** (finalista Konkursu F. Chopina w Warszawie w 2015), trzej młodzi pianiści: **Piotr Alexewicz** (ur. 2000, Polska), **Kamil Pacholec** (1998, Polska), **Trung Viet Nguyen** (1996, Wietnam). Trzej ostatni młodzi pianiści studiują w polskich akademiach i u polskich profesorów, przygotowują się do startu w Konkursie Chopinowskim w Warszawie w 2020 r. W Rawie Mazowieckiej przed recitalem P. Wakarecego, wystąpiła pianistka (studentka) **Maria Zagajewska**, związana rodzinnie z tym miastem.

Wystąpił kwintet smyczkowy **PRIMUZ** String Quintet: Dominika Sznajder – I skrzypce, Zuzanna Jeżyńska – II skrzypce, Magdalena Agatowicz – altówka, Jakub Lemański – wiolonczela, Kamil Biadała – kontrabas. W koncercie dedykowanym Śp. Zdzisławowi Szostakowi (16 X) jego *Kołysankę* (na skrzypce i fortepian) wykonali **Dominika Sznajder** (skrzypce) i **Adam Manijak** (fortepian). W szkole muzycznej przy ul. Sosnowej półrecital chopinowski zagrał **Jakub Hanuszkiewicz**. Prof. Jasiński dawał w tej szkole kurs mistrzowski, na koniec którego także zagrał półrecital chopinowski – podobnie krótki występ dla słuchaczy kursu mistrzowskiego w szkole muzycznej przy ul. Rojnej dał prof. Wojciech Świtała. Pianista ten zagrał duży recital w sob. 19 X w Wieluniu (Muzeum Wnętrz Dworskich w Ożarowie).

Niestety zaproszone orkiestry symfoniczne Royal Philharmonic Orchestra – Królewska Orkiestra Filharmoniczna z Londynu i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina nie mogły brać udziału w festiwalu z powodu nie przyznania organizatorowi wspomnianych dotacji finansowych z Urzędu Miasta i Urzędu Marszałkowskiego w Łodzi.

Miejsca głównych wydarzeń VI festiwalu: Akademia Muzyczna im. G. i K. Bacewiczów w Łodzi, Muzeum Miasta Łodzi, Muzeum Kinematografii w Łodzi, Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna im. H. Wieniawskiego w Łodzi, Zespół Szkół Muzycznych im. S. Moniuszki

Ewa Rubinstein, Daniel Ciobanu (z prawej) i Alexander Gadjiev, Akademia Muzyczna w Łodzi, 14 X 2019, fot. WSG

Trung Viet Nguyen, Kamil Pacholec, Piotr Alexewicz, 15 X 2019, fot. Adam Rozlach

Prof. Andrzej Jasiński

Elena Bashkirova, ©Photo: Nikolaj Lund

w Łodzi, Polskie Radio Łódź, Szkoła Filmowa w Łodzi, Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego, Teatr Dom w Łodzi, Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne, Miejski Dom Kultury im. Danuty Siedzikówny „Inki" w Rawie Mazowieckiej, Muzeum Ziemi Wieluńskiej. Koncerty prowadzili red. red.: Adam Rozlach, Leszek Bonar, Janusz Janyst, Natalie Moreno-Kamińska.

W programie festiwalu zaplanowano wzorem lat poprzednich także: kursy mistrzowskie, seminaria i prelekcje, projekcje filmów dok. i fabularnych o Arturze Rubinsteinie i z „aktorskim" udziałem Artura Rubinsteina, pięć nowych wystaw, odsłonięcie gwiazdy Artura Rubinsteina. Tradycyjnie pani Rubinstein oprowadziła artystów i gości po Galerii Muzyki im. A. Rubinsteina w Muzeum Miasta Łodzi a w przerwie koncertu piątkowego wystąpili uczniowie Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. F. Parnella w Łodzi z programem „Chopiniana". Wydano katalog festiwalu z rysunkiem na okładce (layout festiwalu) autorstwa Pabla Picasso z 1958 roku (©Succession Picasso 2019). Dzienny i szczegółowy program festiwalu znajduje się na str. www.arturrubinstein.pl w zakładce Fetiwal.

Relacje z koncertów VI Rubinstein Piano Festivalu

Festiwal komentowali w radiu i telewizji dziennikarze łódzcy i warszawscy; codziennie na swoim profilu facebook relacje zamieszczał dziennikarz i krytyk muzyczny red. Adam Rozlach. Oto kilka fragmentów z jego wpisów [cyt.]:

– Podobnie jak w Dusznikach, tak i tu, na inaugurację, zagrał duet fortepianowy. Tam zagrali bracia Jussenowie, tu znani z poprzednich dusznickich Festiwali: Daniel Ciobanu, laureat II nagrody Mistrzowskiego Konkursu Artura Rubinsteina w Tel Awiwie oraz Aleksander Gadjiew – zwycięzca Konkursu w Hamamatsu (w jury zasiadała Boska Martha Argerich)!

Wybitnie utalentowani młodzi pianiści zagrali nam w sali koncertowej łódzkiej AM: II Suitę *Daphnis et Chloe* oraz *La Valse* – Ravela oraz całość Święta wiosny – Strawińskiego. Zagrali znakomicie. Reprezentują bardzo wysoki poziom muzycznego i pianistycznego wtajemniczenia – zagranie i zgranie takiego programu nie jest więc dla nich jakąś szczególnie trudną sprawą. To wytrawni soliści, ale i świetni kameraliści. Tylko *La Valse* zagrali w autorskiej wersji oryginalnej, pozostałe dwie kompozycje „przeniósł" na dwa fortepiany Wiaczesław Grajznow – 37-letni dziś absolwent moskiewskiego Konserwatorium. Pianiści zachwyceni tymi wersjami, chcą je popularyzować, bo w istocie są nie tylko – jak sami powiedzieli – trudniejsze, ale i ogromnie interesujące z pianistycznego i muzycznego punktu widzenia. Po koncercie, jeden z nich określił stopień ich trudności jako piekielny!

Na bis arcypięknie zagrali nam na dwóch fortepianach FAZIOLI – jako „odtrutkę" – czarującą *Kołysankę* Gabriela Faure. Po koncercie odbyło się miłe spotkanie melomanów z wykonawcami (...) nade wszystko z gościem honorowym wszystkich dotychczasowych festiwali – Ewą Rubinstein, córką Anieli i Artura Rubinsteinów, która specjalnie przyleciała z Nowego Jorku do Łodzi aby wspólnie z nami czcić pamięć i wielkość Mistrza Artura!

– Wtorek, 15 X 2019. Jestem [w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego – WG] na otwarciu pierwszej w historii rodziny Rubinsteinów wystawy poświęconej żonie Mistrza – Anieli z Młynarskich, matce Ewy, która właśnie podzieliła się z nami niezwykłymi i szczerymi wspomnieniami tyczącymi Mamy i jej wielkiej roli w karierze słynnego Męża.

Jak powiedziała nam, bez niej nie byłoby wielkiej kariery i tego zjawiska, któremu na imię Artur Rubinstein! „Co najmniej 50% to zasługa Matki" – wyznała Ewa Rubinstein...

*

Drugi podczas VI Rubinstein Piano Festiwalu wieczór w Sali Koncertowej łódzkiej AM wypełniły występy trzech młodych utalentowanych pianistów, kształcących się w naszych szkołach muzycznych i przygotowujących się do udziału w przyszłorocznym (dokładnie za rok) XVIII Konkursie Chopinowskim. Kolejno, Chopina, grali nam Kamil Pacholec, Piotr Alexewicz i Wietnamczyk, od urodzenia mieszkający w Polsce – Trung Viet Nguyen. Jeśli dalej będą tak się rozwijać, ich udział w Konkursie może być dla nas dużą radością!

Kamil Pacholec pokazał nam, że potrafi grać bardzo poważnie, że doskonale zna wykonywane utwory, że gra wartko, naturalnie, jak to określam: zgodnie z naszymi oczekiwaniami, tzn. niczym nie zaskakuje – Chopin tego chyba specjalnie nie lubi, zaskakiwania. Oprócz świetnie wykonanej, spokojnie kołyszącej się *Barkaroli* (znakomicie ukazał jej kulminację i zakończenie), zagrał jeszcze – całkiem nieźle – *Sonatę h-moll*. To była gra pod ciągłą kontrolą, żywa, aktywna, także wrażliwa, ale jakby jeszcze bez cech poetyckich, bez jakichś subtelności, taka trochę – wyrazowo – codzienna. Biegły, sprawny, choć gubiący czasem po drodze pojedyncze dźwięki. Sonata prawie gotowa, teraz trzeba „tylko" nadać jej właściwe szlify, pomyśleć o muzykowaniu, o nadaniu jej jakichś artystycznych znamion. Ma pewność gry, znakomitą technikę – bardzo dobrze rokuje!

19-letni Piotr Alexewicz od razu zachwycił mnie pięknie i szalenie muzykalnie wykonanym nokturnem H-dur op. 32. To był ten jeden więcej, już zrobiony, jakże ważny krok do przodu, w procesie dochodzenia do jakiejś wyższej, wykonawczej i interpretacyjnej poprzeczki. Potem było niewdzięczne wielce w wersji solowej *Rondo à la Krakowiak* F-dur op. 14, które młodziutki pianista zaczął żywo, muzykalnie i skutecznie, ale potem zaczął gubić dźwięki, już nie tylko pojedyncze. Następnie, próbował zagrać nam jeszcze dwie etiudy, ale wziął tak szybkie tempa, zwłaszcza w drugiej (As-dur z op. 10), że najzwyczajniej w świecie nie dał rady. Trzeba posiąść świadomość tego, co można, a czego nie można dziś zrobić. To przyjdzie z czasem – oby jak najszybciej. Dużo pracy przed nim, ale i jeszcze więcej nadziei, bo możliwości techniczne ma ogromne, a nadto jest – jako się rzekło – bardzo muzykalny. Pokazał to też na koniec w *Andante spianato* oraz w polonezie op. 22 – bardzo chyba gonionym...

23-letniego Trung Viet Nguyena spotkałem 15 lat temu gdzieś na jego szkolnej drodze (uczył się wtedy u wybitnej Prof. Iriny Rumiancewej). Oczywiście nic nie pamiętałem z tamtych czasów, a tu wychodzi dorosły młodzieniec i od razu imponuje oryginalnością romantycznego wielce ujęcia *Ronda a-moll* (KV 511) Mozarta, które tak dziś coraz częściej grają, znacznie bardziej od niego znani i renomowani pianiści. Od razu też zaimponował mi fantastyczną muzykalnością i poetycką wręcz wrażliwością. Warsztat pianistyczny chyba najpewniejszy i najbardziej okazały, wszystko znajdowało się pod jego kontrolą. Pokazał nam jeszcze swoją wrażliwość brzmieniową. Dbał o każdą frazę, czy to melodii czy akompaniamentu. Cienia przypadku – wszystko przemyślane i świadome. To był może bardziej Schumann niż Mozart, ale to jest jego dzisiejszy wybór, świadczący o otwartości i dużej wyobraźni. Za dwa lata może zagrać to *Rondo* zupełnie inaczej... Potem była ballada f-moll, z prawdziwą i jakże naturalną epicką narracją, nad którą panował do samego końca – jaki błyskotliwy finał (z drobnymi tylko nietrafieniami). Następnie zagrał *Barkarolę*, w której zaimponował mi spokojem i opanowaniem, pięknym dźwiękiem i świadomością treści, a na koniec ukazał nam *Sonatę b-moll* op. 35, w której zdecydowanie poniosła go fantazja – tutaj zabrakło już tej pewności i kontroli poczynań, ale *Marsz żałobny* i finał sonaty mogły zadowolić, zaciekawić.

Drugi już, ale i ostatni podczas VI Rubinstein Piano Festiwal, wieczór w Sali Koncertowej łódzkiej Akademii Muzycznej (specjalnie nie stosuję tu skrótu AM, żeby ktoś nie pomyślał, że Medycznej czy Melioracyjnej) – czyli strefy całkowicie wolnej od studentów tej uczelni, którzy kompletnie nie są zainteresowani choćby tym, jak grają lepsi od nich, którzy nie chcą poznać niegrywanych wersji największych arcydzieł muzyki XX wieku, którzy nie chcą (nie musząc kupować żadnych biletów bo studenci mieli wstęp bezpłatny) spotkać się i porozmawiać po koncercie z nieomal ich rówieśnikami, koncertującymi już w Carnegie Hall, nagrywającymi płyty, organizującymi swoje festiwale itd. A nadto, gdzie ich pedagodzy – znani profesorowie klas fortepianu? Gdzie młodzież i pedagodzy łódzkich średnich szkół muzycznych? A może nie ma takowych? Proszę powiedzieć, jak to możliwe, żeby nie można było zapełnić średniej wielkości pięknej sali koncertowej w wielkim skądinąd mieście Łodzi?

[Koniec cytatów]

***

W środę 16 października odbyło się aż pięć wydarzeń festiwalowych: dwa kursy mistrzowskie profesorów A. Jasińskiego i W. Świtały; w Szkole Filmowej wernisaż wystawy zdjęć Ewy Rubinstein, spotkanie z artystką i seminarium pt. „Artur Rubinstein w filmie", pokaz filmu *L'Amour de la Vie* w Muzeum Kinematografii; koncert w Teatrze Dom.

Koncert wieczorny zadedykowany był śp. maestro Zdzisławowi Szostakowi. W I części wykonano jego *Kołysankę* na skrzypce i fortepian oraz *Koncert fortepianowy f-moll* F. Chopina, który zagrali Sergiej Tarasov (fortepian) i kwintet PRIMUZ. Po przerwie Tarasov dał znakomity recital złożony z utworów F. Schuberta: *Sonata A-dur* D-664, *Litania*, *Der Müller und der Bach*, Impromptus nr 3 i 4 op. 90. Pianista zagrał jeszcze jeden festiwalowy recital; chopinowski, godzinny, w studiu koncertowym Radia Łódź, w czwartek 17 X 2019 czyli w dniu 170. rocznicy śmierci kompozytora. Zagrał tam: *Impromptus Fis-dur* op. 36 nr 2, *Balladę f-moll* op. 52 nr 4 i *III Sonatę fort. h-moll* op. 58. Były to niewątpliwie mistrzowskie występy, artysta ten gościł na festiwalu po raz trzeci, słyszeliśmy go w programach solowych, kameralnych i z orkiestrą symfoniczną; gra z wielką swobodą, silnym forte, pewnie, zawsze zachwyca publiczność.

Czwartek chopinowski miał swój wydźwięk także w formie seminarium w Muzeum Miasta i dwóch recitalach chopinowskich Pawła Wakarecego, który wystąpił w Łodzi po seminarium a wieczorem zagrał w MDK w Rawie Maz. Seminarium składało się m.in. z referatu prof. Ireny Poniatowskiej pt. *Tempo rubato – istotny składnik chopinistyki Artura Rubinsteina.* Po południu odsłonięto gwiazdę Rubinsteina – czyt. dalej.

Piątek należał do Eleny Bashkirovej, pianistki urodzonej w Moskwie (często określanej jako rosyjskiej), solistki i kameralistki, uczennicy swojego ojca słynnego Dymitrija Bashkirova. Artystka dała wieczorem recital w Sali Lustrzanej Muzeum Miasta Łodzi, grając w I części Mozarta *Sonatę fort.* nr 13 i *Humoreskę B-dur* Schumanna, zaś po przerwie fragmenty z *Poetic Tone* Dworzaka i *Sonatę fortepianową* (BB 88) Bartoka. Koncert ten jak i sobotni finałowy obszernie i rzeczowo opisał p. Michael Moran (http://www.michael-moran.com/2019/10/vi-arthur-rubinstein-piano-festival-odz.html).

Sobota muzycznie na festiwalu była chopinowska, bo w Wieluniu prof. W. Świtała dał recital chopinowski (m.in. preludia, mazurki, *Barcarola Fis-dur*, *Polonez As-dur* op. 53) zaś w Łodzi na finał festiwalu wystąpił Szymon Nehring. Zagrał recital chopinowski w Sali Jadalnej Muzeum Miasta. Koncert wypadł znakomicie, pianista wykonał: mazurki op. 56, nokturn op. 55 nr 2, *Impromptus Ges-dur* op. 51, *Polonez fis-moll* op. 44; w II części *Impromptu Fis-dur* op. 36 i *III Sonatę fortepianową*. Sala była zapełniona „po brzegi", w przerwie zaprezentowano nową rzeźbę portretową Rubinsteina, którą dla fundacji wykonał Paweł Stefaniak – uczeń szkoły plastycznej im. Kenara w Zakopanem.

RPO i gwiazda Artura Rubinsteina

Dużym wydarzeniem (i wydatkiem – ale i „dochodowym" koncertem) festiwalowym miał być udział londyńskiej Royal Philharmonic Orchestra (RPO) pod dyrekcją Grzegorza Nowaka. Po raz pierwszy do udziału w festiwalu zaprosiłem orkiestrę zagraniczną. Koncert zaplanowałem na czw. 17 X 2019 – na dzień 170. rocznicy śmierci F. Chopina, na solistę wybrałem Szymona Nehringa na co dyrygent przystał. Wszystko ustaliłem z p. G. Nowakiem jeszcze w 2018 r.: datę, program koncertu, próby w Londynie i Łodzi. Fundacja złożyła wniosek do Ministerstwa Kultury, ustaliliśmy koszty udziału RPO, zabukowaliśmy samolot Londyn-Warszawa-Londyn, autokary, hotele w Łodzi. Czas płynął, do końca marca 2019 fundacji nadal nie przyznawano środków na organizację festiwalu zaś dyrektor filharmonii p. Tomasz Bęben zażądał od fundacji wysokiej jak nigdy wcześniej kwoty za wynajem sal i udział orkiestry Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina. Obawiając się o ten koncert, poprosiłem w tej sytuacji p. Grzegorza Nowaka, aby przełożyć go na następny festiwal, ale odpowiedział, że prowadzi rozmowy o organizacji koncertu (naszego, festiwalowego, wg mojego autorskiego projektu!) z ministerstwem kultury, Narodowym Instytutem Adama Mickiewicza, z Radiem Łódź; że zmienili solistę pianistę (na Konrada Biniendę, syna prof. Wiesława Biniendy badającego katastrofę smoleńską). Okazało się też, że wybory parlamentarne będą około tygodnia festiwalowego...

W efekcie otrzymaliśmy skromne środki od ministra, koncert RPO zorganizowano w filharmonii poza nami... 17 X; dyrektor T. Bęben nie zaprosił na niego p. Ewy Rubinstein, córki Patrona filharmonii (pomijam fakt braku nawet grzecznościowego telefonu do niej, starszej Pani lecącej kilka godzin przez ocean do rodzinnego miasta ojca). Koszt koncertu wyniósł dużo więcej niż ustaliłem to pierwotnie z p. G. Nowakiem; w mediach łódzkich i ogólnopolskich reklamowali go jako swój pan minister kultury i dyrektor filharmonii – pomijając mnie i moje prawa autorskie...

Umieszczenie w Łódzkiej Alei Gwiazd na ul. Piotrkowskiej gwiazdy Artura Rubinsteina dokonało się staraniem i na wniosek fundacji Artura Rubinsteina. Gwiazda umieszczona jest przed posesją nr 68, ufundowali ją Łódź Miasto Filmu UNESCO i biznesmen Jerzy Czubak z małżonką, została odsłonięta 17 X 2019 przez Ewę Rubinstein, przeze mnie i fundatorów. Z niedowierzaniem stwierdziliśmy podczas odsłaniania gwiazdy brak prezydenta miasta lub zastępcy, nie było też nikogo z Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina.

*

Festiwal został dofinansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca; firmę Atlas Sp. z o.o.; Santander Consumer Bank SA; firmę Amcor Sp. z o.o. Patronaty medialne: TVP 2, TVP Kultura, TVP 3, ToyaTV, Polskie Radio „Dwójka", Studenckie Radio Żak PŁ, „Ruch Muzyczny", „Kultura i Biznes".

Wojciech S. GROCHOWALSKI

Alicja GÓRSKA

Kult naturszczyka?

O występach filmowych artystów bez aktorskiej proweniencji

Niełatwo byłoby dzisiaj stwierdzić, kiedy w kinematografii po raz pierwszy odnotowano gościnny, czy też epizodyczny występ gwiazdy niereprezentującej zawodu aktora. Artur Rubinstein – wybitny polski pianista, który w swojej 80-letniej karierze dał kilka tysięcy koncertów – z pewnością nie był pierwszą tego typu postacią. Jego filmowa historia stanowi jednak doskonały punkt wyjścia dla rozważań o występach filmowych artystów bez aktorskiej proweniencji.

Był rok 1946, gdy Artur Rubinstein otrzymał propozycję wystąpienia na srebrnym ekranie. Propozycja była to nie byle jaka, zdjęcia do filmu miały się bowiem odbyć w Carnegie Hall (nazwa miejsca stanowiła zresztą jednocześnie tytuł produkcji), jednej z najbardziej prestiżowych na świecie sal koncertowych. Towarzyszyć na ekranie Rubinsteinowi mieli najwybitniejsi muzycy tamtego okresu – Grigorij Piatigorski, Jascha Heifetz, Leopold Anthony Stokowski, czy Fritz Reiner, a także Harry James. Znane postaci pojawiały się jednak w filmie wyłącznie gościnnie, sankcjonując niejako wydźwięk produkcji, w której rezonowały aktualne napięcia i przemiany społeczne.

Lata 40. przyniosły wiele zmian dla muzyki. Klasyczne, przygrywane na pianinie czy skrzypcach utworu przyciągały coraz mniejszą widownię. Na pierwszy plan wysuwał się, do niedawna jeszcze odtrącany przez ogół społeczeństwa, nowoczesny jazz. Dynamiczne utwory nie tylko zaczynały trafiać do serc większej liczby słuchaczy, ale też wytyczały sobie drogę na salony. Historia opowiedziana w „Carnegie Hall" stanowiła odbicie tychże przemian. Filmowa matka (Marsha Hunt) pragnęła, by jej syn (William Prince) zagrał kiedyś w słynnym Carnegie Hall koncert fortepianowy. Bohatera ciągnęło tymczasem bardziej w stronę jazzu i orkiestry Vaughna Monroe. Rozdarty protagonista prosił więc w filmie o radę kolejnych wielkich przedstawicieli „epoki klasycznej" – zaangażowanych do produkcji muzyków takich, jak Rubinstein.

Pozycja Rubinsteina i innych wirtuozów w realnym, pozafilmowym świecie, przydawała historii autentyczności. Wewnętrzny konflikt bohatera filmu wydawał się bardziej rzeczywisty i dramatyczny. Oto miał przed sobą najprawdziwsze gwiazdy muzyki, ludzi wybitnych. A mimo to wciąż się miotał, poszukując własnej drogi – dokładnie tak, jak działo się z milionami ludzi w Stanach Zjednoczonych, nieprzekonanymi umysłem do muzycznego postępu, ale tupiących do nich nóżką z powodu podrygów serca. Rozumiał to zresztą doskonale Rubinstein, który już podczas składania mu propozycji występu miał podobno powiedzieć: „Założę się, że skończy się tak, że Harry James zagra na trąbce"[1]. Producent, by nieco go pocieszyć, dodał wtedy: „Tak, ale tylko raz".

Od Rubinsteina do typologii filmowych epizodów

Artur Rubinstein angażował się w produkcję filmową jeszcze kilka razy. Zwykle w roli kompozytora lub wykonawcy kompozycji. Za dokumentalny film „L'amour de la Vie", którego był bohaterem (kamera podążała za nim i jego rodziną, towarzysząc mu w kolejnych wyprawach, spotkaniach oraz koncertach), otrzymał nawet w 1970 roku Oscara. To jednak „Carnegie Hall" wydaje się najsilniej współbrzmieć ze współczesnymi tendencjami dotyczącymi angażowania gwiazd-naturszczyków do projektów filmowych. Tak jak i dzisiaj bowiem dzieje się to z innymi znanymi osobistościami, powodem zaangażowania Rubinsteina do filmu (poza jego oczywistą charyzmą i talentem) były przede wszystkim:

- jego rozpoznawalność, która sama w sobie działała jak dobra strategia marketingowa, przyciągając dodatkowych widzów, którzy – być może – bez jego obecności na ekranie w ogóle nie obejrzeliby tego tytułu;
- przyczynek fabularny, dla którego obecność postaci o charakterystycznych przymiotach jest niezbędna (tutaj – protagonista musi utwierdzić się w swojej decyzji poprzez poznanie autorytetów);
- chęć nadania przez twórców historii drugiego dna – w takim „Carnegie Hall" nie chodziło przecież wyłącznie o rozdarcie młodego muzyka, ale o ogólną rewolucję w dziedzinie muzyki – i „zrobienie" z zaangażowanej postaci pewnego symbolu;
- udowodnienie, że twórcy rozumieją poruszany temat i ulokowanie ich w centrum problemowym produkcji. Dobranie do epizodycznych występów wyjątkowych dla klasycznych kompozycji nazwisk było ukłonem w stronę znawców problemu, obeznanych melomanów (współcześnie można byłoby ich nazwać np. fanami).

Przez lata angażowanie gwiazd-naturszczyków do produkcji filmowych wcale nie straciło na popularności. Wręcz przeciwnie, uległo nawet swoistemu skodyfikowaniu. Na potrzeby tego artykułu skonstruowałam adekwatną typologię, wyróżniając różne typy obsadzania nieaktorów w filmowych rolach.

- występy gościnne – zapowiedziane w napisach (często podkreślone dodatkowym hasłem jak „ze specjalnym udziałem", „guest starring" czy „guest appearance", ewentualnie podkreślane przez „i" lub „oraz", odcinające postać od reszty obsady) lub innych kanałach promocyjnych, epizodyczne występy;
- cameo – najczęściej niezapowiedziane w napisach ani w innych kanałach marketingowych, epizodyczne występy postaci o wyjątkowej rozpoznawalności;
- granie samego siebie – zwykle epizodyczne występy, w których gwiazda wciela się sama w siebie. Nie jest jednak rejestrowana naturalnie, w sposób dokumentalny, lecz gra według podanego scenariusza;
- autentyczne próby aktorskie – występy, które nie mają charakteru epizodu, lecz pełnoprawnej roli, mogące być traktowane jako pełnoprawny debiut czy próba przebranżowienia.

Powyższa typologia nie może być, niestety, traktowana uniwersalnie, bez zwracania uwagi na czasy. Z dzisiejszej perspektywy bowiem oddzielenie „występu gościnnego" od „cameo" może wydawać się jasne, jednak w przeszłości równie oczywiste nie było. Na przestrzeni lat zmienił się sposób tworzenia napisów filmowych. Kiedyś nieobecne przy tworzeniu filmu funkcje zyskały swoje miejsce w napisach początkowych lub końcowych. Dość przyjrzeć się polskim filmom w zeszłego wieku, w których strategią wymieniania nazwisk osób występujących w filmie, była prezentacja ich ograniczonej odgórnie liczby, zakończona hasłem „i inni" – bez zwracania uwagi na rozpoznawalność czy znaczenie tychże „innych".

Od teorii do praktyki – kilka przykładów występów naturszczyków

Szczególnym przykładem występu gościnnego może być angaż do finału siódmego sezonu serialu „The Office", Warrena Buffetta – amerykańskiego ekonomisty i inwestora giełdowego. Występ telewizyjny uznawanego za jednego z najlepszych przedsiębiorców na świecie[2] nie został zapowiedziany w napisach początkowych, ale nie stanowił tajemnicy. Czasopisma tematyczne oraz strony internetowe rozpisywały się o zaplanowanym dla sławy ekonomii epizodzie oraz jego charakterze, co nie pozwala traktować tegoż występu – zgodnie z wcześniejszą typologią – jako cameo, lecz właśnie jako występ gościnny. Jako artystę, czy też osobę z potrzebą artystycznych działań, lokują Buffetta także inne inicjatywy – miliarder występował np. z Jonem Bon Jovim na szycie Forbes 400, grając na ukulele.

Obecność inwestora w „The Office" nie była jednak podyktowana wyłącznie jego potrzebami i zainteresowaniami. O angażu w serialu zadecydowała z pewnością rozpoznawalność tej postaci w świecie tematycznie powiązanym z fabułą programu, który w formie mockumentu[3] opowiada o codzienności pracowników biura regionalnego firmy papierniczej Dunder Mifflin w Scranton w Pensylwanii. „The Office" to program komediowy, adresowany przede wszystkim (ale nie tylko) do osób związanych z branżą, umiejących docenić autentyczność – jakkolwiek często z wyraźnym przerysowaniem – prezentowanych perypetii. Obecność Buffetta, gwiazdy inwestycyjnej, to swoiste oczko puszczane do widzów produkcji, ale też pewien naddatek sensu, przypomnienie, że każda wielkość ma swoje początki.

Takim porozumiewawczym gestem pomyślanym dla wyjątkowych fanów z danej grupy odbiorczej jest jednak przede wszystkim występ gwiazdy jako cameo. Pojawiającej się niespodziewanie na ekranie postaci nie zapowiadają tutaj zwykle żadne działania marketingowe, a jej nazwisko nie pojawia się w mediach. Oczywiście dzisiaj, w rzeczywistości kontrolowanych i niekontrolowanych przecieków, do sieci trafiają czasami sekretnie wykonywane na planie filmowym zdjęcia, które zdradzają nieco z przyszłej niespodzianki. Bywa, że i same gwiazdy podsuwają swoim fanom tropy. Oficjalnie jednak cameo jest zwykle sekretem do ostatniej chwili.

Jeżeli wierzyć „The Oxford English Dictionary"[4] pojęcie „cameo" pojawiło się w latach 20. XX wieku. Nie oznaczało wtedy jednak tego, co dziś. Odnosiło się do krótkiego literackiego szkicu tudzież portretu. Dopiero z czasem, pod koniec XX wieku, termin ten zaczął funkcjonować jako określenie dla wyjątkowego rodzaju epizodycznych występów. Niemniej samo zjawisko jest dużo starsze niż ukuty dlań termin. Jedną z najlepiej najodleglejszych historycznie, znanych i rozpoznawalnych postaci, która lubowała się w cameo, był Alfred Hitchcock. Sławny

FOTO. WIKIPEDIA

reżyser wystąpił w 39 ze swoich 52 zachowanych filmów fabularnych. Zwykle były to raptem kilkosekundowe występy, jak np. ledwie migający na ekranie wyprowadzacz psów.[5] Podobno do opisywanego działania zainspirował go D. W. Griffith[6].

Bardziej aktualnymi i specyficznymi formami cameo są występy takich postaci, jak pisarz Stephen King, czy autor komiksów Stan Lee. Twórca powieści grozy zapraszany jest przede wszystkim do adaptacji własnych powieści, które regularnie ukazują się na ekranie od 1976 roku (ekranizacja debiutanckiej powieści Kinga pod tytułem „Carrie"). Mistrz horroru występuje w nich zwykle w roli sprzedawcy, kierowcy czy jakiegoś rodzaju przechodnia. Wyjątkiem może być np. rola w „To. Rozdział 2", gdzie King wcielił się we właściciela sklepu ze starociami i przeprowadził z protagonistą historii wyjątkowo długą jak na niego rozmowę. Co ciekawe, dialog ten rezonował z faktami z realnego świata. Sprzedawca krytykował w nim finały powieści pisanych przez bohatera, podczas gdy w rzeczywistości wielu komentuje w podobny sposób historie samego Kinga. W jednej rozmowie twórcy filmowi pokazali fanom twórczości mistrza grozy, jak bardzo angażują się i rozumieją realizowany projekt oraz zapewnili widzom chwilę wytchnienia od rozlicznych straszaków.

Największym zainteresowaniem w ostatnich latach cieszyły się jednak cameo Stana Lee, autora najpopularniejszych postaci ze świata Marvela. Komiksowy twórca długo miał nadzieję na rozwinięcie kariery filmowej, czego dowiedzieć się można z wielu (wydanych licznie po jego śmierci w 2018 roku) biografii, ale ta najwyraźniej nie była mu pisana. Gdy jednak Hollywood zaczęło się interesować adaptacjami komiksów, a Lee stał się reprezentantem marki Marvel, on sam również zyskał sporą popularność. Systematycznie umacniania pozycja twórcy w świecie popkultury z czasem pozwoliła mu zyskać miano ikony. W epizodycznych rolach w adaptacjach komiksów występował od 1989 roku („Hulk przed sądem")[7], ale kształtu, z którym dziś kojarzy się te występy, rzecz nabrała dopiero w 2008 roku – wraz z rozpoczęciem ogromnego projektu, jakim jest Marvel Cinematic Universe.

Stan Lee, uwielbiany przez pokolenia fanów Spider-Mana czy Thor, pojawiał się w większości ekranizacji „swoich" komiksów. Czasami były to role milczące, niekie-

[1] Harvey Sachs, *Artur Rubinstein*, Kraków 1999, s. 32

[2] *Warren Buffett* [w:] Biography.com [online] https://www.biography.com/business-figure/warren-buffett [data dostępu: 26.10.2019]

[3] Mockument to film lub serial, który formą i realizacją ma budzić skojarzenia z prawdziwym dokumentem, rejestracją rzeczywistości.

[4] *Cameo* [w:] *Oxford English Dictionary* [online] https://oed.com/ [data dostępu: 26.10.2019]

[5] A. van der Poll, *The Corpse in the Coach. The life and Career of Alfred Hitchcock*, [online] https://www.westerncape.gov.za/text/2005/12/so_05_the_arts_34-37.pdf [data dostępu: 27.10.2019]

[6] L. H. Abramson, *Hitchcock § the Anxiety of Authorship*, [online] https://link.springer.com/content/pdf/bbm%3A978-1-137-30970-9%2F1.pdf [data dostępu: 27.10.2019]

[7] R. Yang, *Here's Every Single Stan Lee Marvel Cameo*, [online] https://variety.com/2018/film/news/stan-lee-marvel-cameo-1203026327/ [data dostępu: 27.10.2019]

dy jednozdaniowe, czasami nieco dłuższe. Jego obecność w produkcjach miała znaczenie przede wszystkim potwierdzające miłość twórców do fenomenu superbohaterów, ale bywało też, że między wierszami ukrywał Lee nawiązania odniesienia do konkretnych zeszytów komiksowych czy znanych wydarzeń. Zresztą reżyserowie angażowali go również do produkcji, które nie były adaptacjami komiksów, lecz stanowiły obrazy pewnego pokolenia, jak np. „Szczury z supermarketu" z 1995 roku w reżyserii Kevina Smitha. Po śmierci Lee, która zbiegła się z realizacją filmu wieńczącego kolejny etap zmagań superbohaterów zwanych Avengers (mam tu na myśli film „Avengers: Koniec gry" z 2019 roku w reżyserii braci Russo, który zamykał tzw. III Fazę Marvel Cinematic Universe), na końcu produkcji zaprezentowano wszystkie występy cameo twórcy komiksów w tym cyklu. Seria adaptacji Marvela po 11 latach i 22 filmach doczekała się więc podwójnego zakończenia – „starej" gwardii superbohaterów oraz nieodłącznych epizodycznych ról Lee.

Podczas gdy Hitchcock, King czy Lee w kontekście filmowych występów znani są przede wszystkim wcielania się w epizodyczne role, wiele popularnych postaci pojawia się w filmach grając samych siebie (wymienionym też się to zresztą zdarzało). Można byłoby wymienić tu wiele ciekawych postaci, jak socjolog Marshall McLuhan, który pojawił się we własnej osoby w „Annie Hall" z 1977 roku, czy obecnego papieża Franciszka, który jako pierwszy w historii zagrał w filmie fabularnym – „Tam gdzie mieszka Bóg" z 2017 roku. Z polskiej perspektywy jednak, zwłaszcza w kontekście przywołanego na początku Artura Rubinsteina, wartym przytoczenia wydaje się przykład Ignacego Jana Paderewskiego, który pojawił się w filmie „Sonata księżycowa" w 1937 roku. Fabuła produkcji przedstawia się następująco:

Eric Molander (Charles Farrell) pracuje dla baronowej Lindenborg (Marie Tempest) jako zarządca majątku. Kocha się w pięknej wnuczce swojej pracodawczyni, Ingrid Hansen (Barbara Greene), która jednak nie odwzajemnia uczuć. Pewnego dnia na terenie posiadłości awaryjnie ląduje samolot ze sławnym pianistą Ignacym Janem Paderewskim (w swojej roli) oraz z podejrzanym osobnikiem, człowiekiem o imieniu Mario de la Costa (Eric Portman). Znudzona monotonnym życiem Ingrid szybko daje się uwieść szarmanckiemu i przystojnemu de la Coście. Nie wie, że jest on łowcą posagów, który w dodatku posiada już żonę i tylko udaje miłość do dziewczyny. Zamiary gościa odkrywa Molander i informuje o tym baronową, jednak pracodawczyni nie wierzy mu, uważając, że ten kieruje się zwykłą zazdrością i pożądaniem[8].

Paderewski doczekał się angażu ze względu na swoją niezwykłą, zwłaszcza jak na tamte czasy, popularność. Anglicy z ogromną chęcią zobaczyli go na wielkim ekranie, tak samo jak z lubością inwestowali w peruki imitujące jego fryzury, czy lizaki w kształcie jego głowy. Kompozytor inkasował bajońskie sumy za swoje trasy koncertowe – nawet 95 tysięcy dolarów, co na tamte czasy było wynagrodzeniem wręcz szokującym[9].

Ogromnie interesujący, chociaż już niezwiązany z Polską, wydaje się też przykład Evelyn Nesbit Thaw – modelki z początku XX wieku. Jej filmowa historia jest o tyle ciekawa, że wcieliła się w samą siebie w opowieści o... zbrodni swojego męża, który z zazdrości zamordował wcześniejszego „partnera" żony10. Obecność pani Thaw w „The Unwritten Law: A Thrilling Drama Based on the Thaw-White Tragedy" (1907) sprawiała, że widzowie odbierali ją jako bardziej autentyczną i wiarygodną.

Na sam koniec pozostało poświęcenie kilku słów artystom, którzy nie zdobyli sławy dzięki występom filmowym, ale z czasem postanowili spróbować kariery aktorskiej. Nie jest to zjawisko rzadkie, w dużej mierze dlatego, że środowiska artystyczne – niezależnie od konkretnej dziedziny sztuki – zwykły się przenikać przy okazji różnego rodzaju projektów lub po prostu towarzyskich spotkań.

Spośród wielu postaci, które podjęły decyzję o rozszerzeniu swojej aktywności na kinematografię, warto wymienić chociażby Andy'ego Warhola, znanego dzisiaj przede wszystkim z twórczości malarskiej. Artysta zagrał w 9 filmach, w zaś 40 wystąpił gościnnie lub jako on sam. Co ciekawe, nakręcił też niemal 70 produkcji. Były to jednak filmy eksponujące przede wszystkim możliwości formalne rejestrowania rzeczywistości czy próby uwiecznienia realizowanych przez Warhola performansów[11].

Dużo bardziej klasyczne podejście do sztuki filmowej reprezentował z kolei David Bowie. Znany muzyk na swoim koncie ma występy w prawie 30 filmach. Najczęściej grał samego siebie, ale wcielił się też w Nikola Teslę, czy wspomnianego wyżej Andy'ego Warhola. W 1977 roku otrzymał nawet nagrodę za swój występ aktorski w „Człowieku, który spadł na ziemię" (1976).[12]

Inny muzyk – Jared Leto – wokalista zespołu 30 Second to Mars obie kariery rozpoczął niemal równocześnie. Rosnąca popularność jako rockmana towarzyszyła rozwojowi Leto jako aktora. Wiele z filmów, w których grał, na stałe zapisało się już w historii kinematografii. Wymienić można np. „American Psycho" (2000), „Requiem dla snu" (2000), czy „Witaj w klubie" (2013), za który to film Leto otrzymał Oscara. Muzyk słynie z tego, że do swoich ról przygotowuje się z pełnym poświęceniem, nierzadko drastycznie zmieniając wygląd. Znany jest też z wchodzenia w rolę na cały czas trwania zdjęć. Wystarczy wspomnieć o niedawnym projekcie, „Legionie samobójców" (2016), w którym Leto wcielał się w psychotycznego złoczyńcę, Jokera. By możliwie wczuć się w rolę, rockman wysyłał partnerom z planu nieprzyjemne niespodzianki utrzymane w duchu potencjalnych upominków od jego filmowej postaci, jak szczury, czy zużyte prezerwatywy[13].

Podsumowanie

Umiejętne aktorstwo stanowi jeden z fundamentów udanego filmu, niemniej widzowie są w stanie wybaczyć wiele postaciom, które darzą sympatią. Tak jak z przyjemnością śledzimy pierwsze kroki w showbiznesie naszych najbliższych, tak i na ulubionych muzyków, naukowców czy reżyserów spoglądamy łaskawszym okiem, gdy na naszych oczach podejmują się czegoś nowego. Dużo łatwiej wybaczymy im potknięcia, niekiedy wręcz w ogóle nie baczymy na ich brak umiejętności. Z logicznego skupienia na wartości i umiejętnościach przechodzimy w tryb odbioru emocjonalnego. Bądź co bądź zwykle występy naturszczyków w superprodukcjach czy „poważnych" projektach artystycznych ograniczają się do kilku minut, czasami wręcz sekund – nie zaburzają więc zanadto naszego obrazu całości, a niekiedy wręcz podnoszą jego wartość.

Filmowi twórcy wykorzystują opisane zjawisko do własnych celów. Czasami, by podkreślić swoją przynależność do jakiejś grupy i tym samym wzbudzić jej sympatię; czasami, by wykorzystać jego marketingową moc; czasami, by nadbudować na takim epizodycznym występie jakiegoś gościa dodatkowy sens. Mijają lata, a liczba gościnnych występów i cameo wyraźnie rośnie. Do filmu angażowani są ludzie z różnorodnych dziedzin (nawet ekonomii, socjologii, czy astrofizyki) i nic nie wskazuje na to – zwłaszcza przy mnogości zalet tego zabiegu – by opisywana tendencja miała się zmienić. Zresztą, dlaczego mielibyśmy rezygnować z czegoś, co sprawia nam tyle przyjemności? ■

Alicja GÓRSKA
Autorka jest doktorantką Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego zajmującą się przemianami polskiej krytyki filmowej. Absolwentka filmoznawstwa oraz twórczego pisania na Uniwersytecie Łódzkim. Zawodowo – copywriterka. Z pasji – autorka strony krytyk.com.pl.

[8] *Sonata księżycowa* [w:] Filmweb.pl [online] https://www.filmweb.pl/film/Sonata+ksi%C4%99%C5%BCycowa-1937-196028/descs [data dostępu 27.10.2019]

[9] W. Stanowski, *Wielcy, którzy zagrali siebie*, [online] https://www.tygodnikprzeglad.pl/wielcy-ktorzy-zagrali-siebie/ [data dostępu: 28.10.2019]

[10] L. Baker, *Evelyn Nesbit: The world's first supermodel*, [online] http://www.bbc.com/culture/story/20141222--the-worlds-first-supermodel [data dostępu: 28.10.2019]

[11] *Andy Warhol* [w:] Filmweb.pl, https://www.filmweb.pl/person/Andy+Warhol-72113 [data dostępu: 28.10.2019]

[12] *David Bowie* [w:] Filmweb.pl, https://www.filmweb.pl/person/David+Bowie-5082 [data dostępu: 28.10.2019]

[13] *Jared Leto na premierze „Legionu samobójców": Nie wierzyłbym we wszystko co mówi Joker*, [online] http://kultura.wm.pl/374590,Jared-Leto-na-premierze-Legionu-samobojcow-Nie-wierzylbym-we-wszystko-co-mowi-Joker.html [data dostępu: 28.10.2019]

Kulawa edukacja

W grudniu 2019 roku Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina zaprosiła młodych słuchaczy na przedpołudniowy koncert zatytułowany Architektura. Wystąpiła orkiestra FŁ pod dyrekcją Agnieszki Nagórki a z orkiestrą dwaj, grający na trąbkach, soliści – Sławomir Cichor i Manu Mellaerts. Prelegentem był architekt, dr hab. Jacek Wesołowski. Na estradzie pojawił się też, reprezentujący gospodarzy, anonimowy konferansjer o wyglądzie studenta. Ustaliłem później, że nazywa się Piotr Mika

Wprawdzie młodym słuchaczem już od dość dawna nie jestem, to jednak na koncert wybrałem się, gdyż zainteresował mnie temat, moim zdaniem, dla muzyki nader istotny. Wagę tematu docenili też zapewne pedagodzy, którzy przyprowadzili uczniów. Młodzież wypełniła prawie całą salę koncertową. Jak się dowiedziałem – uczniowie z danej szkoły raz w roku szkolnym wybierają się do „szklanego domu" przy ul. Narutowicza na tego typu imprezę, cześć notabene przyjeżdża spoza Łodzi.

Wszyscy liczyli chyba na dobrze przemyślaną, treściwą prelekcję wskazującą m.in. na różnice, ale i związki architektury – sztuki przestrzennej – z rozciągającą się w czasie muzyką. Obie sztuki są asemantyczne, choć w obu mogą pojawić się elementy przedstawiające (znaki ikoniczne w architekturze i ich odpowiedniki, elementy onomatopeiczne, w muzyce). Składające się na architekturę forma, konstrukcja i funkcja mają, oczywiście, zastosowanie także do sztuki dźwięku.

Czy któraś z tych kwestii została podjęta? Czy uzmysłowiono uczniom podział sztuk na czasowe i przestrzenne, przedstawiające i nieprzedstawiające, czy wskazano na to, co architekturę i muzykę, przy wszelkich różnicach, łączy? Czy zacytowany może został Goethe, nazywający architekturę „zakrzepłą muzyką", czy rozwinięto temat konstrukcji, formy, skądinąd dla sztuki podstawowy? Czy poruszono w tym kontekście problem ekspresji? Nic z tych rzeczy. Dr Wojciechowski – zaczynając od postawienia „dowcipnego" pytania: *czym jest architektura – czy chodzi tu o tekturę?* – w swoich kilku „wejściach", wspomaganych migającymi na ekranie ilustracjami, ograniczył się do przekazania lakonicznych informacji o stylach architektonicznych, „przelatując" w wielkim tempie od starożytnych porządków po współczesność. Secesję czy ekspresjonizm, choć wymienił, pozostawił bez żadnego wyjaśnienia. Zdziwienie wzbudził stwierdzeniem, że teraz (a więc w postmodernizmie – słowo to zresztą nie padło) style już się nie mieszają. Była to narracja chaotyczna, z wykonywaną na tym koncercie muzyką niezwiązana, a aż prosiło się porównanie klasycyzmu i neoklasycyzmu architektonicznego z muzycznym. Posługujący się permanentnie tabletem konferansjer nic, w sensie merytorycznym, nie wniósł, *Koncertu na dwie trąbki* Collinsa nawet nie zapowiedział jako utworu neoklasycznego, oznajmił za to wcześniej, że będzie wykonane *Divertimento KV 136* Mozarta, mimo że skameralizowany wówczas skład orkiestry miał zagrać i zagrał tylko pierwszą część tego utworu. Dodam jeszcze, że orkiestrowe interpretacje okazały się dość przeciętne, zabłysnęli jedynie soliści – trębacze.

Młodzież i nauczyciele chyba się szybko znudzili i po czteroczęściowej *Symfonii D- dur „Klasycznej"* Prokofiewa prawie wszyscy szybko opuścili salę, choć została zapowiedziana „część dyskusyjna". Pozostała tylko malutka garstka młodzieży. Usadowieni na estradzie w fotelach dyrygentka, prelegent, soliści-trębacze i prowadzący rzekomo dyskusję konferansjer natychmiast ujawnili, że nie maja żadnej koncepcji rozmowy. Każdy mówił, co mu ślina na język przyniosła, dyrygentka pokazując batutę pytała młodzież: *a co to za kijek?* Trębacz zagadnął: *trąbka, czy to może instrument smyczkowy?* I dalej: *grywacie sobie na telefonach?* Pytanie konferansjera brzmiało: *jakie kto lubi style w muzyce i architekturze?* Najwyraźniej tylko architekt zaplanował sobie wcześniej, że powie coś o wykorzystywanym w architekturze złotym podziale odcinka. Wyjaśniał jednak tak zawile, że z pewnością nikt nie zrozumiał, o co mu właściwie chodzi, a wystarczyło przecież stwierdzić, że mniejsza część odcinka ma się tu do większej tak, jak większa do całości. Pozostali, usadowieni w fotelach „eksperci", gdyby coś na ten temat wiedzieli, powinni od razu wspomnieć o zastosowaniu złotego podziału w muzyce, np. u Bartoka, ale milczeli.

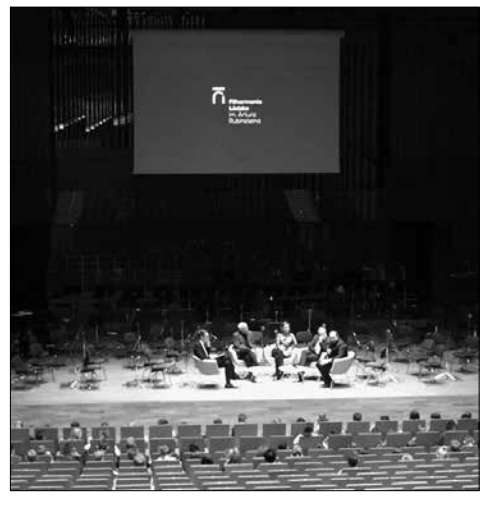

Ogólnie – wielka zapanowała w tej „dyskusji" miałkość, poraził bałagan myślowy a cała impreza, przykro to stwierdzić, okazała się wręcz antydydaktyczna. Nie zdziwiłbym się, gdyby słuchacze, którzy musieli zapłacić 25 a nawet 35 zł za bilet, mocno sie do łódzkiej filharmonii zniechęcili.

Pod szyldem tej placówki, przez kilkadziesiąt lat odbywały się w wielu szkołach Łodzi i regionu comiesięczne, dobrze opracowane tematycznie koncerty umuzykalniające, na które regularnie wyjeżdżały zmieniające się za każdym razem, kameralne składy muzyków – instrumentalistów i śpiewaków – wraz z wyspecjalizowanym, umiejącym trafić do świadomości młodzieży, prelegentem, stałym na danej „trasie". Obecny dyrektor filharmonii Tomasz Bęben tę samofinansującą się zresztą akcję zlikwidował, uznając ją za niepotrzebną. A co zaproponował w zamian – można się było właśnie przekonać.

JANUSZ JANYST

Jubileusz znanego malarza koni

Andrzej Novák-Zempliński, „Autoportret z Jankiem i ogarami", olej na płótnie, 100 x 130 cm, 1995, reprodukcja obrazu Wojciech Karpiński

W Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą w Sochaczewie (plac Kościuszki 12) w październiku i listopadzie 2019 r. miała miejsce wystawa malarstwa Andrzeja Novák-Zemplińskiego (ur. 1949 r.). Okazją do retrospektywnej wystawy były 70. urodziny artysty, słynącego z malarstwa krajobrazowego i malarstwa koni. Jest także architektem, konserwatorem architektury zabytkowej i założeń ogrodowych, kolekcjonerem, specjalistą od zabytkowych pojazdów konnych, miłośnikiem koni, uprawia jeździectwo. Piękne portrety konkretnych koni (zwykle czystej krwi arabskiej) zawsze mają w tle urokliwy wiejski krajobraz, czasem jakiś ziemiański lub arystokratyczny obiekt. Artysta maluje konie wyścigowe, wierzchowe, zaprzęgowe, konie wojskowe; większość obrazów – portretów konnych – powstała na zamówienie, więc przedstawia konie znane z imienia i rodowodu. Portrety koni powstają także na zamówienie hodowców zagranicznych, w tym kupców koni z aukcji m.in. w Janowie Podlaskim. Bogata klientela, głównie amerykańska, pozwoliła artyście na zarabianie pieniędzy, które inwestował w odbudowę zakupionego, zrujnowanego, starego ziemiańskiego dworu Tułowice. W Ameryce wszedł w kręgi wyścigowe i sportowe, poznał największych hodowców i trenerów koni, namalował dla nich wiele obrazów; na ogólną liczbę namalowanych około 350 – aż 200 dzieł sprzedał w Stanach Zjednoczonych. Namalował m.in. dla Armanda Hammera słynnego ogiera El Paso (przepiękny gniady ogier czystej krwi arabskiej, urodzony w 1967 r., kupiony w 1981 r. w Janowie za rekordową do dziś kwotę miliona dolarów właśnie przez A. Hammera).

Pan Novák-Zempliński mieszka i tworzy w urokliwym miejscu – szlacheckim dworze w Tułowicach k. Sochaczewa. Ten piękny klasycystyczny dwór pochodzi z przełomu XVIII i XIX w. Po 1945 r. komuniści urządzili w tym przepięknym obiekcie m.in. magazyn nawozów sztucznych (!), doprowadzili go do kompletnej ruiny, opuścili w 1968 r. i zostawili niezabezpieczony. Reszty zniszczenia dokonali złodzieje i wandale. Nie tylko rozkradziono wszystko, co można było wynieść, ale i rozebrano zabudowania dworskie oraz zniszczono zabytkowy park. Na niszczejący obiekt w 1976 r. trafił p. Novák-Zempliński, w 1980 r. zakupili go wraz z żoną Aleksandrą. Od razu przystąpili do żmudnego remontu – odbudowy zabytkowego dworu i parku. Osiedli tu na stałe, oboje są absolwentami Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, on studiował na Wydziale Malarstwa pod kierunkiem Michała Byliny i Ludwika Maciąga – wybitnych malarzy także i koni. Dziś dwór w Tułowicach jest jedną z pereł architektonicznych Polski. W 1999 r. Zemplińscy otrzymali za odnowienie i uratowanie zabytku europejski medal Europa Nostra. Jest to ważna nagroda za ochronę dziedzictwa kulturowego, jeden z niewielu medali przyznanych Polsce, otrzymały go także: willa Herbsta w Łodzi (1990 r.), pałac-muzeum Zamoyskich w Kozłówce (1996 r.), kościół „Na Pólku" k. Bralina (1992 r.), kościół św. św. Filipa i Jakuba w Sękowej (1994 r.), cerkiew w Owczarach (1994 r.), muzeum w Biskupinie (2006 r.).

Gość Tułowic zostanie oprowadzony przez dzisiejszego właściciela po dworze, parku (4 ha), obejrzy nie tylko jego obrazy, ale i kolekcję zebranych przez artystę polskich powozów i sań; w której znajdują się 24 pojazdy dworskie, także uprzęże i inne tego typu akcesoria.

Artysta jest parafianinem tego samego kościoła co ongiś Fryderyk Chopin, gdyż Tułowice leżą w parafii Brochów, gdzie został ochrzczony Chopin, urodzony w pobliskiej Żelazowej Woli w 1810 r. Dla Brochowa p. Novák-Zempliński wykonał 20 prac projektowych rekonstrukcji wnętrz. Przywracano świetność kościołowi na 2010 r. – Rok Chopinowski, po zaniedbaniach i uproszczeniach w rekonstrukcjach, gdy odbudowywano świątynię po jej zniszczeniu w 1915 r. Zaprojektował m.in. ambonę, stalle, ołtarz boczny.

Wernisaż wystawy 19 października 2019 r. zgromadził bardzo wielu gości. Obrazy wyeksponowano w kilku salach muzeum, pokazano 70 obiektów, w tym 53 obrazy olejne plus akwarele i rysunki, studia do obrazów; jubilat zaprezentował też rodzinne fotografie. Obiekty pochodziły z archiwum artysty, z muzeów i od kolekcjonerów; najstarszy obraz został namalowany w 1970 r. (akwarela). Poza portretami koni można było obejrzeć portrety malarskie psów, przyrodę, sceny zaprzęgowe, rysunki powozów. Wśród płócien były m.in.: scena z Napoleonem na obrazie zatytułowanym „Cesarska kareta 1812", „Nad Utratą" obraz 100 x 200 cm – stado pasących się koni nad malowniczą rzeką, czy reprodukowany tu autoportret. Z rysunków artysta pokazał m.in. rysunki projektowe dotyczące wyposażenia wnętrz kościoła w Brochowie.

Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą w Sochaczewie (dyrektor Paweł Rozdżestwieński) zajmuje duży zabytkowy obiekt w centrum miasta. Jest to dawny klasycystyczny ratusz miejski, wystawiony na początku XIX w. według projektu Bonifacego Witkowskiego, budowniczego w Królestwie Polskim; zaprojektował m.in. ratusze w Sochaczewie, Łowiczu, Rawie Mazowieckiej. Ratusz sochaczewski wystawiono w manierze dziewięcioosiowego pałacu, z wklęsłym portykiem na osi zwieńczonym trójkątnym tympanonem podpartym czterema mocno wysuniętymi pilastrami. Muzeum reklamuje się, że jest najokazalszym w Polsce muzeum jednej bitwy. Zbiory eksponowane są w jego wnętrzach na wystawie stałej „Pole Bitwy 1939–1945" oraz plenerowo na dziedzińcu muzeum.

Opisywana wystawa malarstwa była wzbogacona o drukowane zaproszenie z krótkim przesłaniem artysty; w regionalnym „Roczniku Sochaczewskim" nr 1/2019 ukazał się artykuł o wystawie, napisany przez pracownika muzeum Radosława Jarosińskiego, obszerna ilustrowana relacja z 45 zdjęciami jest do obejrzenia na stronie e-sochaczew.pl.

W krótkim autorskim tekście zamieszczonym w zaproszeniu, artysta napisał m.in.: *Jest pracownia* [w jego dworze – WG], *w której na sztalugach powstają obrazy, a tematem wiodącym są konie. Tu powstają portrety słynnych i mniej słynnych koni, portrety jeźdźców, sceny stajenne, zaprzęgi, widoki architektoniczne i pejzaże. Na ich formę i kształt mają wpływ duch i klimat miejsca, gdzie są tworzone, ale też wcześniejsze moje fascynacje angielską „sporting art", która odcisnęła swe piętno na całej europejskiej i nie tylko europejskiej sztuce „końskiej".*

Nie uważam, że to co robię jest w odniesieniu do sztuki współczesnej anachronizmem, drogą pod prąd. Tak maluję, bo tak czuję, nie próbuję oszukać ani siebie, ani tym bardziej tych, którzy na takie obrazy oczekują. Moje obrazy znajdują szeroki odbiór i poczesne miejsce w kolekcjach znanych ludzi, hodowców i miłośników koni w Europie, obu Amerykach, Afryce, Australii, Nowej Zelandii.

Na 2020 r. zapowiedziano wydanie albumu z obrazami Andrzeja Novák-Zemplińskiego, poprzedni z 1987 r. rozszedł się w nakładzie 30 000 egzemplarzy.

Artysta udziela się czynnie w Stowarzyszeniu Miłośników Dawnej Broni i Barwy, stowarzyszeniu Domus Polonorum (zrzesza właścicieli zabytkowych rezydencji wiejskich), Polskim Towarzystwie Powozowym.

Wojciech Stanisław GROCHOWALSKI

Andrzej Novák-Zempliński (pośrodku) z Andrzejem Żabką ze środowiska 4. Pułku Strzelców Konnych Ziemi Łęczyckiej (na zdjęciu z prawej strony) i synem Maksymilianem

Podczas wernisażu wystawy, Sochaczew 19 października 2019 r., fot. Radosław Jarosiński

Rocznica aukcji dzieł młodych artystów

15 lat promocji twórczości młodych, łódzkich artystów plastyków

Niebawem obchodzić będziemy 15. rocznicę narodzin idei promowania twórczości łódzkich artystów plastyków młodego pokolenia. Wtedy to powstał pomysł sprzedaży aukcyjnej ich dzieł z niskimi cenami wywoławczymi, odpowiadającymi mniej więcej kosztom wytworzenia. Projekt przygotował i przeprowadził łódzki domu aukcyjnym Rynek Sztuki, kierując się do absolwentów wówczas Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (obecnie Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego). Do tego momentu absolwenci uczelni plastycznych mieli ograniczony dostęp do rynku, co wynikało z praw ekonomii – ani galerie, ani domy aukcyjne nie były zainteresowane oferowaniem klientom obrazów, na których nie były w stanie zarobić. Płótno świeżo upieczonego malarza można było wystawić na sprzedaż z ceną góra 2.000 – 1.000 zł, a biorąc pod uwagę, że koszt utrzymania 1 m2 przestrzeni ekspozycyjnej w galerii wynosił od 100 do 200 zł miesięcznie, to oznaczało, że przy 30% marży, jeżeli dzieło w przeciągu 2-4 miesięcy nie znalazło nabywcy dalsza ekspozycja przynosiła straty. Nic więc dziwnego, że zarówno właściciele galerii jak i domów aukcyjnych od sztuki młodych artystów starali się trzymać z daleka, preferując sprawdzonych na rynku twórców starszego pokolenia, których obrazy można było sprzedać drożej, z korzystniejszą marżą.

Pierwsza aukcja obrazów i grafik artystów plastyków, jeszcze studentów lub młodych absolwentów łódzkiej PWSP, zorganizowana przez dom aukcyjny Rynek Sztuki, która odbyła się w lutym 2006 roku zakończyła się zdumiewającym zarówno dla twórców jak i organizatorów sukcesem. Sprzedano większość dzieł, niektóre z dość dużym przebiciem. Sukces wynikał nie tylko z atrakcyjności cenowej oferty, ale w dużym stopniu z medialnego wsparcia przedsięwzięcia jakiego udzielili mu łódzcy dziennikarze, którzy słusznie dostrzegli w imprezie istotne wartości kulturalne, ważne dla łódzkiego środowiska. Był to bowiem pomysł, który pozwalał wszystkim mającym potrzebę obcowania ze sztukami plastycznymi na zaopatrzenie się w dzieła po stosunkowo niewielkich kosztach. Należy wspomnieć artykuły prasowe Renaty Sas („Express Ilustrowany"), Michała Lenarcińskiego („Dziennik Łódzki"), Wojciecha Grochowalskiego („Kultura i Biznes") i telewizyjne reportaże Piotra Słowikowskiego (TVP3 Łódź), które choć poświęcone łódzkiej sztuce okazały się w przyszłości odgrywać istotną rolę dla kształtowania pozycji młodych artystów w kulturze całego kraju.

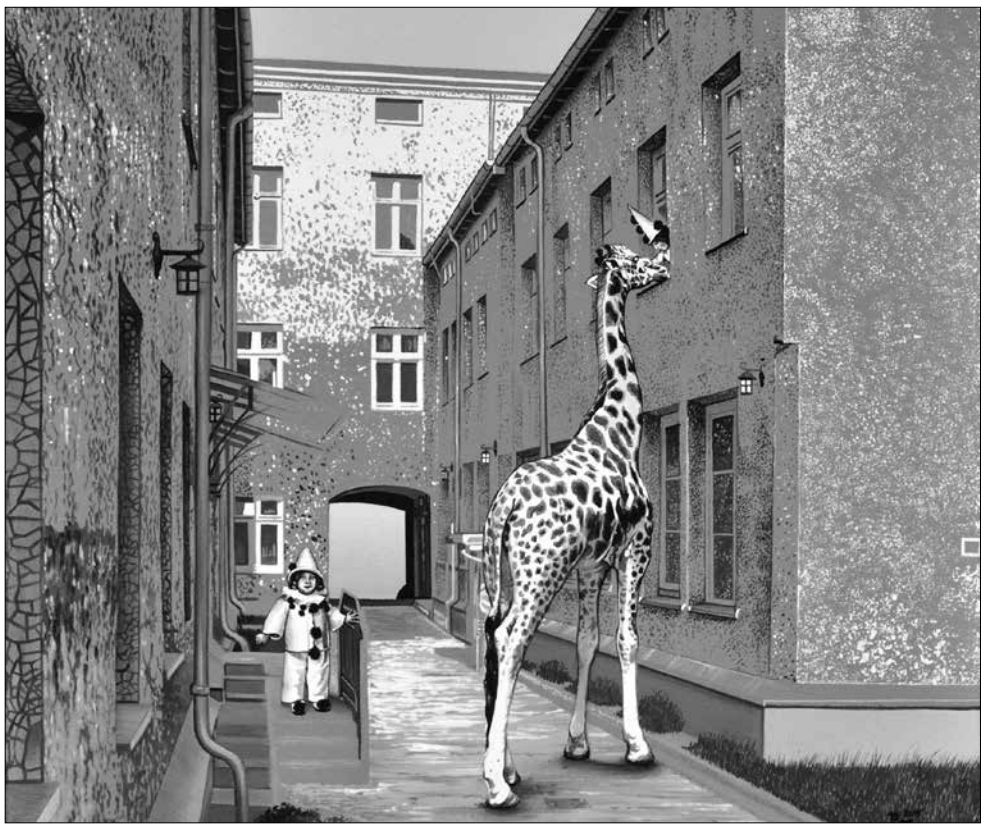

Paulina Zalewska, „Dom z jedną wieżą", akryl na płótnie, 60 x 60 cm, 2019

Jeszcze raz łódzkie środowisko pokazało, że jest kolebką polskiej awangardy. Aukcje Promocyjne organizowane w Łodzi w latach 2006 i 2007 dopiero w 2008 roku znalazły naśladowców. Domy aukcyjne w Warszawie, Sopocie, Krakowie i Bydgoszczy także zaczęły oferować klientom obrazy młodych absolwentów wyższych szkół plastycznych za niskie ceny. I tak jak w Łodzi reakcja środowiska miłośników sztuki była entuzjastyczna – sprzedawano prawie wszystko, a ceny tzw. „spod młotka" nierzadko przekraczały kilka tysięcy złotych. Tak narodził się nowy segment polskiego rynku sztuki nazywany obecnie Młoda Sztuką.

W 2019 roku portal Artinfo.pl opublikował raport prezentujący aktywność polskiego, aukcyjnego rynku sztuki oceniając jego obroty w 2018 roku na 252 mln zł. Udział młodych twórców wyniósł zaledwie 3,5% (9,1 mln zł), ale patrząc na ilość sprzedanych obiektów – 4.478 to aż 42,4% wszystkich dzieł, które znalazły nabywców. Sprzedaje się więc dużo, ale tanio bowiem średnia wartość wylicytowanego obrazu młodego artysty to 1.658 zł (średnia wartość sprzedanego na aukcji sztuki dzieła – 16.900 zł). Chociaż ceny są stosunkowo niskie to dla wielu młodych artystów plastyków udział w aukcji jest metodą na dobry początek własnej kariery artystycznej. Widoczne jest, że wśród w ten sposób debiutujących tworzy się grupa osób, których dzieła sukcesywnie zbliżają się lub przekraczają cenę 10.000 zł. Raport Artinfo podaje, że aktywnie działających na rynku firm, które organizują aukcje adresowane do kończących uczelnie artystyczne lub ich młodych absolwentów jest 13 i w 2018 roku dedykowano im 92 aukcje. W każdej z nich bierze udział kilkudziesięciu twórców a ponad 64% oferty znajduje nabywców. To dużo, gdyż średnia dla wszystkich aukcji wynosi 45% a na oferujących same antyki rzadko przekracza 30%.

Rekordzistą z grupy młodych jest Wojciech Brewka, który sprzedał w 2018 roku na aukcjach 14 obrazów za 162.000 zł, ale jest to kwota uwzględniająca doliczaną do ceny młotkowej opłatę domu aukcyjnego w wysokości od 18 do 23%. Ponad 100.000 przyniosły jeszcze transakcje płótnami Joanny Misztal (137.000), Adama Wątora (123.000), Mirelly Stern (121.000), Tomasza Kosteckiego (116.000) i Alicji Kappa (111.000). Ile z tego trafiło do kieszeni twórców? Należy przyjąć, że mniej więcej ok. 50%, gdyż prace wylicytowano w domach aukcyjnych pobierających 40% marże od ceny młotkowej.

Oczywiście trudno te wyniki porównać z herosami polskiego rynku sztuki, gdzie zdecydowanie na pierwszym miejscu był Wojciech Fangor (1922-2015), gdyż za 25 sprzedanych jego obrazów otrzymano ponad 24 mln zł. Za płótno Fangora płaci się już nawet powyżej 4 mln zł, a więc została przebita psychologiczna bariera 1 mln dolarów za obiekt. Rynek rzeźby zdominowała twórczość Magdalena Abakanowicz (1930-2017), której 50 prac przyniosło prawie 10 mln zł., za dzieło Romana Opałki (1931-2011) uzyskiwano ok. 2,5 mln. To ciekawe zjawisko, gdyż pisane obrazy Opałki znajdują się w wielu międzynarodowych, renomowanych kolekcjach sztuki współczesnej, zaś Fangor jest raczej polską, lokalna sławą. Takie ceny są dowodem na większą zamożność polskich kolekcjonerów, którzy licząc na rozwój rodzimego rynku nie boją się inwestować w twórczość, która niekoniecznie (?) zostanie w przyszłości wysoko oceniona za granicą. Dlatego też wielką szansę mają młodzi malarze, których obrazy kupowane są przede wszystkim ze względu na ich walory artystyczne a nie ekonomiczne.

W sobotę 7 marca odbędzie się 49 Aukcja Promocyjna, którą organizuje łódzki dom aukcyjny Rynek Sztuki, dedykowana twórczości młodych absolwentów Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego, w czasie której pod młotek pójdzie 128 dzieł. Będą to przede wszystkim obrazy, ale także grafiki, tkanina i obiekt artystyczny. Jak zwykle ceny wywoławcze zachęcają do kupowania. Oferta prezentowana jest w salonie firmy przy ul. Wschodniej 69 (I piętro) i na stronie www.rynekszuki.eu. Licytować można osobiście, przez telefon lub korzystając z portali www.artinfo.pl lub www.onebid.pl.

Wojciech NIEWIAROWSKI

Malarstwo guma

Wystawa Barbary Dawid

W galerii Akademii Sztuk Pięknych „od NOWA", w maju 2019 roku miała miejsce wystawa obrazów Barbary Dawid, zatytułowana „Szczere pola. Malarstwo guma". Autorka pokazała kilka wielkoformatowych obrazów wykonanych w technikach tradycyjnych i obrazy wykonane w technice gumowej. W tradycyjnej technice olejowej i akrylowej pokazała obrazy z cyklu pejzaży, zaś druga grupa prac pochodziła z cyklu zatytułowanego „Człowiek i ziemia", prace wykonane w rzadko używanej ostatnio technice gumy. Jest to stara technika fotograficzna, w której artysta pokrywa przygotowane płótno (blejtram) uczuloną gumą arabską a następnie naświetla je zdjęciem w skali 1:1 (sfotografowanym tematem, obiektem) wg którego tworzy się ów gumowy obraz. Naświetlone bezpośrednio z kliszy płótno wypłukuje się pod prysznicem; błony fotograficzne używane przez Barbarę Dawid miały format nawet 85 x 120 cm.

Artystka uzyskała dyplom magistra sztuki w 1988 roku. Jest absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi (dzisiejszej ASP) na Wydziale Malarstwa i Grafiki, miała za nauczycieli i promotorów dwóch wybitnych artystów – malarstwo studiowała w pracowni prof. Stanisława Fijałkowskiego zaś grafikę w pracowni technik metalowych prof. Leszka Rózgi. Jest także projektantem graficznym, była członkiem nieistniejącej już artystycznej łódzkiej Grupy R i Stowarzyszenia Artystów Św. Jerzego – nazwa od adresu pracowni przy ul. Świętego Jerzego w Łodzi. W Stowarzyszeniu tym skupiony jest także jej mąż, malarz Piotr Ciesielski; dzielą wspólną pracownię.

Poza malarstwem we wspomnianych technikach tj. olejowej, akrylowej i gumowej, artystka uprawia rysunek i grafikę w technologii wklęsłodruku.

Tworzy obrazy pojedyncze nadając im tytuły raczej z wymogu katalogowego na wystawę (np. „Roztopy", „Szczere pola", „Ekspresja", „Impresja") i cykle; te drugie m.in. o tytułach „Człowiek i ziemia", „Z lasu", „Pola", „Pomosty". Jej obrazy powstają często z inspiracji z pleneru, czasami są realistyczne, czasami abstrakcyjne, w zależności co bardziej urzeka jej wrażliwość; tematami są natura i człowiek.

Pokazane na wystawie w Łodzi obrazy namalowane zostały w dużych formatach, mają kształty kwadratów, prostokątów i koła – na kolistym blejtramie, są dekoracyjne, kolorowe. Kilka z nich artystka pokazała na wystawie w Tarnobrzegu, w sierpniu 2019. Tam wystawa miała tytuł „Pejzaże oswojone".

Wojciech S. GROCHOWALSKI

Barbara Dawid na tle swoich obrazów: „Ekspresja" (za plecami artystki) i „Impresja"; akryl, średnica 104 cm, 2013

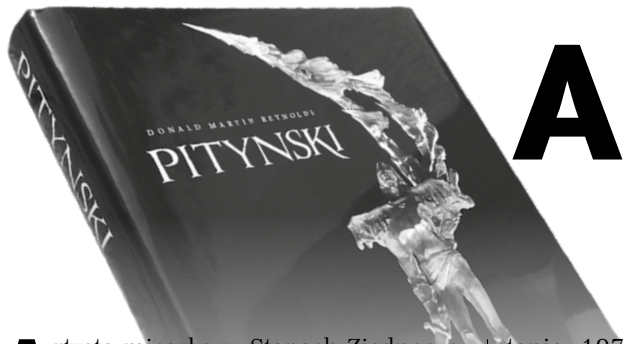

ANDRZEJ PITYŃSKI –

Sztuki od miłości Ojczyzny oderwać nie wolno
Jan Matejko

Artysta mieszka w Stanach Zjednoczonych od 1974 roku, prowadzi pracownię rzeźby w Seward Johnson Atelier w Hamilton w stanie New Jersey. Z Polski wyjechał od razu po otrzymaniu dyplomu Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Studiował tam rzeźbę u prof. Jerzego Bandury, ucznia Xawerego Dunikowskiego; jego krakowskim mistrzem był też Marian Konieczny. Jeszcze jako student m.in. wyrzeźbił w sztucznym kamieniu w 1973 r. popiersie Ignacego Jana Paderewskiego, stojące do dziś w Krakowie przed *Collegium Paderevianum*. Temat tego wielkiego Polaka jeszcze wiele razy zajmował go artystycznie.

Analizując przebieg jego pracy i zainteresowań, widać, że karierę zaczynał w Ameryce od razu od wielkich spraw i poważnych tematów, nie tracił czasu. Zaczynał dużym portretem Rubinsteina (1976), do pianisty ma dużo szacunku, tą rzeźbą dziękował mu także za Hymn Polski odegrany w maju 1945 r. w ONZ w San Francisco! Patriotyzm polski Rubinsteina był motywem tej rzeźby; potem zachwycił wielką plenerową rzeźbą „Partyzanci" (1979) i kolejnymi, które są już oczywistymi sukcesami. Wszystkie są realistyczne, prawdziwe, nie ma tu abstrakcji, niedomówień, oglądający widzi jasno niekłamany przekaz.

Jest autorem ok. 500 realizacji: pomników, rzeźb, płaskorzeźb, tablic i medali; w granicie, brązie, aluminium. Jest twórcą słynnych i wielkich gabarytowo rzeźb monumentalnych o tematyce patriotycznej i martyrologicznej. Tematyka ta przysparza mu i w Ameryce problemy, takie akcje przeprowadzali rękoma Amerykanów sowieci i ich polscy wyrobnicy mieniący się tam dyplomatami. Dokumentację na te tematy Pityński obiecał przekazać do IPN.

Urodził się na Podkarpaciu, w miasteczku Ulanów, nad Sanem, rodzice byli żołnierzami AK, po 1945 podziemia antykomunistycznego, matka Stefania ps. „Perełka", ojciec por. Aleksander Pityński (1926-1994) ps. „Kula" był żołnierzem Narodowej Organizacji Wojskowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. W szeregach NOW-NZW działał też brat matki rzeźbiarza, Michał Krupa ps. „Pułkownik". Jego rodzice i ludzie znani mu osobiście walczyli tam z Niemcami, z Armią Czerwoną, NKWD, z bandami UPA, z UB, KBW, MO, ORMO. Przeżycia z dzieciństwa, obławy UB na dom, bicie ojca na oczach dziecka, wywlekanie zimą rodziców półnagich i boso na śnieg, torturowanie ojca w więzieniu – to wszystko wywarło trwały ślad na psychice młodego Andrzeja i zapewne ukształtowało później wizje artystyczne. Artysta wspominając rodzinę, często wraca pamięcią także do dziadka Andrzeja, flisaka, ostatniego retmana z Ulanowa, który organizował spławy drewna do Gdańska. Wracał z ciekawymi upominkami ze świta zakupionymi w porcie. Jego dalszy przodek, retman Stefan Pityński był pisarzem kroniki Bractwa Sterników i Flisaków pod wezwaniem – Św. Barbary (1726).

Na wielu rzeźbach są konie, jeźdźcy, ułani; gdy odwiedziłem go kilkanaście lat temu w pracowni w Johnson Atelier, na biurku stała piękna rzeźba – projekt konnego pomnika marszałka Józefa Piłsudskiego. Ukazał Marszałka na kasztance w czterech chodach konia (vide zdjęcie tej rzeźby na końcu gazety). Otóż konie są wielką życiową pasją artysty. Pityński jest znakomitym jeźdźcem. Pierwszego konia, klacz Lalkę, dał mu pod opiekę i do jazdy – jako 6-letniemu chłopcu, jego dziadek.

Gdy przyjechał do Stanów Zjednoczonych, dalej uczył się rzeźbiarskiego rzemiosła, zarabiał na życie jako robotnik i rzeźbił w Sculpture House na Manhattanie, 1976-1977 pobierał nauki w Art. Students League, pracował pod okiem Alexandra Ettle'a i do 1979 był jego asystentem. Ettle skierował go w 1979 r. do pracowni Johnson Atelier – instytutu rzeźby, gdzie szybko zdobył swój teren do pracy; tworzył, kierował wydziałami modelowania. Obecnie pracuje tam jako profesor rzeźby, jest to Johnson Atelier Technical Institute and School of Sculpture w Mercerville, niedaleko Hamilton, stan New Jersey. Jest nie tylko artystą twórczym ale i nauczycielem akademickim, profesorem, uczy studentów z całego świata. W urządzonej tam plenerowej galerii rzeźb – Ogród Rzeźb otwarty w 1992 (Grounds For Sculpture), znajduje się ok.

Artysta podczas montażu pomnika „Patriota", Stalowa Wola 2011

250 rzeźb, w tym M. Abakanowicz i A. Pityńskiego. Są tam również rzeźby kolorowane, odtworzone tematy obrazów w formie rzeźb umiejscowionych w plenerze i niemal idealnie w scenerii przeniesionej z dzieł malarskich jak *Śniadanie na trawie* czy *Wenus z Milo*.

Największe realizacje

Po przybyciu do Nowego Jorku szybko wszedł w artystyczne amerykańskie kręgi, już w 1976 r. miał wystawę indywidualną w tym mieście, na której pokazał m.in. portret rzeźbiarski, głowę Artura Rubinsteina; rzeźbę wystawił na konkurs do Carnegie Hall, ale zwyciężył wizerunek pianisty wyrzeźbiony przez Nathana Raporta, zaś Pityński otrzymał za tę rzeźbę nagrodę burmistrza Nowego Jorku. Wykonał jeszcze dwa inne tak duże portrety rzeźbiarskie głów: Fryderyka Chopina i Jimmy Cartera (1978). Jest autorem kilku brązowych popiersi: I.J. Paderewskiego, ks. Jerzego Popiełuszko (Trenton 1987), Marii Skłodowskiej-Curie (1987, stoi przed biblioteką w Bayonne), papieża Św. Jana Pawła II, 1989 i 1991 (Ulanów i Nowy Jork, kolejny z 2019 w Cleveland). Wykonał dwa pomniki gen. Władysława Andersa: w Cassino a drugi w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown w Pensylwanii (1995), pomnik Tadeusza Kościuszki – cała sylwetka w mundurze generała amerykańskiego, z VM, w Williams Park w St. Petersburg na Florydzie, ustawiony w 2002 r. Popiersie powstańca styczniowego Juliusza hr. Tarnowskiego stanęło w Tarnobrzegu w 2003 r.

Znane tablice jego autorstwa, z płaskorzeźbami: Matki Boskiej Częstochowskiej tulącej chłopca ofiarę Powstania Warszawskiego a poniżej fragment wiersza K.K. Baczyńskiego; tablica z Matką Boską obejmującą wieże World Trade Center, po ataku na WTC zamontowana na cokole pomnika katyńskiego w Jersey City, zaś druga jej wersja zamontowana została na ścianie kościoła polskiego na Manhattanie (7 ulica) wzbogacona nazwiskami sześciu Polaków, którzy ponieśli wówczas śmierć; tablica z płaskorzeźbą Św. Maksymiliana Kolbe (1985), tablica z urną z sercem I.J. Paderewskiego (1986) w formie ukoronowanego orła i wizerunkiem pianisty (obie w Doylestone); tablica Jana Lechonia, dr Michała Janiaka w szkole LO w Ulanowie; „Tarcza Honoru" w ratuszu Ulanowa. Pomnik-płaskorzeźba ku czci „Wołyniaka" czyli Józefa Zadzierskiego, Żołnierza Niezłomnego, ufundowana w 1998 r. przez artystę stanęła w centrum cmentarza w Tarnowcu. Pomnik odsłaniała siostra „Wołyniaka", także żołnierz AK-NOW w obecności ogromnej liczby weteranów z AK, NOW, NSZ, NZW, przybyłych z Polski i Zagranicy. W Amerykańskiej Częstochowie w 2000 r. odsłonięto tablicę pamiątkową „W 80. rocznicę Cudu nad Wisłą", w sierpniu 2018 „100 lat czynu zbrojnego Polonii Amerykańskiej".

Duża kolekcja rzeźb kameralnych brązowych i srebrnych znajduje się w muzeum artysty w Ulnowie, m.in.: „Amazonki" (kilka wersji), „Marzyciele" i in.

W medalierstwie dominują tematy patriotyczne, religijne i portrety, z tych ostatnich m.in. T. Kościuszki, I.J. Paderewskiego, gen. W. Sikorskiego, Św. Jana Pawła II.

Poczet najsłynniejszych dużych gabarytowo pomników otwierają „Partyzanci I", lista ta wygląda następująco:

- „Partyzanci", pierwsza monumentalna rzeźba plenerowa Pityńskiego, ustawiona w 1979 roku w Bostonie w parku Boston Common, odsłonięta uroczyście w 1983, w 2018 r. ponowne odsłonięcie w nowej lokalizacji, po remoncie i odświeżeniu po 12-letniej przerwie, gdyż pomnik – ku radości Rosjan – usunięto na jakiś czas. Rzeźba odlana w aluminium, 10 m długości i 7 m wysokości (żołnierze z bardzo długimi lancami), ukazuje pięciu partyzantów polskich z konnego leśnego oddziału, umęczonych, ze spuszczonymi głowami; takich widział w lesie, takich zapamiętał i tak im oddał hołd. To autentyczne postaci, oddział żołnierzy prowadzi legendarny Józef Zadzierski ps. „Wołyniak". Jest to pierwsza rzeźba Żołnierzy Niezłomnych;
- „Partyzanci II" w Hamilton (NJ), aluminium, 1999, pomnik ulokowany przy torach kolejowych trasy Nowy Jork – Washington, wykonany dwadzieścia lat później, to już inna rzeźba, radosna, tu jeźdźcy głowy noszą wysoko, triumfują, defilują, na lancy proporczyk; konie parskają radośnie gotowe do kolejnej walki!;
- „Mściciel" – postać klęczącego na jednym kolanie rycerza w zbroi, uskrzydlonego (ze skrzydłem husarskim na zbroi), husarza podpartego na mieczu w pozie składającego śluby, przysięgę. Wg innych to budzący się śpiący rycerz powstający z kolan. Rzeźba z 1988 r., brąz na granicie, stoi na cmentarzu w Amerykańskiej Częstochowie wśród tysięcy mogił polskich weteranów obu wojen światowych XX w.;
- pomnik „Katyń 1940" w Jersey City, plac Exchange Place – odsłonięty 19 V 1991. Przedstawia polskiego oficera z Września 1939, zdradzonego 17 IX 1939, z wbitym w plecy sowieckim bagnetem. Rok wcześniej w ustawiony już granitowy cokół w ścianie z napisem „Katyń 1940" wmurowano urnę (w kształcie orła) z prochami z Katynia. W roku 1992 w cokół wmurowano kolejną urnę z prochami polskich mogił z Syberii i tablicę z płaskorzeźbą „1939 – Siberia", 11 IX 2004 odsłonięto na cokole tablicę z płaskorzeźbą pt. „Matka Boska Nowojorska".

Pomnik rozsławiony został także po ataku na World Trade Center 11 IX 2001. Świat obleciało zdjęcie, gdy na tle pomnika, za nim, za rzeką Hudson, widoczny był

FOT. CZ. CZAPLIŃSKI

Artysta w pracowni, praca z modelem nad Pomnikiem Katyńskim

Medale autorstwa Andrzeja Pityńskiego

wybitny twórca niezłomny

dolny Manhattan z płonącymi wieżami. Drugi raz głośno było o nim, gdy burmistrz Jersey City chciał w 2018 r. usunąć pomnik z obecnego placu, ale wtedy zwarty opór Polonii oraz poparcie nas przez radnych miasta powstrzymało działania burmistrza – Żyda, potomka ocalałych z holocaustu. Może nie wiedział, że w Katyniu Rosjanie zamordowali też 800 polskich Żydów? Argument władzy był następujący: „Ukazanie Rosjan jako wbijających cios w plecy obecnie nie jest odpowiednio poprawnym politycznie pomysłem";

■ „Płomień wolności – Katyń", pomnik katyński, ustawiony w centrum Baltimore (2000), cokół w kształcie polskiego sarmackiego kurhanu, rzeźba w brązie pozłacanym o wymiarach 18 x 15 x 15 m. W płomień wpisano postaci historyczne królów, Pułaskiego, Kościuszki i skrępowanych polskich oficerów zamordowanych w Katyniu;

■ „Pomnik Czynu Zbrojnego Polonii Amerykańskiej", nazywany też „Pomnikiem Błękitnej Armii", ustawiony w Warszawie na Żoliborzu w 1998 roku. Stoi na pl. Grunwaldzkim w pasie zieleni Al. Wojska Polskiego na wysokości domu nr 39, doczekał się w 2018 r. „przeniesienia" we fragmentach na srebrną monetę NBP o nominale 10 zł.

Na cokole trzech atakujących żołnierzy wyłania się z fal morza-oceanu: dwóch piechurów i szarżujący na koniu ułan z obnażoną szablą. Na falach nazwy miejscowości gdzie walczyła „Błękitna Armia" we Francji, Polsce, na Ukrainie. Pomnik jest barwiony, dar SWAP dla Polski. 11 XI 1999 r. kwiaty złożył tu prez. USA Georg Bush;

■ „Sarmata – duch wolności", pomnik husarza na koniu, z kopią i proporcem w barwach polskich, ustawiony w parku rzeźby w Hamilton w 2001 r., jeden z największych pomników konnych na świecie, ma wysokość 22 m (dług. 10 m), materiał: FGR-95 gips z tworzywem sztucznym;

■ „Światowid", rzeźba ustawiona w 2013 r. przed głównym wejściem do Seward Johnson Center w Hamilton, stoi w otoczeniu polskich wojów: króla Sarmatów Kraka, Bolesława Chrobrego z włócznią Św. Maurycego, Kanuta Wielkiego władcy Wikingów króla Anglii, Dani, Norwegii, Szwecji – wnuka Mieszka I, Wanda córka Kraka. Postacie wsparte na mieczach, z tarczami u boku. Metal na granicie, 15 x 5 x 5 m; rzeźbę sfinansowali Amerykanie, kosztowała 500 tys. USD;

■ rzeźba „Patriota" o całkowitej wysokości 16 metrów, stanęła 11 września 2011 roku w centrum Stalowej Woli, rzeźba ta jest wg mnie autoportretem artysty; sfinansowana przez SWAP.

Pityński wchodzi do kanonu wielkich artystów patriotów polskich XIX i XX w., rozpoczyna XXI wiek. Oni wołają o prawdę historyczną, o godność Polski.

Ostatnie, najnowsze realizacje

Najnowszą dużą realizacją mistrza jest pomnik „Rzeź Wołyńska", który został ocenzurowany, zablokowany przez Ukraińców i przestraszonych (?) poprawnych politycznie polityków w Warszawie. Problemy z postawieniem tego bohaterskiego już pomnika opisano w osobnym artykule w tym numerze. Pomnik ma wysokość 14 m.

Ostatnio odsłonięte pomniki autorstwa Pityńskiego to:

■ pomnik ku czci Jana Karskiego, odsłonięty 3 XII 2017 w Izbicy, mieście gdzie do II wojny 95 % mieszkańców stanowili Żydzi. Jest to wysoki kamienny monument z wnęką z brązowym odlewem dłoni, która wznosi się prosząco ku niebu;

■ brązowy pomnik „Książka", ustawiony w 2008 r. w Lesku z inicjatywy Bogdana Szymanika, dyr. wydawnictwa BOSZ. Pomnik o wys. 2,4 m, na smukłym granitowym słupie umieszczono półkulę ziemską, z której wyłaniają się ku górze dwie ręce: dorosłej osoby, trzymająca w dłoni otwartą książkę i ręka dziecka sięgająca po nią. Na okładce godło Polski, wewnątrz cytaty: Norwida „Nie miecz, nie tarcz – bronią języka, lecz – arcydzieła" oraz T. Manna „Dzisiejsze książki są jutrzejszymi czynami";

■ brązowe popiersie Świętego Jana Pawła II odsłonięte w 2019 w Cleveland w Ohio, w Parku Rockefellera w Polish Section w „Heritage Garden". Sam pomnik (odlew) ma 180 cm wysokości, z wysokim kamiennym cokołem mierzy 425 cm. Papież ukazany jest w wysokiej tiarze z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, w lewej ręce trzyma krzyż-krucyfiks; na tiarze herby: Krakowa, Warszawy, Wilna, Lwowa, Gdańska, Katowic, Rzeszowa. W parku tym, urządzanym też przez Polonię jeszcze przed II wojną, stoi wiele pomników słynnych Polaków: Mikołaja Kopernika, Fryderyka Chopina, Adama Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza, Marii Skłodowskiej-Curie, Ignacego Jana Paderewskiego. W parku tym jest kilka innych rzeźb Pityńskiego;

Andrzej Pityński z o. Lucjuszem Tyrasińskim (ur. 1931) oraz synem Michałem, 2016. Arch. rodzinne

■ brązowy „Pomnik Żołnierzy Wyklętych" w Jaśle, odsłonięty we wrześniu 2019. Pomnik przedstawia polskiego ukoronowanego orła (zamknięta korona królewska z krzyżem), mającego na piersi ryngraf z Matką Bożą, owładanego i walczącego z trzema hydrami. Na ciele hydr napisy: PZPR, PPR, ARMIA CZERWONA, UB, SB, NKWD, KGB, KBW, MO, ZOMO, ORMO.

Upamiętnienie i honory dla artysty

Najważniejszym uhonorowaniem rzeźbiarza jest zapewne przyznanie mu Orderu Orła Białego 11 listopada 2017 roku. Z innych honorów w kraju wymienić trzeba honorowe obywatelstwo rodzinnego Ulanowa z 1990 r.: „Honorowy Obywatel gminy i miasta Ulanów". Ulanów nagrodził go też indywidualnym Muzeum Andrzeja Pityńskiego, otwartym 11 listopada 2015, w którym prezentowanych jest wiele rzeźb artysty.

Otrzymał w 1989 r. krzyż kawalerski Orderu Odrodzenia Polski nadany przez Rząd Polski na Uchodźstwie w Londynie oraz krzyż komandorski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej w 1990. Posiada także Złoty Krzyż Zasługi SWAP oraz słynną odznakę pamiątkową Miecze Hallerowskie, nadawane po II wojnie światowej przez SWAP, otrzymał je w 1988 r. SWAP nagrodził go także Medalem Ignacego Paderewskiego oraz medalem 100-lecia Czynu Zbrojnego Polonii Amerykańskiej.

Jest członkiem elitarnego towarzystwa rzeźbiarskiego w Ameryce – The National Sculpture Society a także: American Medallic Sculpture Association, Allied Artists of America; otrzymał złoty i srebrny medal od Audubon Artists i Allied Artists of America.

Wydano o nim kilka albumów, pierwszy duży z tekstem Ireny Grzesiuk-Olszewskiej i Andrzeja Olszewskiego pt. *Andrzej Pityński* (wyd. Bosz 2008), album zdjęć Pityńskiego i jego dzieł wydał Czesław Czapliński, kolejny album *Mistrz Pityński* opracował Tomasz Masłowski (wyd. Nowy Jork 2010). Największy jaki ukazał się dotychczas to wydany w 2016 roku naukowo-publicystyczny album w jęz. angielskim, autorstwa słynnego i zasłużonego prof. Donalda M. Reynoldsa, historyka sztuki, konserwatora zabytków i emerytowanego profesora Uniwersytetu Columbia. Poświęcił 16 lat życia na obserwowanie i badanie tak dokonań artystycznych Pityńskiego jak i jego osoby, drogi życiowej, a zafascynowany nim opracował to dzieło, w którym już od wstępu określa p. Andrzeja amerykańskim mistrzem. Album ma tytuł *Pityński*, w podtytule *The Art and Life of Andrew Pityński. Portrait of an American Master*. Profesor stwierdza, że sztuka Pityńskiego głęboko przemawia do bliskich jemu [profesorowi] podwalin teologii i filozofii katolickiej. Mówił też, że w pracy artystycznej tego artysty dopatruje się zespolenia jego silnej wiary z Bogiem, naturą i losami ojczyzny [vide: Katarzyna Buczkowska, „Weteran" nr 1147 s. 11, Nowy Jork, listopad 2016].

Artysta jest żonaty, ma dwóch synów: Aleksandra i Michała.

Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej

Skoro Andrzej Pityński pochodzi z rodziny patriotycznej, rodzice byli Żołnierzami Niezłomnymi, nie dziwi zatem, że w Ameryce zaczął szukać kontaktów z organizacjami polonijnymi o niepodległościowym charakterze. Taką autentyczną organizacją jest Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (SWAP), powołane w 1921 roku w Cleveland.

Artysta jest działaczem SWAP od 40 lat, Okręgu nr 2 w Nowym Jorku, uczestnikiem wydarzeń patriotycznych jak choćby Parady Pułaskiego, w których zawsze defiluje w stroju organizacyjnym SWAP. Aktualnie jest komendantem Placówki 123 SWAP w Nowym Jorku i wicekomendantem Okręgu 2 SWAP – członkiem czteroosobowego zarządu; komendantem jest p. Antoni Chrościelewski, uczestnik Bitwy

Pomnik Tadeusza Kościuszki, brąz, 2002 r., Floryda

pod Monte Cassino. SWAP jest sponsorem wielu patriotycznych realizacji rzeźbiarskich Andrzeja Pityńskiego – podobnie jak paulini z Amerykańskiej Częstochowy.

Pomnik „Błękitnej Armii" był dla artysty pewną towarzyską i organizacyjną realizacją i takimż zobowiązaniem. Ukazani na nim żołnierze ochotnicy z Polonii amerykańskiej na I wojnę światową, uczestnicy wojny bolszewickiej, wrócili do Ameryki i zostali zapomniani przez polskie rządy. Pityński jak żaden inny artysta miał obowiązek wskrzesić i przywrócić tych żołnierzy zbiorowej pamięci – zwłaszcza w Polsce. Zrobił to znakomicie.

SWAP prowadzi w swojej siedzibie głównej na Manhattanie Muzeum Tradycji Oręża Polskiego, wydaje też od 1921 regularny miesięcznik „Weteran" (obie instytucje prowadzi obecnie dr Teofil Lachowicz). W „Weteranie" od 2016 roku niemal w każdym numerze można znaleźć informacje o Andrzeju Pityńskim i zdjęcia jego kolejnych projektów.

Wojciech S. GROCHOWALSKI

Zdjęcia rzeźb na następnej stronie

Powiedzieli o Andrzeju Pityńskim:

Prezydent RP Andrzej Duda (po wręczeniu mistrzowi Orderu Orła Białego, 11 XI 2017): To znakomity artysta, twórca polskiej kultury budowanej dla pokrzepienia serc, dla podtrzymania pamięci, dla budowy mitu wolnej Rzeczypospolitej. Jest pan, panie profesorze, symbolem polskiej emigracji, w tym sensie, która przechowywała dla nas ten skarb polskiej kultury. Ten obowiązek, który wyniósł pan z domu wychowany przez rodziców – uczestników antykomunistycznego powstania Żołnierzy Niezłomnych, którzy wpoili panu nieustanne dążenie do wolnej, suwerennej, niepodległej Polski za każdą cenę. Tak pan działał i działa. Choć nie karabinem, szablą, ale dłutem, obrazem, lecz niezwykle wymownym, budującym serca, naszą tożsamość, budującym naszą tradycję – ale również budującym nas jako naród dumny, który jest tak postrzegany przez inne narody poprzez pańską twórczość. W imieniu Rzeczypospolitej, w imieniu Polaków – jako prezydent – z całego serca panu profesorowi za to dziękuję.

Dr Witold Zych: Andrzej Pityński osiągnął wszystko co można w rzeźbie osiągnąć. Liczne nagrody, wyróżnienia, najwyższe zaszczyty artystyczne i członkostwo w prestiżowych organizacjach. Jego monumentalne dzieła znajdują się nie tylko w Ameryce Północnej, ale także w Polsce, we Włoszech i Afryce Południowej. Mimo, że tworzy w Ameryce, jest przedstawicielem nurtu patriotycznego w sztuce polskiej. Z całą pewnością możemy zaliczyć go do grona tak wybitnych artystów tego kierunku jak: Henryk Rodakowski, Juliusz Kossak, Artur Grottger, Jacek Malczewski, Stanisław Wyspiański i najważniejszy z nich, Jan Matejko. Pityński, jako polski rzeźbiarz XX wieku, poświęcił całą swoją twórczość tematowi narodowemu. ■

Wybrane rzeźby Andrzeja Pityńskiego

Partyzanci I, Boston, MA, 1983

Andrzej Pityński pomiędzy portretami Chopina i Rubinsteina, Nowy Jork, fot. Cz. Czapliński,1985

Artysta i W.S. Grochowalski na tle pomnika Partyzanci II, Hamilton, NJ, fot. 2011

Model pomnika ks Józefa Poniatowskiego, fot. 2011

Artysta modeluje pomnik Mściciela, Mercerville, NJ, 1986

Marszałek Józef Piłsudski, portret wielokrotny, 1985

Gen. Władysław Anders, Doylestown, PA, 1997

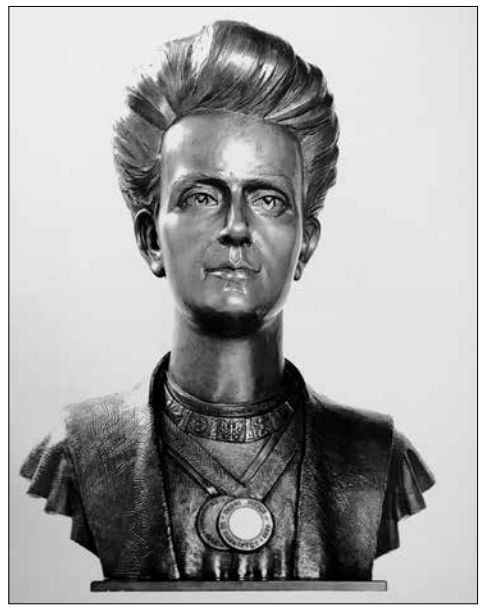

Maria Skłodowska-Curie, Bayonne, NJ, 1987, fot. Cz. Czapliński

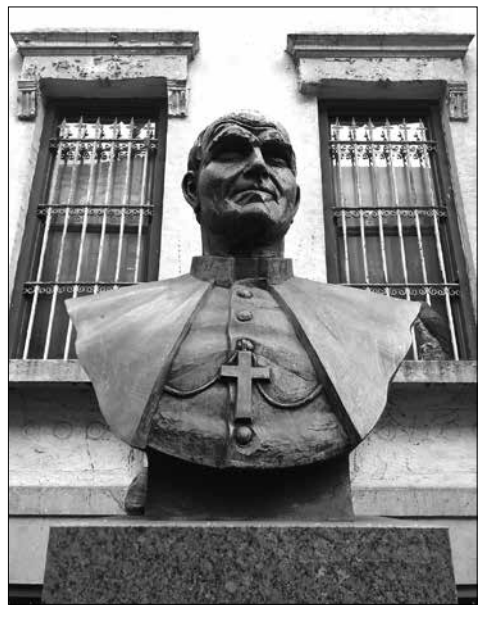

Św. Jan Paweł II, Nowy Jork, 1991

Urna z sercem I.J. Paderewskiego, Doylestown, PA, 1986

Jan Lechoń, tablica w Doylestown, fragm. PA, 2006

Pomniki w większości odlano w brązie, ustawiane są na granitowych postumentach, ich szczegółowy opis na str. 16 i 17. Wiele z nich znajduje się w Amerykańskiej Częstochowie w mieście Doylestown w Pensylwanii. Kolekcję rzeźb kameralnych artysta przekazał do muzeum w Ulanowie.
Zdjęcia z arch. Andrzeja Pityńskiego i wydawcy.

WSG

Katyń – 1940, Jersey City, 1991

Pomnik „Błękitnej Armii", Warszawa, 1998

Marzyciel III, rzeźba kameralna, 1995

Wojciech Stanisław GROCHOWALSKI

Niechciany pomnik wołyński

Mimo że w czasie Rzezi Wołyńskiej zginęło kilka razy więcej Polaków niż w Katyniu, że zginęli bardziej okrutną śmiercią – obecny rząd polski nie jest zainteresowany upamiętnieniem ofiar poprzez ustawienie pomnika „Rzeź Wołyńska" autorstwa Andrzeja Pityńskiego. Pomnik stoi od dwóch lat w odlewni w Gliwicach i czeka na lokalizację w kraju... Jest to pomnik bardzo wymowny, monumentalny, wiernie oddaje prawdę historyczną, dzieło artystyczne z silnym przesłaniem i o silnym przekazie. Rzeźba ukazuje okrucieństwo zbrodni, wojny; temat w sztuce obecny od wieków, w malarstwie (Michał Anioł, Giotto, Raphael, Goja, Rubens i in.), w bardziej okrutnych scenach

Pomnik Niezłomny – jak jego autor i fundatorzy

Na odsłonięcie w Polsce czeka od dwóch lat nowa realizacja mistrza Pityńskiego – pomnik „Rzeź Wołyńska", upamiętniający polskie ofiary ukraińskiego ludobójstwa, (istnieją szacunki, że liczba ta dochodzi do 100.000 ofiar. Mord został inspirowany i dokonany przez Organizację Nacjonalistów Ukraińskich i Ukraińską Armię Powstańczą (OUN-UPA). Mordy inspirowane były i przez tamtejszy kościół prawosławny! Miały miejsce w woj. wołyńskim, poleskim, lwowskim, stanisławowskim, tarnopolskim i lubelskim. Mordercy wykorzystali czas wojny, bezbronności Polski, słabe na tych terenach polskie Podziemie. Pierwsze masowe zbrodnie na Polakach na Ukrainie miały miejsce 9 lutego 1943 roku, na Wołyniu największa tragedia nastała w lipcu 1943 roku.

Mimo, że zginęło kilka razy więcej Polaków niż podczas zbrodni Katyńskiej, że zginęli bardziej okrutną śmiercią – rząd polski nie jest zainteresowany ustawieniem tej wymownej i wykonanej ku przestrodze rzeźby. Pomnik nie może znaleźć miejsca aby stanąć i przypominać o tym ludobójstwie Polaków! Jest on ku przestrodze – dotyczy kolejnego ludobójstwa na Wschodzie i dokonanego przez ludzi ze Wschodu, zza wschodniej granicy. Już w 1794 r. dzicz ze Wschodu w podobny sposób wymordowała 20.000 Polaków w Warszawie (Rzeź Pragi), wtedy kozacy też nabijali na lance (rohatyny) małe dzieci i odcięte ludzkie głowy; utrwalił to graficznie Juliusz Kossak. Podobne mordy miały miejsce na Ukrainie w 1917 r., gdy padła Rosja carska, był czas rewolucji bolszewickiej; wtedy chłopi ukraińscy zaczęli wyrzynać polskich ziemian, palić dwory, grabić dobytek i siłą przejmować ziemię. Wówczas powstała tam zbrojna samoobrona polska.

Pomnik Pityńskiego ma walory edukacyjne, jest ostrzeżeniem ale i nawoływaniem do przebaczenia i pojednania – vide symbol krzyża w jego centralnym miejscu.

Pomnik składa się z trzech części (elementów), w centralnej, górnej, widzimy orła w koronie z rozpostartymi skrzydłami. Wewnątrz piersi orła umieszczono krzyż w prześwicie, w którym na długie widły – ukraiński tryzub – nadziane jest małe dziecko. W dolnej części pomnika artysta umieścił rodzinę: ojca, matkę z niemowlęciem na ręku i dwoje dzieci wokół rodziców. Błagalnie ojciec trzyma w ręku krzyż. Za nimi jest płot z nabitymi na sztachety główkami trojga dzieci. Kolejna ofiara, dziecko, leży pod tym płotem. Postaci ludzkie są naturalnej wielkości, zamknięte w wymownych językach płomieni. Od frontu na podstawie napis: RZEŹ WOŁYŃSKA, z tyłu na dole podstawy napis: 1942-1947. Na ramionach skrzydeł orła od frontu napis: CZEŚĆ ICH PAMIĘCI; z tyłu na tej wysokości: BOŻE NASZ BOŻE CZEGOŚ NAS OPUŚCIŁ. Od frontu, na piórach orła artysta umieścił nazwy 54 miejscowości, w których Ukraińcy dokonali największych mordów.

Pomnik odlano w częściach w słynnych Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych a następnie zespawano je w całość, postawiono, odebrano i... czeka drugi rok na swoje docelowe miejsce; jest kolejną wołyńską ofiarą! Jego gabaryty to ok. 14 m wysokości, 7,5 m szerokości, 2,5 m „głębokości", waga 7,5 tony.

Projekt pomnika pochodzi z 2014 roku, odlew wykonano w 2018 na 75. rocznicę Rzezi Wołyńskiej, w roku 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. Pomnik został sfinansowany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce Okręg nr 2 w Nowym Jorku. Wielu członków tej kombatanckiej organizacji miało zapewne osobiste i rodzinne relacje z dramatycznymi wydarzeniami. W mniejszej części cegiełki składali w formie datków organizacje i osoby prywatne zainteresowanie jego powstaniem.

Cenzura i skundlenie

Artysta o międzynarodowej sławie został ocenzurowany! Fundator i darczyńca pomnika czyli SWAP – spadkobiercy żołnierzy „Błękitnej Armii" skazani zostają na upokarzające szukanie w kraju miejsca pod pomnik; osoby sprawujące władzę w Polsce nie chcą urazić Ukraińców, wygrywa poprawność polityczna! Jakby chciano ukryć tę zbrodnię, nie mówić o niej więcej, łagodzić okrucieństwo wojny i zbrodni.

Ten pomnik, problemy z jego ustawieniem w Polsce, staje się najwymowniejszym obrazem współczesnej Polski, skundlenia wręcz.

Zarzuty niektórych publicystów i samorządowców w Polsce, mówiące że pomnik jest zbyt wymowny, „kontrowersyjny", „dosłowny" etc. są błędne – ale poprawne politycznie. Właśnie po to stawia się pomniki, by były wymowne, by krzyczały historycznie ale i krzyczały za ludzi, którzy już nie mogą krzyczeć i bronić swojej prawdy – bo ich np. zamordowali Ukraińcy! Razi tych „obrońców wrażliwości" dziecko nabite na widły... Ale na ukraińskich chłopskich widłach zginęło kilka tysięcy polskich dzieci! Tak było! Czy zatem artysta, człowiek wolny, świadomy, wybitny ma kłamać! Dlaczego ci „obrońcy wrażliwości" nie krzyczą na inne pomniki o gorszej wymowie, tragiczne w swoim wyglądzie czy wręcz kiczowate do bólu. Dlaczego tłumią prawdę, cenzurują wielkiego światowego artystę!? Dlaczego nie buntują się publicznie – że powtórzę tu kolejny raz – stawianym na Ukrainie pomnikom Bandery! W lutym 2017 r. pomnik zaatakowała także „Gazeta Wyborcza"

Na ustawienie pomnika nie zgodziły się też władze samorządowe kilku miast poproszone przez SWAP o jego przyjęcie. Po tym, jak władze Rzeszowa – gdzie Pityński planował ustawienie rzeźby – odmówiły miejsca a po nich Jelenia Góra, poważną wydawała się możliwość ustawienia pomnika w Toruniu, miał stanąć na terenie kościelnym. Mówi się, że wpływowy w Watykanie ukraiński biskup (?) też był przeciwny ustawieniu pomnika u redemptorystów. W każdym razie biskup toruński miał nie wyrazić zgody; miasto Toruń odmówiło. Decyzje te są wynikiem i tego, że głośno zaczęli lobbować już 22 grudnia 2017 przeciw pomnikowi i takiemu upamiętnieniu Rzezi Wołyńskiej dwaj parlamentarzyści ukraińscy, poinformowani o pomniku, zachęceni zapewne wiedzą, że polskie miasta np. władze Jeleniej Góry odmówiły jego ustawienia (z powodu „skandalicznej formy"), wsparci niektórymi mediami w Polsce. Ukraińscy deputowani zaatakowali nas słownie w tym

Andrzej Pityński, pomnik „Rzeź Wołyńska", brąz, 2017

polskie instytucje kościelne – te z uwagi na plany ustawienia pomnika u redemptorystów w Parku Pamięci Narodowej w Toruniu. Jeżeli, jak się mówi, Ukraińcy zwrócili się z prośbą do nuncjuszy apostolskich w Polsce i na Ukrainie o zablokowanie postawienia pomnika, a władze kościelne polskie zablokowały ten projekt – czyli ustawienie pomnika, zgodziły się z nimi, to świadczy to bardzo niekorzystnie o polskich dostojnikach Kościoła. Nie sądzę, by ci deputowani podobnie blokowali wystawianie pomników OUN-UPA.

SWAP zwrócił się listownie do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o pomoc w sprawie znalezienia miejsca dla pomnika Rzeź Wołyńska; rozmawiali też z marszałkiem Senatu. „Odpowiedź zawsze ta sama, że obecnie jest to w gestii wyłącznie lokalnych władz samorządowych". W takim razie w lipcu 2018 r. Okręg 2 SWAP, trochę bezradny wobec braku reakcji i chęci pomocy władz centralnych w Polsce, zwrócił się listem otwartym do wojewodów, prezydentów miast oraz samorządów terytorialnych z pytaniem: czy na ich terenie i za ich zgodą znajdzie się godne miejsc na postawienie pomnika dedykowanego OFIAROM „Rzezi Wołyńskiej". Do końca 2019 r. brak jest zainteresowania jakichkolwiek władz... Widać niechęć do tej sprawy rządzących Polską, brak tzw. lobbowania za pomnikiem, za tą sprawą, brak nagłośnienia politycznego, cisza w mediach. Zastanawiające jest, że nie mówi się nic o tym pomniku w mediach „rządowych", nie szuka się wspólnie miejsca, pomocy itd. Jest grupa osób prywatnych wspomagających starania by pomnik stanął nad Wisłą, rozpoczęło się poszukiwanie miejsca przez tę inicjatywę obywatelską, skoro rząd ani prezydent nie są zainteresowani pomocą w takim upamiętnieniu naszych ofiar. Na razie odmówiły władze: Rzeszowa, Torunia, Jeleniej Góry, Kielc, Komańczy. Będziemy informować o kolejnych ew. odmowach i podawać argumentację prezydentów tych miast.

Polityczna poprawność

Okazuje się, że ustawienie patriotycznego pomnika historycznego jak nigdy wcześniej stało się sprawą silnie polityczną, że polski pomnik nie może być ustawiony w Polsce. Ale oto – powtórzę – stawiane są na Ukrainie pomniki Banderze, w Niemczech postawiono w tym roku pomnik komuniście Karolowi Marksowi, znaczy lewica i lewactwo wracają do głosu. Gdyby dziś żył i rządził Polską ktoś taki jak Piłsudski, śmiem twierdzić że nakazałby natychmiast ustawić pomnik ku czci 100.000 zamordowanych rodaków! Nakazałby postawić go w: Warszawie, może w Lublinie lub Rzeszowie.

Jak zapewnił w czerwcu 2017 roku prezes IPN: artystę, fundatorów czyli weteranów ze Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Konsula Generalnego RP w Nowym Jorku i zebranych wówczas gości – vide „Weteran" nr 1150 za lipiec 2017, s. 12-14 – IPN pomoże znaleźć w Polsce miejsce na pomnik. Jak prezes powiedział:

– „To jest naszym obowiązkiem, aby pomnik upamiętniający ludobójstwo popełnione przez ukraińskich nacjonalistów na narodzie polskim, mógł stanąć na polskiej ziemi".

Można rzec: piękna deklaracja; choć jest to zadanie chyba bardziej dla ministra kultury. Przecież władze stawiają pomniki różnej rangi, tematyki, wagi, treści i formy artystycznej, m.in. ostatnio w Warszawie. Zatem władza ma jakieś możliwości ustawiania pomników. Dlaczego nie szuka miejsce dla tego pomnika?

Sejm Polski, podejmując 22 lipca 2016 uchwałę w sprawie oddania hołdu ofiarom ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II RP w latach 1943-1945, ustanowił Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów – jest to dzień 11 lipca. W uchwale tej m.in. napisano: „Ofiary zbrodni popełnionych w latach 40. przez ukraińskich nacjonalistów do tej pory nie zostały w sposób należyty upamiętnione, a masowe mordy nie zostały nazwane zgodnie z prawdą historyczną ludobójstwem. (...) Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wyraża przekonanie, że jedynie pełna prawda o historii jest najlepszą drogą do pojednania oraz wzajemnego wybaczenia". I jak jest okazja aby ofiary „w sposób należyty upamiętnić" – nie ma ciągu dalszego. Jak wreszcie do rzeczywistości i kłopotów z ustawieniem pomnika mają się słowa prezesa partii rządzącej Jarosława Kaczyńskiego: „Nie możemy przez lata zgadzać się, by na Ukrainie budowano kult ludzi, którzy wobec Polaków dopuścili się ludobójstwa i to takiego, że choć trudno było przebić w okrucieństwie Niemców, to oni ich przebili".

Można rzec: piękne słowa, ale jak one się mają do bojkotowania przez Państwo Polskie ustawienia pomnika „Rzeź Wołyńska"?

Podobne słowa wypowiadał prezydent Polski p. Andrzej Duda, chwalił artystę, nagrodził go Orderem Orła Białego. Słowa niewiele znaczą dla decydentów ew. znalezienia lokalizacji pomnika. Pomnik wołyński nadal jest schowany w odlewni w Gliwicach!

Apel

Otóż szanowni posłowie, ministrowie, prezydenci, burmistrzowie, dyrektorzy etc. – ten pomnik jest okazją i najlepszą możliwością trwałego upamiętnienia tej okropnej zbrodni na naszym narodzie! Jeżeli mówiliście prawdę i chcecie te ofiary upamiętnić, jeżeli chcecie prawdziwego upamiętnienia, to zróbcie coś w tym kierunku, pomóżcie – a nie puszczajcie słów na wiatr! Pod stojącym pomnikiem możemy się pojednać z braćmi Ukraińcami, jeżeli będą mieć taką wolę...

Wspomniany prezes rządzącej od 2015 r. partii Prawo i Sprawiedliwość mówił kilka lat temu o tym, że Polska za rządów PO i PSL nie była suwerenna, była kondominium niemiecko-rosyjskim. Uleganie teraz jakiemuś lobby ukraińskiemu – jeżeli takie w ogóle istnieje w sprawie tego pomnika i jego ustawienia w Polsce – cenzurowanie autora pomnika tj. tak znanego wybitnego artysty, brak odgórnej decyzji i przydzielenia ważnego miejsca na pomnik świadczy, że Ukraińcy mają większy wpływ na decyzje prezydenta Polski, rządu (premiera, ministrów, dyrektorów, prezesów) i samorządowców, a nawet na Kościół – niż my, Polacy i wyborcy! Ukraińcy nie wyrazili zgody (oprotestowali) na postawienie pomnika nie w Kijowie, ale gdzieś w Polsce. Czyżbyśmy byli teraz kondominium rozszerzonym o Ukrainę?

Dr Witold Zych, historyk i krytyk sztuki napisał [„Weteran" nr 1151 s. 17]:

– „Pomników nie stawia się po to, by łączyć i utrwalać przyjaźń między sprawującymi władzę rządami. Wizja pomnika „Rzezi Wołyńskiej", mistrza Pityńskiego, nasycona prawdą historyczną jest oryginalnym, wstrząsającym dziełem sztuki, w pełni polskim, chrześcijańskim symbolem, który w swoim przekazie ma wymiar uniwersalny i ponadczasowy. Jest wybitnym dziełem sztuki monumentalnej w historii rzeźby światowej. Z całą pewnością postawienie tego pomnika w Polsce jest naszym obowiązkiem. Tego wymaga godność i honor naszego Narodu". ■

Adam ROZLACH

Chopin w Dusznikach po raz 74.

To był bardzo udany Festiwal. Po raz kolejny zresztą. Za nami bowiem 74. już edycja tego najstarszego festiwalu muzycznego w Polsce; 2 – 10 VIII 2019. Powiedzieć, że okrzepł – to nic nie powiedzieć – doczekał już bowiem całkiem sędziwego wieku, ale podobnie jak w przypadku co szlachetniejszych trunków – dodaje mu to tylko atrakcyjności. Niestety, nie idą za tym właściwe dotacje od władz, na miarę oczekiwań, ale i Duszniki są dotknięte swoistą urzędniczą bezdusznością (o kłopotach łódzkiego Rubinstein Piano Festival są Państwo informowani tu na bieżąco...). Być może nowym ludziom, którzy decydują dziś o przyznaniu dofinansowania, hasło „Chopin w Dusznikach" niewiele mówi, wszak tyczy 1826 roku...

Prowadzący ten Festiwal, od ćwierćwiecza, wybitny pianista prof. Piotr Paleczny, dopracował się ciekawego schematu. Może od końca: zaprasza na kursy mistrzowskie uznanych w świecie pianistów i pedagogów, niektórych z nich prosząc o recitale. Dalej, zaprasza pojedyńczych, koncertujących jeszcze, starszych mistrzów, którzy potrafią to, czego nie potrafią jeszcze ci najmłodsi, np. mają w jednym palcu kulturę dźwięku. Całość Festiwalu Profesor opiera jednak na młodych, którzy w ostatnich miesiącach zdobyli główne nagrody, i to na tych najbardziej znaczących, światowych konkursach pianistycznych. Korzysta przy tym z przywileju, że na niektórych z nich jest jurorem – toteż „na pniu" zaprasza tych najlepszych do Dusznik.

Tak było w tym roku z wielkim zwycięzcą 16. Konkursu im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie – Alexandre Kantorowem. Konkurs zakończyl się na początku lipca, a po miesiącu, do Dusznik przyjechał opromieniony triumfem 23-letni Francuz, nb. rosyjskiego pochodzenia. Nie bez problemów, bo już wcześniej miał zabukowane wczasy gdzieś na Dalekim Wschodzie, ale co to znaczy prośba jurora, który był jednym z tych, którzy dali mu zwycięstwo na jednym z najważniejszych – od lat – konkursie wykonawczym. Był i zachwycił nas wszystkich. W tym roku do Dusznik przylecieli nadto: zwyciężczyni Konkursu w Takamatsu i azjatyckiego Konkursu Chopinowskiego – Japonka Yasuko Furumi, srebrny medalista Konkursu Giny Bachauer – Aristo Sham, laureat konkursów G. Bachauer ale i Dinu Lipattiego oraz konkursów w Moskwie i Londynie – George Harliono czy fenomenalnie uzdolniona 15-letnia Eva Gevorgyan – laureatka czterdziestu międzynarodowych konkursów, w tym Konkursu Vana Cliburna (dla młodych), Konkursu Młodzieżowego w Cleveland czy Konkursu im. R. Schumanna w Duesseldorfie. W końcu, przybyło też dwoje laureatów ostatniego, XVII Konkursu Chopinowskiego – długo oczekiwana i uwielbiana Kate Liu oraz bardzo wysoko ceniony, doskonale znany dusznickiej publiczności Charles Richard-Hamelin. No i był jeszcze nasz laureat, i to jaki: zwycięzca I Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych – Tomasz Ritter. W gronie tych wspomnianych wcześniej renomowanych mistrzów, była nasza, polska gwiazda – Janusz Olejniczak, średnie pokolenie reprezentowała Joanna Marcinkowska – zwyciężczyni sprzed lat bydgoskiego Konkursu „Artur Rubinstein in memoriam", a najmłodsze – Adam Kałduński i Mateusz Krzyżowski, laureaci ostatniego Ogólnopolskiego Konkursu Chopinowskiego. Nadto, w Hotelu „Impresja", na niedobrym do koncertowania fortepianie grali inni młodzi polscy pianiści, uczestnicy Kursu Mistrzowskiego, a koncerty te zainaugurowała zawsze wysoko ceniona pinanistka – Elżbieta Karaś-Krasztel.

Publiczność tradycyjnie nie zawiodła, wszystkie koncerty cieszyły się nadzwyczajnym powodzeniem, a do Dusznik od lat przyjeżdża wierne grono stałych słuchaczy, z wielu stron świata. Przyjeżdżają lekarze, prawnicy, biznesmeni, jest stałe grono recenzentów, zwłaszcza z Polskiego Radia, przyjeżdżają tu w końcu – i to licznie – pedagodzy polskich szkół muzycznych wszystkich stopni, którzy codziennie rano obserwują lekcje mistrzowskie, a od godz.16-tej zasiadają wraz z uczniami w Dworku Chopina aby przysłuchiwać się arcyciekawym festiwalowym występom.

Tegoroczny Festiwal zainaugurował fantastyczny duet fortepianowy bardzo młodych braci z Holandii – **Lucas i Arthur Jussenowie**. To było szalenie mocne otwarcie. Przede wszystkim z racji ich niebywałego zgrania, ale i świeżości, pasji gry oraz niesamowitej umiejętności stworzenia „jedności absolutnej". Rewelacyjnie zagrali op. 92 Mendelssohna (który nb. też przebywał na wakacjach, tuż obok Dusznik, kilka lat przed Chopinem) oraz na koniec – I część Święta wiosny Strawińskiego.

Nazajutrz zagrała **Joanna Marcinkowska** – zaimponowała mi koncertową gotowością, godną pozazdroszczenia, nadto świetnym przygotowaniem i arcytrudnym repertuarem (grała m.in. *Gaspard de la nuit* – Ravela). Jest niebywale skuteczna w realizacji zapisu, gra nie przysprza jej trudności, dysponuje estradowym temperamentem. Jest tylko jedno zastrzeżenie, nie ma w sobie czegoś takiego, co mogłoby najszczególniej zainteresować publiczność, zmusić do głębszej refleksji. Do tego często gra bardzo głośno, co np. w dziełach Chopina jest czymś trudnym do zaakceptowania, ale jest to problem, z którym borykamy się każdego roku. Wytworzyła nam się tu przez lata prawdziwa sztuka znalezienia się w tej raczej małej sali ale z ogromnym fortepianem.

Tego samego dnia, wieczorem, w Dworku wystąpił wspomniany **Alexandre Kantorow** – fenomenalnie uzdolniony, 22-letni pianista francuski, znakomicie wykształcony pod okiem wielu pedagogów – m.in. zwycięzcy konkursu im. Królowej Elżbiety Belgijskiej z 1983 r. Pierre-Alain Volondata. Obecnie studiuje w klasie Reny Shereshevskaya, w paryskiej École Normale de Musique. Cudownie utalentowany młody, pełen życia, radości ale i myśli – człowiek... Uwielbiam takich młodych ludzi, którzy potrafią sobą, siłą swoich muzycznych i artystycznych argumentów, zmusić nas do myślenia, przekonać. W czerwcu zafascynował publiczność i jurorów moskiewskiego Konkursu, którzy przyznali mu nie tylko I nagrodę i złoty medal, ale i kilka dni później, jednogłośnie – Grand Prix. W ten sposób został on pierwszym francuskim zwycięzcą tego Konkursu, bo choć jego słynny ojciec, znakomity skrzypek Jean Jacques, ma rosyjskie pochodzenie, to urodził się już we Francji (nb. matka Alexandra też jest skrzypaczką). Do Dusznik przyjechał z arcyciekawym programem: z *Sonatą A-dur* Beethovena op. 2 nr 2, z niegrywaną *I Sonatą d-moll* op. 28 Rachmaninowa (sic!), z *Ognistym ptakiem* (K 10) Strawińskiego i z szóstym *Nokturnem Des-dur* op. 63 Faurego. Niewątpliwie obie środkowe pozycje były clou jego arcygenialnie wykonanego programu. Kiedy rozpoczął wielką, prawie trzy kwadranse trwającą sonatą Rachmaninowa – od razu powiało magią i myślą, że byliśmy świadkami narodzin wielkiego pianisty. Jakie tworzył napięcia, i to od pierwszego kontaktu z klawiaturą! Jakie niewyobrażalnie głębokie kulminacje! W wolnej części zachwycał nas fantazyjnie płynącą muzyką – zarówno tą wyciszoną, jak i pełną tak mocnego, rachmaninowowskiego patosu. Finałowe zaś *Allegro* było prawdziwym wyrazowym piekłem, szeroką, rozbudowaną materią, z powracającymi myślami z I części. To był jeden wielki rosyjski epik, muzyka opowiadająca o burzliwych i dramatycznych losach, z do głębi poruszającymi, wielowarstwowymi smutkami, zamyśleniami czy z nostalgią, pięknie zilustrowaną przez kompozytora np. cudownymi harmoniami... Utrzymać słuchaczy w najwyższym napięciu, przez trzy kwadranse, przy takim nagromadzeniu wydarzeń – potrafią tylko ci wielcy, mądrzy i niezrównani. Aż strach pomyśleć, że ten tak młody człowiek tyle już potrafi, że tak wiele ma już nam do powiedzenia, że tak skutecznie potrafi nas już zafascynować... *Ognisty ptak* po piątkowym Święcie wiosny był z kolei pokazem jego genialnych pianistycznych możliwości. Potrafi wszystko. To, co nam tu zaprezentował, przerosło wszelkie oczekiwania. Już nie tylko porażał ekspresją ale i arcymistrzowską precyzją. Dał nam tyle genialnych brzmieniowych efektów, np. z przytrzymanym na pedale najprawdziwszym klasterem. Połączenie obu skrajnych, tych „piekielnych" części z *Kołysanką* – było w jego ujęciu czymś nie do zapomnienia. Nadzwyczajnie zagrał też *Nokturn* Faurego, tuż przed przerwą. Podziwiałem z jaką swobodą porusza się i w estetyce francuskiej, bo i tu dał nam frapującą opowieść – zmuszając nie tylko do fascynacji, ale i do głębokiego zamyślenia. Także długie wybrzmienie nokturnu pokazało, jak potrafi wpłynąć na nas, jak, przez to, oddaliśmy się jego pomysłom, jego indywidualności. Piękny i mądry artysta! Na bis fenomenalnie, zjawiskowo wykonał lisztowską *Zamieć śnieżną*, zagraną na pożegnanie z nami...

Nazajutrz dzień polski, o godz. 16 zagrał **Tomasz Ritter** zaś o godz. 20 – Janusz Olejniczak. 24-letniego Rittera znam już chyba dobrą połowę jego życia. Jako wybitnie utalentowany chłopiec jeździł przez pierwsze lata na lekcje, kursy i koncerty, m.in. na Fora Pianistyczne do Sanoka, gdzie kiedyś też wielokrotnie gościłem. Zawsze go podziwiałem, zawsze był spokojny, skupiony, skoncentrowany, zawsze też dobrze przygotowany do występu – może przez to był dość pewny siebie i pewny swoich poczynań, mimo chłopięcego wieku, choć chyba zostało mu to wszystko do dziś! Wychodził na estradę, siadał i grał, a potem ze stoickim spokojem przyjmował gorące aplauzy widowni. Po tych kilkunastu latach, trzeba mi było jednak dopiero jego dusznickiego recitalu, a konkretnie drugiej części tego występu, aby stał się dla mnie pianistą, którego mogę śmiało zaliczyć do grona już nie tylko obiecujących, ale tych najznakomitszych wykonawców swojego pokolenia, być może i w szerszej niż tylko krajowa – skali. Podziwiam u niego odwagę i gotowość do podejmowania trudnych i oryginalnych wyzwań, podziwiam pewność poczynań, świetny pianistyczny warsztat, także inteligencję, wysoką muzyczną świadomość i w końcu niepospolitą muzykalność. Jego dusznickie wykonanie *Fantasiestuecke* op. 12 Roberta Schumanna wywarło na mnie wielkie wrażenie! Podobnie znakomite spełnienie *Sonaty* Jana Vaclava Vorziszka oraz zagranych na bis *Pavany* Gilesa Farnaby i – bardzo odważnie – aż *32 Wariacji na temat własny* Beethovena.

Swoistej pikanterii dodaje fakt, że Ritter tę drugą część recitalu grał na historycznym instrumencie Broadwooda z 1847 r. Pikanterii, ponieważ po raz pierwszy słuchając na żywo starego instrumentu, nie miałem, ani przez moment, grama niedosytu brzmieniowego. „Broadwood" z kolekcji Andrzeja Włodarczyka ze Słupna pod Warszawą, brzmiał nieomal jak współczesny instrument, którymi tak często się zachwycamy, narzekając wtedy – często słusznie – na fortepiany historyczne. Brzmiał tak pełnie, szeroko, przejrzyście, tak czysto i czytelnie, a brzmienie zdawało się mieć głębię, o jaką nigdy nie podejrzewałbym taki *stary* instrument. Już nie tylko zaskakująco efektownie i pełnie zabrzmiało nieznane mi dotąd dzieło czeskiego kompozytora, z prześwietnym, prawdziwie symfonicznym i beethovenowskim wręcz scherzem – na czele. Nade wszystko, młody pianista zachwycił mnie interpretacją opusu 12 Schumanna. To był prawdziwy, wykonawczy i muzyczny rarytas. Szkoda tylko, że jako zwycięzca ubiegłorocznego I Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina na Instrumentach Historycznych w Warszawie, nie zagrał – choćby tylko w I części swojego tu recitalu – nawet jednego dzieła Patrona Konkursu i dusznickiego Festiwalu. W tym kontekście nieco mniej podziwiałem jego oryginalność i odwagę repertuarową – w pierwszej bowiem odsłonie przedstawił dwie *Toccaty,* Bacha i Prokofiewa oraz *2 Etiudy* Pawła Szymańskiego, a także nastrojową miniaturę Arvo Paerta – *Dla Aliny*. Nie dość, że to był mało festiwalowy program – to jeszcze jakoś niespecjalnie nośnie ukazany... Dodam, że Ritter to wychowanek Iriny Rumiancewej-Dabrowski (absolwentki moskiewskiego Konserwatorium u prof. Wiktora Mierżanowa), która doskonale przygotowała go do studiów w jej słynnej, macierzystej uczelni. Studia te właśnie ukończył, i to w kilku specjalnościach: na fortepianie, klawesynie i fortepianie historycznym (tu u Aloszy Lubimowa).

Janusz Olejniczak to fenomen polskiej chopinistyki. Gra bardzo rzadko, najczęściej ten sam lub podobny repertuar, który jednak zawsze gra pięknie, nadzwyczaj sprawnie technicznie i zawsze niezawodnie. Zwłaszcza za ten pierwszy walor, za piękno gry, ceniony jest najwyżej. Ale jest w nim, i to od początku, coś więcej, coś co jest najcenniejsze i w sumie nie tak często spotykane – artyzm i najprawdziwsza, artystyczna dusza. Jak to zawsze podkreślam, jest to jeden z nielicznych pianistów, który nie musi udawać, że jest artystą, podobnie jak Marek Drewnowski. Spełnia bowiem wszystkie warunki do bycia tym uduchowionym przedstawicielem naszego gatunku – jest bowiem wielce wrażliwym człowiekiem, do tego szalenie ujmującym, dobrym i przyjaznym wobec otoczenia, czego – szczęśliwie – nie da się ukryć. Kiedy zatem wychodzi na estradę, ma zawsze zapewnioną owację i serdeczność widowni. Co równie ważne, także wtedy, kiedy kończy grę, a co zawsze przekłada się na wiele bisów i stojące owacje, będące wyrazem podziękowań za jego sztukę, za jego artyzm właśnie, choćby nie wiem jak wcześniej, podczas gry – „nagrzeszył". Ma bowiem świetny kontakt z widownią, z którą lubi się dzielić swoimi troskami, nawet w czasie występu, i jest przy tym zawsze bardzo naturalny, zawsze szczery i otwarty, a publiczność ceni to bodaj najbardziej. Ma też, najpewniej – jak przystało na wrażliwego i odpowiedzialnego artystę – koncertową tremę, którą jednak skutecznie potrafi pokonywać czy „przysłaniać" tymi choćby wyżej wymienionymi cechami. Podziwiam u niego prowadzenie chopinowskiej frazy, jej kształt, finezyjność, podziwiam swoistą muzyczną otwartość i improwizacyjność, czy może bardziej spontaniczność gry. Za każdym bowiem razem Janusz Olejniczak gra inaczej, do tego czasami nieprzewidywalnie czy nieoczekiwanie. Ale zawsze to jest ten sam artysta, zawsze ten sam wielce wrażliwy muzyk, i zawsze – bez wątpliwości –

wybitny chopinista. Nadto, zachwyca on arcypięknym tonem i kolorem prowadzonych fraz. I wtedy, czasami, całkowicie niespodziewanie, pojawiają się u niego – i to często – nieprawdopodobnie wielkie, dynamiczne wybuchy, ekstremalnie mocne uderzenia akordów, które nie tylko burzą ten anielski nastrój muzyki, ale i wprowadzają chyba jednak obcy chopinowskiej muzyce – element, mimo jej dramatycznych często zawirowań. Czynił tak kiedyś sam Mistrz Władimir Horowitz, któremu wszyscy to wybaczaliśmy. Myślę, że możemy również te swoiste „grzechy dojrzałego wieku" wybaczyć i naszemu pianiście. Żywiołowo i serdecznie oklaskująca go festiwalowa publiczność nie chciała wypuścić go i tym razem z Dworku Chopina.

W poniedziałek, ze świetnym recitalem, wystąpiła Japonka **Yasuko Furumi.** sonata Haydna – rzetelna, ciekawa, grana z klasyczną dyscypliną, wrażliwie i muzykalnie. Świetna technika, bardzo dobry gust, smak. Potem były dwie etiudy Liszta – nie najwyższych lotów, za to lisztowska *Ballada h-moll* – niebywale otwarta i pełna fantazji. Gra ambitna choć nie olśniewająca. Pięknie zagrała pieśni Chopina/Liszta – leciuteńko, zwiewnie, ze swadą, a znakomicie wręcz *III Sonatę f-moll* Schumanna. Absolutnie pełnowymiarowa jest jej pianistyka, pełna wdzięku, elegancji, precyzji, polotu i niebywałego rozmachu. Skuteczność nadzwyczajna, walory muzyczne – nie tylko uniwersalne ale i szalenie ciekawe.

Kolejny uczestnik Festiwalu to **Behzod Abduraimov** – potężny talent, który jednak nie potrafił opanować akustyki Dworku, atakując nas potężnym, jak to określam za moim prof. Marianem Wallek-Walewskim, wielkomocarstwowym brzmieniem. Pianista jednak z niego wysokiej próby, czego dowiódł w *Sonacie h-moll* Liszta i w *Obrazkach z wystawy* Musorgskiego. W tym pierwszym arcydziele pokazał nam też – a jakże – grę piano i wyrazową czułość. Potrafi.

Tradycyjnie, bardzo podobał mi się występ Kanadyjczyka **Charlesa Richarda-Hamelina.** Wpierw był to recital, a nazajutrz z Kwartetem smyczkowym Meccore, wzmocnionym kontrabasem, wyśmienicie zagrał schubertowskiego *Pstrąga*. Recital nadzwyczaj ciekawy. Pianista to wielkiej klasy, w każdym utworze. Wrażliwość – ogromna, świadomość wartości dzieł – nadzwyczajna. Suita Enescu, po pięknych *Images oubliees* Debussy'ego – na płytę! W *Fantazji* op. 28 Mendelssohna – bawił się muzyką jak wytrawny Mistrz. Gra nieskazitelna, warsztat pianistyczny doskonały. Opus 3 Rachmaninowa – rewelacyjne, świat się kończy – napisałem w notatkach. Na koniec op. 22 Chopina – niespodziewanie najmniej ciekawe, z wątpliwościami w precyzji i nierównej grze Poloneza. Imponujące było za to brawurowe tempo finału.

23-letni **Aristo Sham** w schumannowskiej Humoresce zadziwiał humorem, swobodą gry, dziecięcą wręcz radością grania, a przy tym zawsze był poważny i zadziwiająco dojrzały. Znakomicie przygotowany od strony pianistycznej, wszystko grał perfekcyjnie i ciekawie. *Scherzo h-moll* Chopina – palce lizać, ale za bardzo poniósł go temperament. Szybkie tempo utworu spowodowało, że nie raz pogubił się technicznie. Ładny i wyważony był za to *Nokturn E-dur* op. 62. Znakomita też *VI Sonata* Prokofiewa. Była delikatność narracji, a w finale niebywałe skupienie w tym piekielnym, prokofiewowskim graniu. Pianista o wysokich koncertowych walorach!

Brytyjczyk **George Harlione** – też młody, też perfekcyjnie grający, pamiętam jego robiącą wrażenie „Appassionatę". Potężna dawka muzyki, mocna, o wyrazistych kształtach, gra pełna dyscypliny oraz precyzji artykulacyjno – rytmicznej. Niezły w sumie Chopin – romantyczny, szeroki i dynamiczny w etiudzie nr 5 z op. 25, także w *Balladzie g-moll*, ale ta muzyka to nie jest jego bajka. Brakuje mu jeszcze ogłady, jest mało prawdziwy, ma rażąco wystudiowane, sztuczne ruchy, to nie sprzyja Chopinowi. Za to *Pietruszka* Strawińskiego, w finale: błyskotliwa i wirtuozowska.

Wielkim wydarzeniem tego dnia był oczekiwany ze trzy lata występ nagrodzonej III lokatą w XVII Konkursie Chopinowskim – czarującej i nieziemskiej **Kate Liu...** Podczas Konkursu uciekła mi jakoś jej indywidualność, z tej prostej przyczyny, że ona działa hipnotyzująco wręcz – ale na żywo! Chyba miałem pecha do jej konkursowych występów, gdyż wszystkie wypadły podczas moich transmisyjnych dyżurów w Studiu TVP Kultura, a tam odbiór jest jednak zupełnie inny. Przyjmowałem wówczas zachwyty otoczenia, mnie się zaś wtedy wydawało, że jakby trochę za wysoko unosi się ponad powierzchnią parkietu estrady FN. Kiedy jednak w radiowej audycji podsumowującej Konkurs słowa zachwytu wyraził sam Adam Harasiewicz, posłuchałem – już tylko audio – wybranego przez Mistrza fragmentu jej występu – pomyślałem sobie: o, będę musiał poznać ją bliżej. I pojawił się kolejny mój pech, bo wobec jej zdrowotnych niedyspozycji, nastała ponad 3-letnia przerwa w koncertowaniu. Wreszcie, po kilku latach, na nocnym koncercie towarzyszącym dusznickiemu Festiwalowi, tradycyjnym „Nokturnie" dostałem miejsce tuż przy fortepianie, i poznałem istotę nadzwyczajnej zupełnie indywidualności Kate Liu. Ostatnia, po północy, zasiadła do instrumentu i olśniła ostatnim *Nokturnem E-dur* op. 62 nr 2. Już sam początek zadziałał wprost nieziemsko. Przyłożyła ręce do

Tomasz Ritter, fot. Marek Grotowski

klawiatury, uniosła je, opuściła, znów uniosła, i jakby tylko muskając klawisze, zaczęła grać – pięknym tonem, lirycznym, poetyckim, nie śpiesząc się ani przez moment, przenosząc nas w zupełnie nieznane regiony przeżywania tej muzyki. Zastygnięta, wpatrzona gdzieś bardzo wysoko, w ogóle nie spoglądając na klawisze – tworzyła nam wielkie chopinowskie misterium, grając w gruncie rzeczy to epickie arcydzieło. Zachwycająco wręcz dodała mu poetyckich skrzydeł...

Ale to był tylko prolog do tego jej długo oczekiwanego recitalu, jaki nastąpił trzy dni później, w tym samym miejscu, w piątek, 9 sierpnia o godz. 20. Inna, ciut wcześniejsza pora, inne, już niby „normalne" okoliczności, ale „normalność" skończyła się wraz z jej pojawieniem się w Dworku Chopina. Krucha, delikatna, jakby właśnie zstąpiła z nieba. No i repertuar: zaczęła od schumannowskiej *Arabeski*, która była dla tej cudownej pianistki, prawdziwej artystki, znakomitą okazją do pokazania swojej osobowości. Od samego początku mieliśmy do czynienia z najprawdziwszą muzyczną magią. Znów była ta długa „celebra" rozpoczęcia gry, którą artystka – być może – chce zdobyć nasze pełne skupienie i swoiste oddanie, czy może bardziej – poddanie się jej wyszukanym wielce poetyckim myślom i ideom – co jednak czyni z dużą skutecznością. To, że czekamy na ten pierwszy ton, to jedna sprawa. Drugą jest cudowny owoc tego czekania: ton, miękki, powabny, zachwycający, osiągnięty jakby jakimś magicznym dotykiem. I tu, jak w opisanym wcześniej nokturnie, od samego początku, Kate Liu przeniosła nas w swój świat, wysoko unoszący się gdzieś w przestworzach, dając nam tak bardzo swoją, muzyczną poezję. Co może tu najważniejsze – Liu potrafi bardzo realnie i ziemsko grać frazy, dawać akcenty, tworzyć kulminacje, oczekiwane crescenda, diminuenda, ale owoc połączenia tych wszystkich elementów, tych ziemskich jak i nieziemskich, jest u niej wręcz baśniowy. *Arabeskę* zagrała magicznie i pięknie!

Potem była potężna *Fantazja C-dur* op. 17 Schumanna, którą Liu zagrała jeszcze bardziej po swojemu – przedłużając ją o kilka minut (niektórym słuchaczom wydawało się, że grała ponad 50 minut, my radiowcy wiemy, że było to 39 minut, przy średniej, że tak się wyrażę: półgodzinnej) – w czym nie widzę problemu. Problem pojawia się, i w jej recitalu mieliśmy z tym czasem do czynienia, jeśli wolne, misteryjne tempa gubią nieco tok narracji, jeśli „ziemski" zapis kompozytorski, za bardzo podporządkowuje się „nieziemskiej" interpretacji.

Nie będę jednak ukrywał, że mnie ogromnie podobało się i to opus 17 Schumanna. Było mocne, dynamiczne, grane czysto, z mocnymi brzmieniowo, szerokimi i powabnymi zarazem – jak na nią – ale zawsze kulturalnie podanymi kulminacjami. Już w I części, zakończonej wręcz hipnotycznie, pokazała wielką klasę, charyzmę, wybitną indywidualność. Część druga też udowodniła, że nie tylko muzyczna poezja jest jej najbliższa – bez najmniejszego trudu, i tu, dźwigała różne, wyrazowe, dynamiczne ciężary. Część ostatnią potraktowała formalnie jako jeden, wielki proces, wieloelementowy, który może nieco mógł uciec jej kontroli. Nb. w części drugiej pojawiło się parę wykonawczych usterek, no ale skoro przydarzyły się kiedyś i samemu Horowitzowi, to jak mamy nie wybaczyć młodziutkiej Liu...

Po przerwie zagrała jeszcze potężną *VIII Sonatę B-dur* op. 84 Prokofiewa. Rozpoczęła po swojemu – jakimś nieziemskim obłokiem, misteryjnym, brzmiącym niekiedy jak jakieś odległe dzwony, wracającym później, a potem rozpoczęło się mocne, histeryczne wręcz granie. To było prawdziwe szaleństwo, wrażenie klasterowej wręcz gry, acz zawsze czystej i precyzyjnej – można się niekiedy było poczuć jak w domu dla obłąkanych. Efekt – niesamowity! Największe zaś wrażenie, po właściwie kojącej ten nastrój części drugiej, wywarła finałowa część. Zagrała ją brawurowo, z wielką wirtuozerią. To była prawdziwa pianistyczna ekwilibrystyka najwyższego rzędu! Na bis zagrała nam trzy mazurki Chopina tworzące op. 59 – zwłaszcza drugi, jak sobie przypominam, był szczególnym rarytasem. Trzeci zaś był może nieco manieryczny, ale też został w pamięci!

W ostatnim dniu Festiwalu zagrał w finale znany i ceniony Brytyjczyk **Ian Fountain,** ale jego grę przyćmiła występująca przed nim fenomenalnie uzdolniona, może i najważniejsze dusznickie odkrycie – 15-letnia **Eva Gevorgyan**. Każdy, kto ma pojęcie o muzyce, o profesjonalnej grze, ale i o interpretacyjnej zdolności odczytywania nut, ten wie, co to znaczy mieć tyle lat i tak te nuty prezentować. Eva zdobyła już ponad 40 nagród na międzynarodowych konkursach pianistycznych, także – jakoś tu bez echa – w Polsce i gra już w wielu ważnych miejscach na świecie (obecnie uczy się w Centralnej Szkole Muzycznej przy moskiewskim Konserwatorium). W Dusznikach zadziwiła swoim ogromnym talentem i nieprawdopodobną wręcz muzyczną dojrzałością. Niedawno, po „Cliburn Competition" dla młodych pianistów w Dallas, wypowiedziała słowa, które bardzo wiele o niej mówią: *Kiedy gram, mam nadzieję, że odbiorcy słyszą słowa, których w prawdziwym życiu nigdy bym nie wypowiedziała* ... I jeszcze jedno jej zdanie: *Występ na tym konkursie napełnił mne energią i miłością, które pozostaną ze mną przez długi czas*... Słowa te i myśli świadczą o tym, jak traktuje ona muzykę i występy przed publicznością. Kto z jej rówieśników myśli o tym, jakie wartości i idee chciałby swoją grą i swoim rozumieniem muzyki przekazać publiczności? Kto, i to nie tylko w tym wieku, wchodzi na estradę po to, aby nacieszyć i wzbogacić swoje wnętrze oraz napełnić siłą swoje życiowe możliwości???

Piętnaście lat, a tyle w niej pianistycznego i muzycznego bogactwa, tyle zachwycającej gry i nieskazitelnej techniki, taka pewność poczynań, lekkość i łatwość gry, tyle natchnienia, radości, spontaniczności! Zafascynowała mnie interpretacjami dzieł Skriabina. Wiele było w nich finezji, w prowadzeniu fraz, pięknych i wyrafinowanych, melodycznych arabeskach, wiele kultury i smaku, wrażliwości brzmieniowej! Jakie niezwykłe było wyczulenie na dźwięk, na skriabinowskie harmonie! Bogata muzycznie była też *Dumka* op. 59 Czajkowskiego, zagrana z niesłychanym rozmachem, zachwycająco świeżo i spontanicznie, z niezwykłą swobodą, ujęła – jakby dla niej napisane – *Variations serieuses* op. 54 Mendelssohna. Na koniec zagrała nam op. 26 Hindemitha czyli Suitę „1922" – utwór niełatwy, którym jednak potrafiła się nawet bawić, i to efektownie, nad podziw. Impet wykonawczy – niewyobrażalny, genialne opanowanie tego niełatwego materiału!

Na koniec słowo o jej Chopinie. Otóż Chopina zagrała pobieżnie i szybko – tak bym to określił w dwóch słowach. Owszem, była tam *Tarantella* i *Walc As-dur* op. 34 nr 1, także *Polonez fis-moll* op. 44 – czyli wystarczające pokusy aby „młodzieńczo" przeszarżować z tempem i gładko uporać się z chopinowskimi nutkami. Trudno to jednak zrozumieć, jeśli chwilę później, w muzyce Skriabina, pianistka potrafiła się już zamyślić, a nawet pięknie rozpoetyzować. Ale jej dzisiejszy Chopin może też świadczyć, i to chyba jedyne tego wytłumaczenie, jak piekielnie trudna i całkowicie inna od wszystkich jest muzyka Mistrza Fryderyka, jak specjalnie ją trzeba rozumieć, jakie najwyższe stawia wymagania, jak nie da się jej „oszukać" genialnym nawet talentem. Czyli możemy być pewni, że z roku na rok, jej Chopin będzie coraz bardziej... chopinowski. Wierzę w to! Jest to bowiem, może i pierwszy przykład, tak wielkiego talentu, w tak młodym wieku, o którego karierę można się w ogóle nie obawiać. Jestem wręcz pewien, po tym jednym tylko dusznickim recitalu, że czeka ją wspaniała, artystyczna przyszłość!

Tak wybitnie ciekawy był tegoroczny Festiwal, o czym świadczy także pojemność tego sprawozdania. Najwięcej miejsca poświęciłem tym, którzy wywarli największe wrażenie. Ci drudzy mieli pecha bo w innej konstelacji ulokowaliby się zapewne dużo wyżej w pamięci piszącego te słowa. Chcę jednak podkreślić z całą mocą, że poziom dusznickiego święta muzycznego AD 2019 był zatrważająco wysoki, a prymat młodych pianistów jest sygnałem ostrzegawczym dla tych uznanych i renomowanych, że nie mogą zasypiać gruszek w popiele. Konkurencja czyha na każdym kroku...

Adam ROZLACH, Polskie Radio 1

Nagrody Orderu Orła Białego

Wniosek o Order dla Artura Rubinsteina

W połowie 2018 roku Kancelaria Prezydenta RP ogłosiła listę 25 osób nagrodzonych Orderem Orła Białego w 2018 roku, na 100-lecie odzyskania niepodległości. Dlaczego nie nagrodzono stu osób? – pomyślałem i zacząłem analizować listę nagrodzonych tym najwyższym polskim odznaczeniem. Szanując decyzje Kapituły Orderu w kwestii takich wyborów, stwierdziłem jednak, że w gronie nagrodzonych brakuje bardzo Artura Rubinsteina (1887-1982), wielkiego artysty, pianisty, chopinisty i wielkiego polskiego patrioty, którego życiorys poznałem przez ostatnie lata bardzo dobrze.
Jako prezes fundacji jego imienia i osoba bliska rodzinie Rubinsteinów, złożyłem prośbę (napisałem list, wniosek) do Prezydenta Państwa jako Wielkiego Mistrza Orderu, ze śmiałą sugestią i zapytaniem, czy nie można rozważyć nadania Orderu temu pianiście

Rubinstein nie mógł otrzymać Orderu Orła Białego (OOB) po II wojnie światowej, bo w kraju komuniści nie honorowali ani pianisty ani Orderu – i na szczęście nie nadawali OOB, na emigracji też go nie nadawano. Przed wojną był jeszcze stosunkowo młody, „pracował na order", był trochę w cieniu wielkiego Paderewskiego, można rzec „spokojnie czekał", miał czas. Doczekał „Solidarności", są zdjęcia z pocz. 1982 r., gdy już bardzo chory, na łożu śmierci siedzi w szlafroku z przypiętym znaczkiem „Solidarności". Był to wielki artysta. Napisać „wielki muzyk" byłoby banalne; był to człowiek prawdziwie rozumiejący, promujący i kochający także muzykę Fryderyka Chopina. Miał szacunek do własnej sztuki, wykonawstwa; uznawał i doceniał talent innych współczesnych mu „dojrzałych" ale i tych młodych muzyków. Rubinstein był bardzo oczytany, inteligentny, realista, ponieważ kochał życie – mówił i pisał o muzyce i życiu bardzo ciekawie, jasno i klarownie.

Ale idąc tym orderowym tropem, zastanawiać się trzeba, dlaczego Orderu nie nadano przed wojną kilku wielkim Polakom np. Henrykowi Sienkiewiczowi!? Czy dlatego, że nasz wielki pisarz i noblista był przeciwny wojnie Legionów Polskich z Rosją i nie zgadzał się z Piłsudskiego dziełem? To samo z Karolem Szymanowskim, też za życia nie nadano mu Orderu, wyrzucono go nawet ze stanowiska rektora Konserwatorium Warszawskiego... Sądzę, że nie można dziś wtrącać się w decyzje tamtej władzy, poprawiać po nich, naprawiać; mieli przecież swoją Kapitułę, swojego kanclerza i Wielkiego Mistrza, swoje racje, za przeproszeniem – głupi nie byli!

OOB nadano w ostatnich latach kilkudziesięciu osobom, z całym szacunkiem ale w porównaniu z Rubinsteinem wielu ma dużo mniejsze zasługi dla Rzeczypospolitej – o tych pianisty piszę w zał. liście (wniosku) do Pana Prezydenta. Nie analizuję życiorysów odznaczonych dawniej i obecnie, nie chodzi mi o analizę każdego nazwiska, ale o Rubinsteina, o jakąś sprawiedliwość. Wielu z odznaczonych w tzw. III czy IV RP a wywodzących się z PRL-owskiej nomenklatury nie szanowało Orderu, wieszali sobie go w kuchni u lampy, na dekorację do kancelarii Prezydenta RP przychodzili w swetrze – taka sytuacja była np. za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, który powinien przegonić na cztery wiatry „nagrodzonego" a nie przypinać mu Order do swetra... Ale przypiął! I prezydent i odznaczony zadrwili z naszego Orderu.

Polacy są Rubinsteinowi bardzo dużo winni, dużo mu zawdzięczamy, pora naprawić to zapomnienie, wszak nie otrzymał ani największego polskiego Orderu, ani Honorowego Obywatelstwa m. Łodzi czy Warszawy – a nadało mu takie honory wiele innych państw i miast świata.

*

List do Prezydenta RP w sprawie nadania Orderu Orła Białego panu Arturowi Rubinsteinowi:

Łódź, 12 września 2018

Międzynarodowa Fundacja Muzyczna
im. Artura Rubinsteina
ul. Piotrkowska 112
90-007 Łódź, tel. 42 632 79 39
fundacja@arturrubinstein.pl
www.arturrubinstein.pl

Prezydent RP Pan Andrzej Duda
Wielki Mistrz Orderu Orła Białego

Dostojny Panie Prezydencie

Piszę do Pana jako osoba piastująca funkcję prezesa zarządu Międzynarodowej Fundacji Muzycznej im. Artura Rubinsteina w Łodzi, w imieniu naszej fundacji – ale jak sądzę moja śmiała prośba spotkałaby się z licznym poparciem Polaków i wielu osób na świecie.

Bardzo pozytywnie jestem poruszony i wdzięczny Panu Prezydentowi i Kapitule Orderu Orła Białego za pośmiertne nagrodzenie 25 Polaków Orderem Orła Białego w 2018 roku, roku setnej rocznicy odzyskania niepodległości; cenne jest, że w gronie tym są także osoby o innym niż rdzennie polskim pochodzeniu. Ośmielam się prosić Pana Prezydenta jako Wielkiego Mistrza tego Orderu, o zwrócenie uwagi w następnej procedurze na osobę Artura Rubinsteina: wielkiego artysty, pianisty i chopinisty, wielkiego polskiego patrioty.

Artur Rubinstein (**1887-1982**)
Urodził się w Łodzi w 1887 r. w rodzinie żydowskiej, zmarł w Genewie w 1982.

Wśród setek gestów i czynów pro-polskich Rubinsteina, była i ta słynna manifestacja polskości w San Francisco podczas tworzenia ONZ. Wówczas to, 13 maja 1945 roku artysta zagrał – poza programem i protokołem – w San Francisco na Konferencji Pokojowej (organizującej ONZ) Hymn Polski w sytuacji, gdy na sali obrad – dawał tam recital dla delegatów i gości – nie było polskiej flagi; nie było też polskiej delegacji (Stalin zabronił...!).

Artysta doskonale znał historię Polski, w wieku 9 lat był już po lekturze Trylogii Henryka Sienkiewicza, mówił o Chopinie: mój rodak; można też rzec – wypromował na świecie muzykę swojego przyjaciela Karola Szymanowskiego (nagrodzonego teraz przez Kapitułę Orderem Orła Białego) grając jego utwory w największych salach koncertowych świata.

W trudnych chwilach choroby i biedy Szymanowskiego, wspierał go także finansowo, dał mu np. książeczkę czekową by korzystał dowoli z jego pieniędzy. Rubinstein nigdy nie powiedział ani nie napisał złego słowa o Polsce i Polakach, podarował Polsce milionowej wartości pamiątki w tym autografy F. Chopina i paszport kompozytora. Z żoną – Polką – Anielą (Nelą) z Młynarskich wychował czworo dzieci (piąte zmarło dzień po urodzeniu), wszyscy mieszkają w Stanach Zjednoczonych, córki przyjeżdżają do Łodzi na festiwal pianistyczny imienia Rubinsteina (Rubinstein Piano Festival), organizowany przez naszą fundację – każdorazowo pod patronatem Polskiej Pary Prezydenckiej, za co dziękujemy.

Artur Rubinstein otrzymał po II wojnie światowej zakaz wjazdu do Polski; mieszkał w Stanach Zjednoczonych, otrzymał obywatelstwo amerykańskie. W swym długim życiu wystąpił ponad 6.000 razy, nagrał ponad 200 płyt, napisał wspomnienia, udzielił wielkiej ilości wywiadów prasowych, radiowych i telewizyjnych, nagrano wiele filmów o nim w tym nagrodzony Oscarem w 1970 r. *L'Amour de la Vie*. Był doktorem honoris causa wielu uniwersytetów, otrzymał honorowe obywatelstwa wielu miast świata i najwyższe odznaczenia największych państw. Otrzymał Order Odrodzenia Polski, posiadał też I klasę francuskiej Legii Honorowej, nagrodzono go najwyższym amerykańskim odznaczeniem dla osób cywilnych tj. Prezydenckim Medalem Wolności. Odznaczenie to otrzymało tylko jeszcze pięciu innych Polaków: Jan Nowak Jeziorański, Zbigniew Brzeziński (był zaprzyjaźniony z Rubinsteinem), papież Jan Paweł II, Lech Wałęsa, Jan Karski (pośmiertnie). Maestro poza Polską mieszkał też w: Paryżu, Nowym Jorku, Hiszpanii; w Carnegie Hall wystąpił aż 130 razy. Po śmierci I.J. Paderewskiego oddał Mu wielki hołd w Ameryce, gdy w radiu kilka godzin opowiadał o Nim i grał jego utwory; stał się jakby następcą ukochanego i przez Amerykę Paderewskiego, naturalnie w jego ręce (po Paderewskim) przechodził splendor i palma pierwszeństwa światowego mistrza i „króla fortepianu" (bardzo nie lubił tego określenia).

Z najserdeczniejszymi życzeniami, z pozdrowieniem

Wojciech Stanisław Grochowalski
Prezes zarządu
Fundacji Artura Rubinsteina

PS Jestem wydawcą, animatorem i menedżerem kultury, zostałem odznaczony m.in. Orderem Odrodzenia Polski i Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis", Nagrodą Miasta Łodzi i in.

Ukochanie przez Rubinsteina Polski potwierdza m.in. film dok. o koncercie Rubinsteina w ONZ w 1945 r. na stronie www.kulturaibiznes.pl w zakładce YouTube, inny film „Polski patriotyzm Artura Rubinsteina" w mojej reżyserii wysłałem (na DVD) do Kancelarii Pana Prezydenta w 2017 roku. ■

W hołdzie Chopinowi

O wydarzeniach w Nowym Jorku; Carnegie Hall

Wydarzenia „W hołdzie Fryderykowi Chopinowi i Arturowi Rubinsteinowi. W 170. rocznicę śmierci Fryderyka Chopina" zorganizowała w Nowym Jorku w dniach 1-5 grudnia 2019 r. Międzynarodowa Fundacja Muzyczna im. Artura Rubinsteina, wg projektu Wojciecha Grochowalskiego. Kulminacją wydarzeń były dwa koncerty Tomasza Rittera: w Konsulacie Generalnym RP i w Carnegie Hall. Wydarzenia dofinansowała Kancelaria Senatu RP i Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce Okręg nr 2 w Nowym Jorku.

Wydarzenia były przede wszystkim promocją młodego polskiego pianisty Tomasza Rittera, ur. 1995, zwycięzcy I Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina na instrumentach historycznych w Warszawie w 2018 r. oraz Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego dla Młodych Pianistów im. Artura Rubinsteina w Bydgoszczy (2011). Pianista otrzymał dyplom najlepszego absolwenta klasy fortepianu Konserwatorium w Moskwie, które ukończył w 2019 r. Fundacja realizuje poprzez takie koncerty swoje cele statutowe, wśród któyrch jest także promowanie młodych artystów.

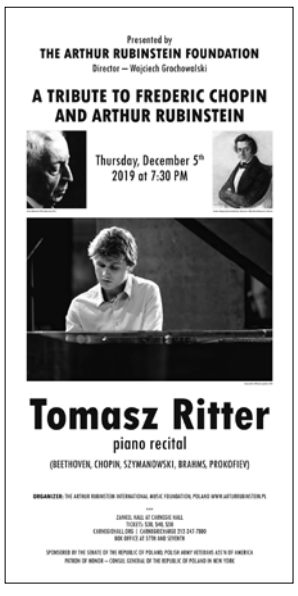

Wydarzenia rozpoczęły się w niedzielę 1 grudnia 2019 mszą świętą w kościele polskim na Manhattanie (7 ulica) pw. Św. Stanisława Biskupa i Męczennika; msza w intencji Fryderyka Chopina z okazji 170. rocznicy śmierci kompozytora (zm. 17 X 1849 w Paryżu). W poniedziałek składano w Nowym Jorku kwiaty pod pomnikami i tablicami wybitnych Polaków – w tym w siedzibie głównej ONZ pod pomnikiem (mosiężną rzeźbą) Artura Rubinsteina. We wtorek miały miejsce wydarzenia w Instytucie Józefa Piłsudskiego: dwa odczyty: o Józefie Piłsudskim jako człowieku kultury oraz o Łodzi Rubinsteina i o Chopinie Rubinsteina; pokazano też film krótkometrażowy „Łódź Rubinsteina" zrealizowany przez Fundację w 2016 r.

Pierwszy z koncertów Tomasza Rittera odbył się Konsulacie Generalnym RP 4 grudnia. Gości podejmował Konsul Kamil Henne, wykład „Rubinstein and Chopin: a Life-long Partnership" wygłosił Harvey Sachs, Fundacja pokazała wystawę o „Chopinie Rubinsteina". W recitalu fortepianowym Tomasz Ritter wykonał utw. Beethovena, Brahmsa, Chopina i Szymanowskiego – tego ostatniego znakomicie zagrane *Wariacje b-moll* op. 3 dedykowane A. Rubinsteinowi.

Koncert T. Rittera w średniej sali w Carnegie Hall tj. Zankel Hall (w Carnegie są trzy sale) zgromadził 5 grudnia 2019 godz. 19.30 kilkuset melomanów. Nasz młody nieznany tam pianista może mówić o sukcesie i cieszyć się tak dużą widownią na swoim debiucie w tej sali. Zaprezentował bardzo odważny dwuczęściowy program: 32 wariacje Beethovena, Chopina nokturn c-moll i mazurki op. 33, Szymanowskiego ww. wariacje; po przerwie *Klavierstucke* Brahmsa i VII sonatę Prokofiewa. Bisował pięknym utworem Alberto Ginastery *Taniec pięknej dziewczyny*, utwór pochodzi z jego pierwszej płyty nagranej przez Polskie Nagrania w 2014 r., drugą płytę nagrał w 2019.

Gośćmi honorowymi wydarzeń były Ewa i Alina Rubinstein; szerzej o wydarzeniach w następnym numerze „Kultury i Biznesu".

WSG

Pomnik Armii Krajowej w Łodzi

Po latach starań, pokonania piętrzących się trudności, stanął wreszcie w 2019 roku (!) w Łodzi pomnik dedykowany Armii Krajowej. Łódź była jednym z ostatnich miast w Polsce, w którym nie było pomnika AK. Ale nie jest to pomnik na miarę chwały i dokonań Armii Krajowej, na miarę oczekiwań choćby ostatnich żołnierzy tej Armii, którzy chcieli aby był to monument pokaźnych rozmiarów, ustawiony w widocznym i ważnym miejscu miasta. Nie udało się doprowadzić do wymarzonej efektownej realizacji, ale aby w ogóle udało się doprowadzić do końca zamierzenia AK-owców, zawarto pewien kompromis.

Do ustawienia pomnika doprowadziła swoim uporem trójka weteranów AK: **ppłk Tadeusz Barański** (w AK ps. „Tatar", jeden z ostatnich żołnierzy Świętokrzyskiego Zgrupowania Partyzanckiego AK „Ponury" – jego d-cą był Jan Piwnik ps. „Ponury"), **mjr Tadeusz Bratek** (emerytowany pracownik Politechniki Łódzkiej, w AK ps. „Orliński", prezes Środowiska ŚZŻAK „Jodła" Radom-Kielce) i mjr **Zbysław Raczkiewicz** – honorowy prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej okręgu w Łodzi. Pomysł na pomnik w tym mieście istniał od kilkudziesięciu lat, ale z uwagi na brak środków, na przedłużające się dyskusje, waśnie, przepychanki etc. nie był realizowany. Wymienieni Weterani postanowili więc pokierować sprawami po swojemu i spowodować, by za ich życia upamiętniono wreszcie i tu podziemną armię czasów II wojny światowej. Doprowadzili do ogłoszenia konkursu wśród studentów Politechniki Łódzkiej (rektor ogłosił taki na projekt pomnika z nagrodą 20.000 zł dla zwycięzcy), zbierali pieniądze, rozmawiali, lobbowali... Wychodzili wreszcie sprawę i doprowadzili, że Rada Miejska przyznała pieniądze (350.000 zł) i lokalizację – przy ul. gen. Żeligowskiego, przed d. szpitalem WAM na placu gen. Hallera. Pierwotnie miał stać k. nowego dworca Łódź Fabryczna, później w EC1, w parku Moniuszki, wreszcie stanął gdzie stanął. Jest to zła lokalizacja, gdyż: nie jest to centrum miasta, pomnik schowany jest za przystankiem autobusowym, za drzewami i krzakami; jest małych rozmiarów i nie jest widoczny (ginie w tym gąszczu) nawet z odległości 100 metrów.

Konkurs wygrała absolwentka architektury Politechniki Łódzkiej p. Wiktoria Leszczyńska, ale i to co widać odbiega nieco od jej projektu. Zaprojektowała granitowe bryły z żelazną rzeźbą, przedstawiającą orła wzbijającego się do lotu – i tego elementu brak. Jest znak Polski Walczącej „kotwica" i cytaty z Cypriana Kamila Norwida oraz Józefa Wybickiego. Pomnik składa się z czterech brył geometrycznych, w tym wysokiego na ok. 3 metry słupa (z niego pewnie „odleciał" orzeł). Na przyziemiu podstawy, na płycie umieszczono sentencję Norwida: „Naród zatraca swoją tożsamość, jeśli nie jest świadomy czynów swoich ojców, a co gorsza o nich nie pamięta".

Łódź nie ma efektownych pomników patriotycznych. Minimalistyczny Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź" w Parku Helenów przy ul. Północnej (odsł. 2003) też jest na uboczu, nie było na niego pieniędzy, powstał wysiłkiem i ze składek społecznych, projektowali go studenci. Także ustawienie dwa lata temu „pomnika" Powstańców Warszawskich na Dołach, z budzącą sprzeciw i oprotestowaną płytą tekstową, potwierdza niechęć rządzących Łodzią do autentycznego i godnego oddania hołdu poległym w wojnach Polakom. Podobnie jest z pomnikiem legionisty z czasów I wojny – „Legionistom Łodzianie" odsł. w 2017; ładny projekt dr. Marcina Mielczarka z łódzkiej ASP (postać żołnierza na wysokim postumencie), ale też na uboczu, w parku przy ul. ul. Bednarskiej/Sanockiej, niewidoczny z ulicy, nikt go nie zauważy.

Pomniki te znajdą ci, którzy będą ich szukać. Pewnie o to chodziło decydentom...

WG

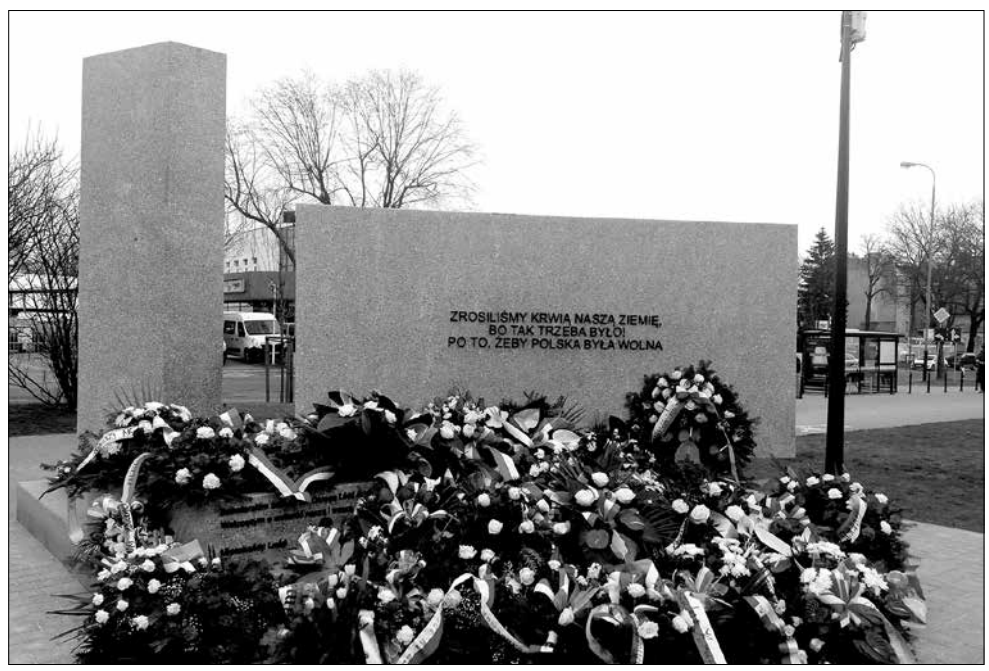

Pomnik Armii Krajowej w Łodzi, odsłonięty 20 marca 2019

Fragmenty ekspozycji wystawy polskich militariów, 3, 4 XI 2018, Clark, New Jersey

Wystawa militariów polskich na 100-lecie odzyskania niepodległości

Polonia amerykańska ze Wschodniego Wybrzeża – członkowie Klubu Miłośników Militariów Polskich im. Andrzeja Zaremby w Ameryce (zał. 1986) – z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę, przygotowała wystawę militariów polskich. Ta interesująca wystawa, pokazująca zaledwie skrawek zbiorów kolekcjonerów, członków Klubu, miała tytuł „Oręż Niepodległej 1914-1947". Mimo wielkich nakładów organizacyjnych prezentowana była tylko dwa dni: w sobotę i niedzielę, 3 i 4 listopada 2018 roku, w lokalu Polskiej Fundacji Kulturalnej, 177 Broadway, Clark, w stanie New Jersey. Kuratorem wystawy był Wojciech Budzyński z Nowego Jorku.

Wystawa zaprezentowała na amerykańskiej ziemi oręż polski w XX wieku, niestety nie pozwolono kolekcjonerom zaprezentować broni strzeleckiej, w tym słynnego polskiego pistoletu Vis. Obejrzeć można było: obrazy, grafiki, rzeźby, plakaty i druki ulotne, broń białą w tym ponad 20 szabel od pierwszej polskiej XX-wiecznej szabli wz.17 do wz.34, zaprezentowano wiele modeli kordzików (krótka paradna broń biała, rodzaj sztyletu), 70 mundurów wszelkich rodzajów wojsk, nakrycia głowy – w tym słynne polskie rogatywki. Było wyposażenie żołnierskie i oficerskie, ordery i odznaczenia w tym krzyże Virtuti Militari, dokumenty, jakże rzadkie w kolekcjach odznaczenia po cichociemnych; kawałek szarfy, którą okryta była trumna marszałka Józefa Piłsudskiego; opaski nakładane na hełmy w czasie Powstania Warszawskiego; orły, które zdobiły gabinet gen. Władysława Andersa w sztabie II Korpusu w Predappio we Włoszech, modele tych samolotów – na których latali polscy piloci, orzełek wz.36 ppor. Witolda Urbanowicza, dowódcy dywizjonu 303 podczas bitwy o Anglię i wiele wiele innych eksponatów.

Każdy z tych przedmiotów ma swoją indywidualną historię, należał do konkretnej osoby z przeszłości co kolekcjoner starannie ma udokumentowane i szczyci się tak przedmiotem jak i wiedzą o nim. Np. wspomniany orzeł na czapkę mundurową ppor. Urbanowicza uwieczniony jest na historycznych zdjęciach, na lewej kieszeni bluzy mundurowej oficera – zamiast na czapce. Powód? Anglicy zabronili Polakom noszenia na czapkach polskich odznak (emblematów), dopiero po jakimś czasie pozwolili nosić na mundurach naszywki „Poland".

Jedna z prezentowanych na wystawie szabel, należała do Jazdy Jaworskiego z okresu wojny polsko-bolszewickiej. Rtm. Feliks Sas Jaworski to słynny zagończyk, organizator oddziału samoobrony na Ukrainie. W czasie I wojny światowej operował m.in. na Podolu i Wołyniu (III Korpus Polski w Rosji, początki jego formowania na Ukrainie to grudzień 1917, powstał do obrony atakowanej przez bandy ukraińskie polskiej własności ziemskiej). Jaworski to „kmicicowa dusza", postrach bolszewików ze swoim oddziałem. Zasłynął m.in. stwierdzeniem, że polski kawalerzysta zgina kark tylko dwa razy: w kościele i na gimnastyce! Rotmistrz kawalerii, kawaler VM; nawet gdy ci oficerowie kawalerii awansowali na wyższe stopnie wojskowe, to jednak stopień rotmistrza budził u nich najwięcej pozytywnych emocji.

WSG

Atlas Sp. z o.o. – znany mecenas kultury

Łódzka firma Atlas – Grupa Atlas – znana jest głównie z produkcji klejów i zapraw murarskich; jest to m.in. producent popularnych i bardzo markowych klejów do glazury. Firma jest największym w Polsce producentem chemii budowlanej, zajmuje się także dystrybucją energii elektrycznej, posiada firmy spedycyjne, kopalnie piasku. Ale Atlas to także Fundacja Dobroczynności, wydawca własnego czasopisma dla pracowników Grupy wreszcie wielki mecenas kultury

Do najbardziej znanych przedsięwzięć kulturalnych i kulturalno biznesowych tej firmy należy wymienić galerię Atlas Sztuki (Piotrkowska 114, galerię i wydawnictwo) i halę sportowo-widowiskową Atlas Arena w Łodzi.

Galeria istniała w latach 2003-2017, prezentując ok. 70 dużych wystaw twórców: malarstwa, grafiki, fotografii, filmu i in.; prowadzona była przez kilkanaście lat i znakomicie spełniła założone cele. Natomiast nazwa Atlas Arena funkcjonuje od dziesięciu lat, gdy halę oddano do użytku. Atlas jest sponsorem tytularnym hali, która mieści 14.000 widzów, w której przez te lata odbyły się 284 imprezy sportowe, 175 koncertów i 139 innych wydarzeń a obiekt odwiedziło aż 4 653 350 osób! Któż z Czytelników nie był tu choć raz na koncercie czy meczu?

W gronie beneficjentów Grupy Atlas jest także Rubinstein Piano Festival.

Firma jest bardzo utytułowana, przede wszystkim posiada nagrody i wyróżnienia biznesowe, polskie i zagraniczne. Liczne medale, godła, dyplomy, statuetki, puchary etc. eksponowane są w siedzibie zarządu przy ul. Kilińskiego 2 w Łodzi (zapewne tylko częściowo), można je obejrzeć także na stronie www.atlas.com.pl. Wśród nagród za wspieranie kultury na koncie firmy jest m.in. Nagroda im. Henryka Grohmana (2014 r.). Jest to wyróżnienie w kategorii Inwestor – Mecenas od Zarządu Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej SA, nadane za galerię ATLAS Sztuki.

Firma zdobyła też tytuł Lidera Filantropii w tymże samym 2014 roku i pierwsze miejsce w konkursie organizowanym przez Forum Darczyńców w Polsce, w kategorii przedsiębiorstw, które na cele społeczne przeznaczyły największy odsetek swoich dochodów.

Firma jest bardzo dobrze zarządzana, najmłodszy członek zarządu Piotr Grzelak urodził się w 1982 roku. Prezesem pięcioosobowego zarządu jest Paweł Kisiel, wiceprezesem zarządu ds. rozwoju jest dr inż. Jacek Michalak.

Red.

Główna siedziba i siedziba zarządu Grupy Atlas, Łódź, ul. Kilińskiego 2, foto z arch. firmy

Nowy hotel w Łodzi

W centrum Łodzi buduje się kolejny nowy hotel, będzie to Hampton by Hilton. Powstaje z betonu, aluminium i szkła, w kwartale zabytkowej zabudowy pomiędzy ulicami Piotrkowską, al. Mickiewicza i al. Kościuszki. Ponieważ adres jego to Piotrkowska 155, zatem funkcjonuje i nazwa Hi Piotrkowska 155. Zadanie inwestycyjne firm Bacoli Properties w kooperacji z Master Management Group, wykonawcą budowy jest firma Erbud z Warszawy; wartość prac wykonanych przez tego generalnego wykonawcę wyniesie ok. 165 mln zł.

Budowa rozpoczęła się w czerwcu 2016, hotel miał być oddany już kilka lat temu, wstrzymywano jego budowę; zapewne pierwsi goście zamieszkają tu jesienią 2020 roku.

Są to trzy połączone ze sobą obiekty (hotelowy, biurowy i handlowy), o różnej wysokości, największa część „wysokościowiec" wzdłuż al. Mickiewicza ma 18 pięter. Powierzchnia użytkowa całego gmachu wynosi 34.000 mkw., w tym powierzchnia biurowa 21.000 mkw. a powierzchnia handlowa 5.000 mkw. Pokoje mają być w standardzie czterogwiazdkowym, będzie ich 149.

Red.

Biznes-Kultura-Społeczeństwo

W lutym 2019 w Zachęcie Narodowej Galerii Sztuki w Warszawie, odbyła się debata pt. „Biznes-Kultura-Społeczeństwo". Debatę organizowali: galeria „Zachęta", Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego Teraz Polska, Ośrodek Dialogu i Analiz THINKTANK, Magazyn THINKTANK. W gronie panelistów byli: Magdalena Kąkolewska – prezes Fundacji Artystyczna Podróż Hestii; Jan Koszutski – dyrektor Desa Unicum, Joanna Wodzyńska – członek zarządu i współwłaściciel Grupy Tubądzin, dr Olga Wysocka – zastępca dyrektora Zachęty Narodowej Galerii Sztuki; debatę prowadziła dr Katarzyna Młynek, dyrektor programowy THINKTANK. Uczestniczyły w debacie także p. Elżbieta Dzikowska – podróżniczka i artystka a także Wiesława Wierzchowska, historyk i krytyk sztuki.

Jak informowano w materiałach pokonferencyjnych: „paneliści dyskutowali o korzyściach, które biznes i kultura mogą wynieść ze wzajemnej współpracy oraz o konieczności połączenia sił na rzecz zmiany społecznej i edukacji kulturalnej". Wiodącym tematem były zatem zagadnienia łączenia i współpracy kultury i biznesu – mimo, że paneliści na pierwszym miejscu wymieniali biznes (może nie chcąc nadużywać zastrzeżonej nazwy naszej gazety...) uważam, że taka kolejność jest właściwa, że kultura była wcześniej, i jest nadal przed biznesem. Zresztą potwierdzali to dyskutanci wielokrotnie. Każdy biznes jest niewątpliwie efektem aktywności kulturalnej człowieka, na początku jest myśl, idea, pomysł, obrobienie go i wdrożenie do realizacji.

W debacie słusznie narzekano na brak promocji koniecznych relacji kultury i biznesu, ograniczanie ich do sponsoringu i umieszczenia logotypu firmy w materiałach wydarzeń kulturalnych. Mówiono też o braku promocji i komunikacji w zakresie relacji kultura-biznes – także w szkołach, tj. brak odpowiedniej edukacji. Sugerowano większe odpisy podatkowe dla filantropów i firm inwestujących w kulturę, zwiększenie środków rządowych na kulturę.

*

Duży biznes w Polsce czyli bardzo bogate firmy spółki Skarbu Państwa są głównie państwowe, a zarządy ich nadal upolitycznione. Na prezesów i do zarządów wybierani są ludzie wierni (nie piszę „mierni ale wierni") partii i prezesom partii aktualnie rządzących. Poziom kultury i potrzeby kulturalne prezesów zarządów i dyrektorów tych spółek są bardzo różne, zatem wielu może nawet nie znać problemu. Prezesi ci, skoro są partyjnie nominowani to mają partyjne wytyczne komu pomagać – vide dawać pieniądze, co widać każdego dnia oglądając choćby reklamy w telewizji czy billboardy. Z kolei właściciele dużych firm prywatnych, którzy chcą wspierać kulturę, mają mniejsze możliwości finansowe sponsoringowe a kolejkę chętnych ogromną.

Nie ma dziś w Polsce mody i snobizmu na sponsorowanie kultury, nowobogackich biznesmenów w pierwszym pokoleniu kultura nie nobilituje, jakby nie rozumieją jej i jej potrzeb. Dobrze choć, że kupują ładne ubrania, samochody, domy – bo to też jest efekt pracy artystów.

Artysta i biznesmen są ludźmi kreatywnymi. Różnica polega na tym, że z definicji biznes polega na zarabianiu pieniędzy a bycie artystą na tworzeniu sztuki, rzeczy pięknych, by zachwycały; czasem tworzy w cichości, małymi etapami.

W dawnych czasach mecenasami kultury byli papieże (Kościół), cesarze, królowie, później arystokracja, szlachta, przedsiębiorcy, na mniejszą skalę ziemianie. Przed II wojną światową w Polsce sponsoring kultury był bardzo popularny, na tzw. Zachodzie niezmiennie był i jest. Powoli wraca chyba i u nas ta miła potrzeba wspierania przez biznesmenów kultury; żaden teatr, filharmonia, biblioteka czy czasopismo kulturalne nie utrzyma się bez dotacji. Wspierają więc kulturę banki, firmy produkcyjne, usługowe, handlowe. Wspomniana debata na ten temat i obecność tam producenta płytek ceramicznych tj. Grupy Tubądzin – znanej z mecenatu kultury, świadczy, że jest coraz lepiej, mimo omawianych problemów.

Z dużych łódzkich firm prywatnych, które od lat znane są jako autentyczni mecenasi kultury trzeba wymienić: Atlas Sp. z o.o., Ceramika Paradyż, Grupa Tubądzin, Amcor Sp. z o.o. Firmy te stale już wspierają kulturę finansowo i rzeczowo. Tubądzin np. angażuje ostatnio studentów ASP i Politechniki Łódzkiej do projektowania posadzek w prześwitach bramowych na ul. Piotrkowskiej, opłaca przenoszenie obrazów na ściany kamienic – ale obrazów wykonanych z płytek ceramicznych. *Red.*

Kolejny rok czasopismo „Kultura i Biznes" nie otrzymało dofinansowania od ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Czekając zatem wspólnie na „dobrą zmianę", prosimy Czytelników o wspieranie finansowe naszej fundacji i czasopisma „Kultura i Biznes". Dotacje przelewem na cele kultury i sztuki, cele statutowe fundacji, donator może odliczać od podatku; nr konta Fundacji Kultury i Biznesu: 51124030281111000028241548

Medale Kościuszkowskie w nagrodę

Dwa medale z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki otrzymał wydawca „Kultury i Biznesu" Wojciech S. Grochowalski. Medalami odznaczony został za aktywność na polu kultury.

Pierwszy, na biało-czerwonej wstążce, przyznany został przez Kapitułę Medalu im. Tadeusza Kościuszki, nadawanego przez Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (Polonia Technica Inc., zał. 1941). Medalem udekorował odznaczonego w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku 3 grudnia 2019 dr inż. Janusz Romański, honorowy prezes Stowarzyszenia. W dyplomie do medalu napisano: „W uznaniu wieloletniej działalności na rzecz kultury polskiej oraz za owocną współpracę z organizacjami polonijnymi w Stanach Zjednoczonych AP."

Medal jest autorstwa Andrzeja Pityńskiego, wybity w brązie, przedstawia na awersie Tadeusza Kościuszkę, na rewersie godło Stowarzyszenia.

Medal Komitetu Kopca Kościuszki (komitet ustanowiono 24 XI 1820 w Krakowie) wręczony z dyplomem od prezesa komitetu prof. Mieczysława Rokosza. Medal przyznano za trud włożony w organizację wystaw o Armii Polskiej w Ameryce – w tym przygotowanie i ekspozycję tej wystawy przez trzy miesiące pod Kopcem Kościuszki. Wystawa dot. Obozu Kościuszko w Niagara-on-the-Lake 1917-1919. Jak p. Prezes napisał w dyplomie: „Nazwa tego szkoleniowego obozu KOŚCIUSZKO jest wymownym świadectwem, jak wielkie to nazwisko było dla Polaków „hasłem bojowym" na szlakach do Niepodległości.

Medal wybito w nakładzie 100 egz., jego autorem jest prof. Czesław Dźwigaj z ASP w Krakowie. *Red.*

POLONIA TECHNICA

ASSOCIATION OF POLISH AMERICAN ENGINEERS IN THE UNITED STATES OF AMERICA

STOWARZYSZENIE INŻYNIERÓW I TECHNIKÓW POLSKICH W STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ

Medal
im. Tadeusza Kościuszki
wyróżniony:

Wojciech Stanisław Grochowalski
Prezes Fundacji Kultury i Biznesu, Łódź, Polska

W uznaniu wieloletniej działalności na rzecz kultury polskiej oraz za owocną współpracę ze organizacjami polonijnymi w Stanach Zjednoczonych AP.

za Kapitułę:
Dr Inż. Janusz Romański
Honorowy Prezes

New York, 11 listopad, 2019

Estrada przed ołtarzem?

W kościołach coraz częściej odbywają się koncerty. Są one zróżnicowane pod względem gatunku muzyki (klasyka, jazz, piosenka, folk) i charakteru wykonywanych utworów. Zazwyczaj cieszą się zainteresowaniem słuchaczy. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że niejednokrotnie rodzi się pytanie, czy aby na pewno to, co w danym momencie dzieje się w świątyni, jest odpowiednie dla takiego szczególnego miejsca.

Przykład pierwszy z brzegu. W Grotnikach, w kościele p.w. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny trwało w lipcu „25. Lato z muzyką". Impreza, współorganizowana przez Gminne Centrum Kultury, Sportu, Turystyki i Rekreacji w Dzierżąznej pod artystycznym kierownictwem Witolda Kacprzaka, nazwana została oficjalnie festiwalem, choć taka nazwa może się wydać trochę przesadzona dla skromnego pod względem rozmiarów przedsięwzięcia, obejmującego raptem cztery krótkie koncerty „wciśnięte" w odstępach tygodniowych pomiędzy niedzielne, popołudniowe Msze Święte.

Zapowiadająca od lat występy na tej imprezie Małgorzata Jabłonowska-Kacprzak używa w odniesieniu do ich miejsca określenia „estrada". Czy można tak nazywać przestrzeń przed ołtarzem? Z kolei czy na czas prezentacji godzi się umieszczać w obrębie ołtarza, tuż przy tabernakulum, planszę reklamującą wykonawców?

Lato z muzyką w Grotnikach każe się jednak przede wszystkim zastanowić nad tym, czy wszelka muzyka jest dla wnętrza kościelnego właściwa, czy zasługuje na to, by ją tam prezentować. W ramach rzeczonej imprezy od lat rozbrzmiewa prawie wyłącznie – przyznajmy, na ogół nieźle wykonywana – świecka muzyka o cechach rozrywkowych. Kiedyś jedno ze spotkań w całości wypełniły też popisy tancerki flamenco. A edycja 25. była np. okazją do posłuchania piosenek musicalowych – także tych traktujących o miłości bynajmniej nie duchowej – w wykonaniu studentów łódzkiej Akademii Muzycznej (skądinąd w wersji karaoke, a więc z akompaniamentem z nagrania – nie obyło się zresztą bez pomyłki polegającej na włączeniu niewłaściwego podkładu). Prowadząca koncert anonsowała notabene piosenki jako... arie (!). Innym razem pod obrazem Matki Boskiej żywiołowe *Czardasz Trio* grało i śpiewało m.in. piosenki żydowskie i rosyjskie, w tym ognistą *Kalinkę*. Zaś na zakończenie cyklu kolejny, trzyosobowy zespół uraczył słuchaczy dynamicznymi kompozycjami, które na pewno fantastycznie sprawdziłyby się na dancingu.

Słuchacze, zachęcani przez muzyków, często w trakcie piosenek i tanecznych numerów klaskali rytmicznie, co sprawiało, że osoby przechodzące akurat koło kościoła przybiegały sprawdzić, co też takiego się tam dzieje. A zaznaczyć trzeba, że księża z grotnickiej parafii koncertami nie byli nigdy zainteresowani i na nie nie przychodzili.

Niektórzy uważają, że najodpowiedniejsza dla kościołów jest muzyka sakralna, na koncertach – sakralna nieliturgiczna. Z utworów religijnych prezentowanych w minionych latach podczas grotnickiego „Lata z muzyką" piszący te słowa zapamiętał jedynie, rozbrzmiewającą przez kilka sezonów z rzędu, *Ave Maria* Wawiłowa, skomponowaną nie tak dawno w konwencji współczesnej piosenki lirycznej. Z uporem godnym lepszej sprawy utwór ten zapowiadany był zawsze jako... wczesnobarokowa kompozycja Cacciniego.

W powyższych uwagach, odnoszących się głównie do programu kościelnych koncertów, chodzi w gruncie rzeczy o kwestię dobrego smaku. I choć mowa była o jednej tylko imprezie, mogłyby takie uwagi dotyczyć i imprez innych.

Janusz JANYST

Jerzy BIERNACKI

Dwie miłości – jeden cel: walka o prawdę

Adam Borowski – wydawca, patriota i państwowiec

Nikt nie napisał jeszcze monografii podziemia solidarnościowego 1981–1989, z ważną ekspozycją poprzedzającą – budzenia się ruchów opozycyjnych w latach 1976–1981. Podobnie jak nikt dotąd nie napisał monografii „pierwszej Solidarności", co wydaje się jeszcze bardziej zadziwiające.
W tej sytuacji nawet fragmentaryczne sięgnięcie do tej tematyki może być jakąś próbą ukazania – choćby jak w refleksie błyskawicy – istotnych żywiołów politycznych i emocjonalno-intelektualnych tego czasu

Myślę – nie ukrywając, że z inspiracji Wydawcy naszej gazety – że taką próbą może być syntetyczne, a mimo to autentyczne, zaprezentowanie działalności (wraz z jej motywami) jednego z dwóch wydawców podziemia solidarnościowego, którzy po przemianach począwszy od 1989 roku po dziś dzień utrzymują się, jako jedyni, na rynku wydawniczym. Tym razem to Adam Borowski, założyciel i właściciel Oficyny Wydawniczej „Volumen" (Marcina Dybowskiego, założyciela i właściciela Wydawnictwa ANTYK przedstawiliśmy w poprzednim numerze „Kultury i Biznesu").

Świadomie powtórzyłem poprzednie wprowadzenie do tematu, ażeby obu wybitnych przedstawicieli polskiego ruchu wydawniczego potraktować z poczuciem pewnej symetryczności, bo obaj poszli niejako tą samą drogą. Różnice zaś między nimi, niewątpliwe i niemałe, łatwo dostrzegą Czytelnicy obu tekstów.

Lata terminowania

Z panem Adamem Borowskim rozmawiamy w lokalu Stowarzyszenia Wolnego Słowa, co pozwolę sobie uznać za moment symboliczny, chociaż jest to miejsce stałego niejako „urzędowania" – to słowo nie ma nic wspólnego z pojęciem urzędu – naszego bohatera. Znamy się od dawna, bywałem recenzentem wydawanych w Oficynie Wydawniczej VOLUMEN książek, w mojej książce, zatytułowanej „Wolimy bohaterów", w 90 procentach składającej się z tekstów publikowanych przedtem w „Kulturze i Biznesie", znajduje się publicystyczne omówienie wielkiej księgi zatytułowanej *Droga do niepodległości. Solidarność 1980-2005*, wydanej przez oficynę Adama Borowskiego na 25-lecie panny „S"; dałem temu omówieniu znaczący tytuł: „Bajka bez happy endu". Ocena zawarta w tym tytule nie jest moim wymysłem, lecz syntetycznym odzwierciedleniem zawartości owej księgi, napisanej przez Sławomira Cenckiewicza, Antoniego Dudka, Marka Lasotę, Grzegorza Majchrzaka, Andrzeja Paczkowskiego, Ryszarda Terleckiego, Jana Żaryna i innych, ze wstępem Lecha Wałęsy, który najwyraźniej nie miał pojęcia o tym, że w oczach niemal wszystkich tych autorów był największym winowajcą braku szczęśliwego zakończenia owej „bajki"! Ale mniejsza z tym.

Zaczynamy jak zwykle od pieca, czyli od zaplecza rodzinnego młodego Adama, które jak to zwykle bywa w rodzinach patriotycznych jest zazwyczaj zapleczem ideowym, wywierającym decydujący wpływ na kształtowanie się światopoglądu młodego człowieka. Jeden wuj zginął w Powstaniu Warszawskim, drugi wuj w obozie w Stut-

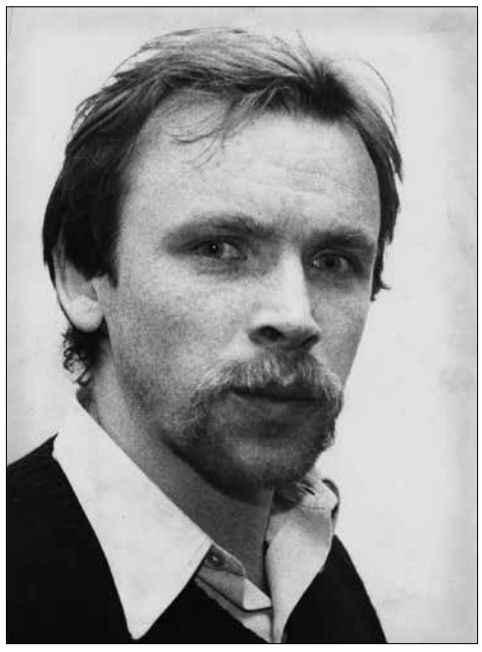

thofie, rodziców uratowało to, że w czasie wojny byli jeszcze dziećmi. Dziadek od strony ojca zginął w sowieckim łagrze. O pradziadkach nic nie wiemy bo wojna zniszczyła wszelką dokumentację, a leżą na cmentarzu przy Wałbrzyskiej i na cmentarzu Bródnowskim. Druga ważna kategoria – co zresztą wynika z powyższego – to jak mówi – że jest warszawiakiem z dziada pradziada. I trzecia – pochodzenie robotnicze, dziadek był tramwajarzem, ojciec hydraulikiem. Odkąd pamięta, a więc od dziecka, razem z ojcem słuchali Radia Wolna Europa, przez co już w szkole podstawowej miał kłopoty z nauczycielem od historii. Ktoś z kolegów szkolnych przypomniał mu po latach: –„Jak cię pamiętam, to niczego się nie bałeś i opowiadałeś dowcipy polityczne".

Na świadectwie ukończenia szkoły podstawowej dostał adnotację następującej treści: „Uczeń nadaje się wyłącznie do zasadniczej szkoły budowlanej". Z taką opinią o liceum nie miał co marzyć. Mama jego uprosiła dyrektora Technikum Mechanicznego, by dopuszczono go do egzaminu wstępnego, a gdy go zdał, został przyjęty.

W końcowych latach szkoły podstawowej, oprócz głośnego sprzeciwiania się kłamstwom na lekcjach historii, nosił długie włosy i kolorową odzież. To był ten okres, gdy długowłosych ścigano jako hipisów. Ale Adam podkreśla, że hipisem był jedynie z wyglądu, nie podzielał ich poglądów i zachowań obyczajowych, już wtedy przeciwny był pacyfizmowi. Jak pamiętamy „make love not war" było sztandarowym, nader chwytliwym hasłem ruchu hipisowskiego. No, bo kto chce wojny, chyba jedynie generałowie i to nie wszyscy. Adam już wtedy uważał się za państwowca. Gdy dostał się do Technikum musiał obciąć włosy.

Początki działalności opozycyjnej

Ukończył je w 1975 roku z tytułem technika maszyn i... groziło mu wojsko ludowe. W radio usłyszał, jak rekruci, na polach grunwaldzkich, składali przysięgę wojskową „na wierność Armii Czerwonej". Postawił rodziców pod ścianą: albo mnie wyreklamujecie z wojska, albo pójdę do więzienia. Udało się go wyreklamować i poszedł do pracy. Nie ominęła go budowlanka, w latach 1975-1976 pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Produkcji Materiałów Budowlanych, później w Przedsiębiorstwie Budowy Sieci Cieplnych. W 1979 roku dostał pracę w stołecznym Przedsiębiorstwie Robót Elektrycznych.

I tu zaczęła się na dobre jego robota opozycyjna. W tym czasie rozpoczął zaoczne studia na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego i poszukiwał kontaktu z nader aktywną już wówczas opozycją polityczną. W „Biuletynie Informacyjnym KSS-KOR" znalazł nazwiska 32-osobowego składu przywódców organizacji. Wybrał Ankę Kowalską, znaną pisarkę, autorkę *Pestki* i m.in. broszury *Racja Stanu*. W styczniu 1980 roku zgłosił się do niej do Instytutu Wydawniczego „PAX", oferując kolportaż „bibuły" przede wszystkim w swoim zakładzie (500 zatrudnionych). Był nieco zdziwiony, gdy Anka Kowalska po prostu z szuflady wyjęła „Biuletyn Informacyjny KSS-KOR", „Robotnika" i powierzyła mu te materiały do kolportażu. Sam tak wyjaśnia decyzję pójścia właśnie do niej: „Na wypadek jakiejś wpadki można było przed SB udawać niewinnego; że kobieta, artystka, pisarka, że jest dla niej pełen podziwu, może nawet młodzieńczo zakochany. Uznał to za niezły kamuflaż – tak mu się wydawało".

Kupił też kilka książek „Nowej" i rozpoczął kolportaż w swoim zakładzie. Rozdawał „bibułę", książki, z których z czasem powstała spora biblioteczka, pożyczał. Sytuacja w zakładzie była szczególna. Struktury PZPR były nieliczne i słabe, dyrekcja co najmniej neutralna, a może nawet przychylna. Przedsiębiorstwo posiadało salę klubową, gdzie można było organizować spotkania, z Antonim Macierewiczem, Janem Lityńskim i innymi działaczami opozycji. Zdobył zaufanie załogi i po strajkach w sierpniu 1980 roku robotnicy przyszli do niego z propozycją założenia Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność". Później wybrano go przewodniczącym Komisji Zakładowej nowego Związku. Ale jemu – jak powiada – wciąż było mało. Toteż rozpoczął współpracę z Komisją interwencji i mediacji Regionu Mazowsze, kierowaną przez Zofię i Zbigniewa Romaszewskich.

Akcja uwolnienia Jana Narożniaka

Gdy przyszedł stan wojenny, załoga była gotowa do strajku. Przystąpiło 300 spośród 500-osobowej załogi. Strajk trwał 14 i 15 grudnia 1981 roku. Postanowił go zakończyć, gdy już spacyfikowano wszystkie strajkujące zakłady w Warszawie. I zszedł do podziemia. Nawiązywał kontakty z innymi zakładami, stworzył sieć 40 zakładów pracy, głównie budowlanych, potem połączyli się z inną strukturą – z MRKSS, czyli Międzyzakładowym Robotniczym Komitetem Samoobrony Społecznej, i utworzony został MRK „S" czyli Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności". Za tymi nazwami kryje się multum roboty społecznej, organizacyjnej i konspiracyjnej pana Adama. Ostatnia z wymienionych struktur, MRK „S" powstała jeszcze przed powołaniem do życia RKW Mazowsze, ze Zbigniewem Bujakiem, Zbigniewem Romaszewskim, Wiktorem Kulerskim i Konradem Bielińskim. – „Powstanie tego RKW zostało niejako wymuszone przez naszą „strukturę poziomą" – mówi Borowski. Pan Adam miał przekonanie, że na działalność organizacji powinni mieć wpływ przedstawiciele największych zakładów pracy Warszawy. W kierownictwie znaleźli się delegaci ZM Ursus, Huty Warszawa, ZM Nowotki i Polskich Zakładów Optycznych. Z wielkich zakładów jedynie konspiratorzy z Fabryki Samochodów Osobowych nie weszli do struktury.

7 czerwca 1982 roku, grupa specjalna MRK „S" uwolniła ze szpitala przy ulicy Banacha pilnowanego przez SB i milicję wydawcę z podziemia, Jana Narożniaka. Ukrywał się on przed internowaniem i został jakiś czas przedtem zatrzymany przez dwuosobowy patrol na placu Komuny Paryskiej (przed wojną i obecnie pl. Wilsona) na Żoliborzu. Zerwał się do ucieczki i wówczas przez jednego z zomowców został postrzelony w kość miednicową i w mały palec u ręki, z karabinku KBK AK. Końcówka małego palca została odstrzelona. Wywiezienia Narożniaka, samochodem marki Nysa, z budynku prosektorium Centralnego Szpitala Klinicznego Akademii Medycznej na Banacha dokonali Jerzy Bogumił i Adam Borowski. Budynek prosektorium znajdował się dość daleko od bloku operacyjnego szpitala. Po zawiłej kombinacji, z sali pooperacyjnej, zamiast do prosektorium zapakowano udającego trupa Narożniaka do podstawionej Nyski. Naturalnie, nie mogłoby się to udać bez pomocy lekarza dr. Jerzego Siwca, który był *spiritus movens* akcji. SB zatrzymała dr. Siwca i dr. Sankowskiego, który o planowanej akcji nie wiedział, a w dniu uwolnienia zmieniał jedynie Narożniakowi opatrunek. Byli więzieni w piwnicach Pałacu Mostowskich i Areszcie Śledczym na Rakowieckiej. Sankowski, wypuszczony po trzech miesiącach, ważył 50 kilogramów i musiał się poddać długotrwałej kuracji rekonwalescencyjnej. W akcji brali jeszcze udział:

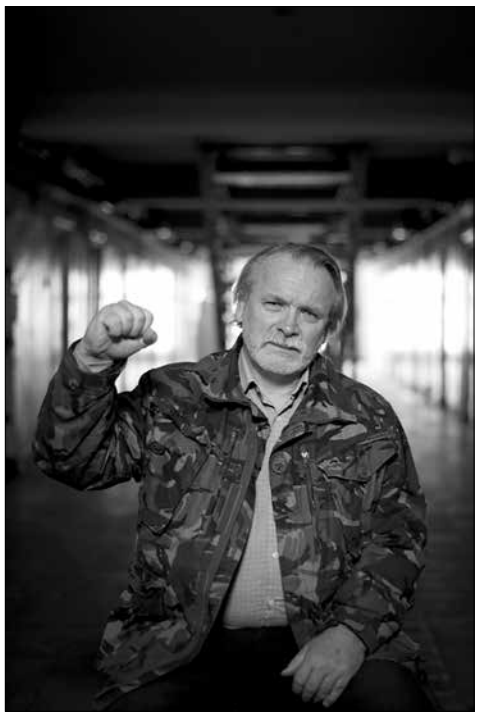

Adam Borowski w areszcie przy ul. Rakowieckiej, 2018

Mirosław Radzikowski (kierowca Nyski), Kazimierz Hinz (kierowca samochodu ubezpieczającego) oraz Ewa Kunicka (zabezpieczenie lokalowe i medyczne).

Akcja uwolnienia i skutecznego ukrycia Jana Narożniaka była spektakularnym wydarzeniem, którym cieszyli się w tym smutnym czasie chyba wszyscy Polacy. Dawała nadzieję, że nie jesteśmy bezradni, że dzielni chłopcy zagrali esbekom i zomowcom na nosie. Porównywano ją ze słynną historyczną akcją pod Arsenałem, uwolnienia „Rudego", jednego z bohaterów *Kamieni na szaniec* Aleksandra Kamińskiego. Śmiem twierdzić, że pod względem kombinacyjności i sprytu akcja ta przewyższa tamtą i inne akcje, najbardziej jest podobna do ucieczki Józefa Piłsudskiego z petersburskiego szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy w 1901 roku, choć logistycznie nieporównywalna, no i Narożniaka nie trzeba było przebierać za kobietę, choćby się do tego, z urody, wybitnie nadawał. Szczegółowy opis tego niezwykłego przedsięwzięcia zająłby kilka stron.

Muszę dodać, że powyższy opis to moja wersja autorska, Adam Borowski poinformował mnie tylko o powstaniu grupy specjalnej (kierował także innymi grupami specjalnymi), wymienił nazwiska i powiedział krótko, że uwolnili Jana Narożniaka. I jeszcze to, że Jan Krzysztof Kelus, dziś kawaler Orderu Orła Białego, a wówczas internowany w więzieniu w Białołęce, napisał i skomponował na ten temat piosenkę.

Nazywa się ów utwór *Polski broadside, czyli w więzieniu zasłyszana opowieść prawdziwa o ponownym ocaleniu Narożniaka Jana* (ponownym, bo poprzednie jego wyjście z aresztu wymusiła strajkami Solidarność – przyp. J.B.) *z rąk prokurator Bardonowej* i biegnie następująco:

Parę dni minęło
- wie już Polska cała
Że Jasio Narożniak
Zrobił gliny w wała

Mieli ze szpitala
wziąć go do więzienia
ale mu pomogli
chłopaki z podziemia

Pewnie ze szpitala
Uciekł w jednym bucie
I mu jacyś ludzie
Pomagali uciec

Warto wyjaśnić, że *broadside* to pojęcie militarne, dosłownie salwa burtowa okrętu wojennego, w przenośni zaś to ostry, udany, zwycięski atak.

Zdrada

Niestety, do struktury, w której działał Adam Borowski, dostał się wkrótce „kret", oficer SB pod przykryciem... szefa „Solidarności" Poltelu – Sławomir Miastowski. Skończyło się szybko aresztowaniem i sądem, który wydał wyrok 3,5 roku, następnie w wyniku prokuratorskiej apelacji podniesionym do 6 lat więzienia. Nie mogli mu darować akcji uwolnienia i ukrycia Narożniaka. Potem zmniejszono wyrok do 3 lat na mocy amnestii. Odsiedział w więzieniach na Rakowieckiej w Warszawie (m.in. z Romaszewskim skazanym w tym samym czasie za Radio „Solidarność") i w Łęczycy 2 lata i 9 dni. Wypuszczony warunkowo w lipcu 1984 roku. Załoga jego zakładu pracy wystąpiła z petycją do władz o przywrócenie go do pracy i tak się stało.

SW, „Wers", „Prawy Margines" i „Horyzont"

Po wyjściu na wolność zorientował się szybko, że opozycja w zasadzie została spacyfikowana. Trzeba było znaleźć na nowo swoje miejsce. Jedyną dziedziną, która od razu wydała mu się możliwa i potrzebna było wydawanie książek. Wraz ze swoją przyszłą żoną, Mirosławą Łątkowską i Wiesławem Żywickim pod koniec 1984 roku tworzy wydawnictwo „Wers". Wydają wybitne i ważne dzieła przeznaczone dla elity opozycyjnej. Są to m.in.: Friedrich Hayek – *Konstytucja wolności*, Roger Scruton – *Myśliciele nowej lewicy*, Michał Keller i Aleksander Niekricz – *Utopia u władzy* i inne.

–„Knuliśmy" także razem z Romaszewskimi, wydając czasopisma: „Praworządność" i „Prawo i bezprawie" (do samego 1989 roku!) – opowiada Pan Adam nie bez ironii. Sprowadził z zagranicy 3 maszyny drukarskie i utworzył 3 drukarnie, w tym jedną w Komorowie i drugą przy ulicy Pułkowej na Młocinach w Warszawie. Drukarnia w Komorowie mieściła się w domu państwa Hanny i Wojciecha Kochlewskich i została zaprojektowana jako drukarnia podziemna przez Czesława Bieleckiego, zaś ta przy Pułkowej mieściła się w domu pana Janusza Jeżewskiego, który nauczył się drukować i ją prowadził.

–„Byłem potęgą wydawniczą, w Komorowie przerobiliśmy ok. 200 ton papieru!" – mówi. No i odtąd nie było do końca żadnej wsypy.

Jeździł do Wrocławia – bo pewnie znów było mu mało – gdzie poznał członków Solidarności Walczącej (SW) i wstąpił do SW, by natychmiast w Warszawie tworzyć jej strukturę. Ale jego Hauptwerkiem była działalność wydawnicza. Toteż dla Solidarności Walczącej tworzy odrębne wydawnictwo „Prawy Margines". Kryje się za tym nie tylko oczywista afiliacja do prawicowości jako kategorii politycznej, lecz także pewien bunt profesjonalnego edytora, który krytycznie patrzy na książki podziemnych wydawnictw pozbawione prawego marginesu. W książkach przez niego wydawanych wyrównany prawy margines jest przywracany. Pan Adam jest także wydawcą pisma Solidarności Walczącej „Horyzont". Był to tygodnik polityczny, kierowany przez Jacka Mejsaka, z dużą liczbą znaczących postaci jako współpracowników.

Okrągły Stół i kontrowersje

Gdy w lutym 1989 roku doszło do obrad Okrągłego Stołu, Borowski znalazł się wśród tych, którzy go poparli. Musiał rozstać się z Solidarnością Walczącą, bo oni byli przeciw. Na kampanię wyborczą wyborów czerwcowych 1989 roku, na druki, plakaty, ulotki itp. drukarnie Pana Adama przerobiły 60 ton papieru. Dlaczego poparł Okrągły Stół? Wyjaśnia to tak: – „Jako podziemna opozycja byliśmy słabi. Kadrowo i materialnie, trwaliśmy w tym podziemiu z braku innych możliwości i bez nadziei na zwycięstwo. Ludzie byli apatyczni, wielu wyjeżdżało za granicę, nie widząc w kraju dla siebie żadnych szans. Uznałem zatem, że rozmowy Okrągłego Stołu i wybory kontraktowe to jest jakiś etap na drodze do niepodległości. Nie uważałem ich za zdradę, zdradą było dopiero uparte i upiorne dotrzymywanie zawartych podczas rozmów umów. Jednocześnie reformy Balcerowicza – to była prawdziwa zdrada tej części ugody, która miała służyć rozwojowi Polski i Polakom. Wreszcie straszliwą zdradą była retoryka „pacta sunt servanda", dotrzymanie umów magdalenkowych, dzięki czemu nomenklatura uwłaszczyła się na majątku państwa wypracowanym przez naród i rozgrabiła go, a funkom systemu komunistycznego (w tym zbrodniczym oprawcom) zapewniono bezkarność, nie przeprowadzając dekomunizacji i lustracji. Dodać trzeba, że rozgrabili majątek narodowy ci, którzy Polskę okradali przez minione lata. A to poczucie bezkarności spowodowało, że przez minione prawie 30 lat nie było reformy wymiaru sprawiedliwości. A poza tym dopuszczono do palenia akt, do niszczenia archiwów na niespotykaną skalę. Była to straszna patologia początkowego okresu transformacji".

Od „Volumenu" do „Legionów"

W lipcu 1989 roku, a więc już po wyborach, Borowski zakłada Oficynę Wydawniczą VOLUMEN. Solidarność Walcząca nie wyszła z podziemia, Żywicki nie zgodził się ujawnić Wydawnictwa „Wers". Nie zapytałem o liczbę wydanych książek, dla mnie nie ulega wątpliwości, że Volumen to oficyna poważna, przygotowująca książki naukowe, historyczne, rocznicowe, o dużym kalibrze znaczeniowym dla opisu i oceny minionych wydarzeń związanych z losami naszej Ojczyzny. Książki noszą piętno autorskie wydawców, bo oficynę pan Adam prowadzi wspólnie z żoną Mirosławą, poczuwając się nadal do tradycji wydawnictw podziemnych – „Wersu" i „Prawego Marginesu". Wydają także literaturę, eseistykę, nawet poezje. Między innymi teksty Jerzego Surdykowskiego, aktywnego publicysty okresu PRL, który w roku 1980 przystąpił do opozycji solidarnościowej (na moje podniesienie brwi przy tym nazwisku, pan Adam powiedział żartobliwie: –„Myśmy go troszeczkę wyprostowali"), wiersze Kazimiery Iłłakowiczówny, jakże słusznie przypomnianej, i inne. Oglądałem album rocznicowy „Niepodległość 1918", to jest świetna popularyzacja historii Polski ostatniego ponad stulecia, z dużą liczbą zdjęć archiwalnych, z przypomnieniem najważniejszych postaci, z „ojcami Niepodległości" na czele. Album wydany w dwu wersjach, jeśli chodzi o oprawę, bogatszej i uboższej, z tą samą jednorodną zawartością. Przedtem wyszedł album pt. *Legiony polskie 1914-1918*.

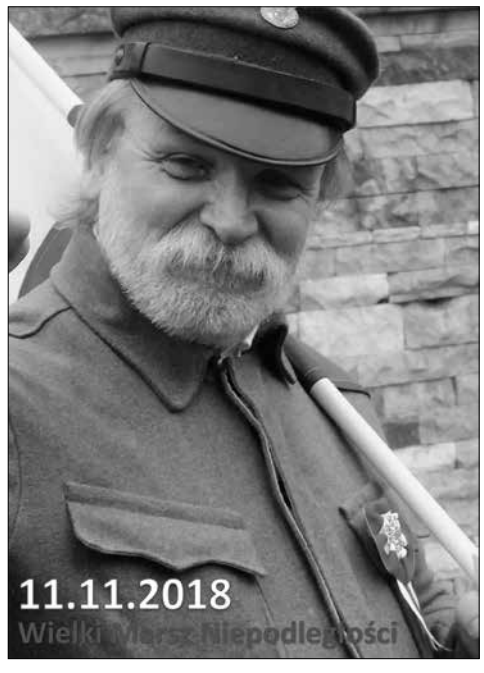

Tytułowe dwie miłości Adama Borowskiego, to wydawanie książek i polityka, trzecią pozostaje historia, chociaż nie udało mu się ukończyć studiów, gdyż w stanie wojennym został relegowany z UW. Z tej miłości do historii Polski zrodził się pomysł filmu *Legiony*, padający na grunt niezwykle podatny zważywszy skalę zaniedbań naszej kinematografii, która przez lata pomijała tematy historyczne leżące niejako na ulicy, do wzięcia. Borowski jest nie tylko pomysłodawcą filmu, ale i jego producentem, a jest to produkcja niemała, bo o budżecie 27 milionów złotych. W filmie, którego współscenarzystami są Tomasz Łysiak i Maciej Pawlicki (współautor scenariusza filmu *Smoleńsk*), biorą udział wybitni aktorzy polscy, z Karolem Fryczem i Mirosławem Baką na czele. Poza tym Borys Szyc zagrał rolę Zbigniewa Dunina-Wąsowicza, dowódcy szarży pod Rokitną, Antoni Pawlicki – rolę Jerzego Topór-Kisielnickiego, zastępcy Dunina-Wąsowicza (obaj polegli), uczestniczą też: Sebastian Fabijański, Aleksandra Wolańska (aktorka Teatru Narodowego), Bartosz Gelner i inni. Kiedy ukaże się „Kultura i Biznes" z tym tekstem, będzie już zapewne po premierze filmu, przewidzianej na pierwszą połowę września.

Miłość do polityki wyrażała się u pana Adama zawsze chęcią działania. W interesie prawdy i dobra. Dlatego też zainteresował się walką o niepodległość narodu czeczeńskiego przeciwko Rosji, tak podobną do naszych antyrosyjskich zrywów niepodległościowych w ciągu ostatnich ponad 200 lat. Został konsulem honorowym Czeczeńskiej Republiki Ikczerii, nie mającej nic wspólnego z państwem rządzonym przez zdrajcę Ramzana Kadyrowa.

Został także trzy lata temu szefem warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej", której czytelnikiem jest od jej założenia przez Piotra Wierzbickiego w 1993 roku. A było to tak: gdy wybuchł pucz opozycji totalnej w Sejmie w grudniu 2016 roku, a pod Sejmem stale wspierała „puczystów" grupa ok. 500 zwolenników KOD i tego, „żeby było tak jak było", Adam Borowski stawał samotnie naprzeciwko nich i rozpoczynał dyskusję, a raczej swoje wojowanie słowne z tą grupą. Zakrzykiwali go, zrozumiał, że sam nie podoła, że potrzebna jest jakaś struktura.

Założył warszawski Klub „Gazety Polskiej", który już wprawdzie istniał, ale tylko na papierze. Udało się zaangażować ok. 80 ludzi, głównie emerytów, ale aktywnych i walecznych, poszli razem pod Sejm wojować słownie z poplecznikami „puczystów", już nie był sam.

Teraz znowu włączył się do polityki, zgłaszając się do prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Startuje do Sejmu z 14 miejsca na liście, przygotowuje i prowadzi swoją kampanię. Życzymy powodzenia!

PS. Jakoś nie było okazji, by mówić o światopoglądzie religijnym mojego rozmówcy. Poczuł się sam z siebie jakoś zobowiązany, by na koniec naszej rozmowy oświadczyć, że od czasu swojego chrztu jest wierzącym i praktykującym katolikiem i zawsze broni wartości chrześcijańskich. Widzowie telewizyjnego „Studia Polska", cotygodniowego sobotniego, niezwykle gorącego programu TVP, w którym Adam Borowski bierze udział, dobrze wiedzą, że jest jednym z najgorętszych, wręcz młodzieńczym obrońcą wiary i Kościoła przed lawiną zagrażających mu, szczególnie ostatnio, wrażych ataków. ■

Muzyka i sztuka w sercu Polski

Sułkowice Pierwsze to wieś w woj. łódzkim, leżąca 3 kilometry na południe od Piątku – geometrycznego środka kraju. Podniesiony z ruiny i odremontowany dwór w Sułkowicach ma piękną wielowiekową historię. Pierwsze zapiski o tej wsi pochodzą z 1247 roku, gdy to książę Konrad I Mazowiecki zwołał do Sułkowic zjazd rycerstwa łęczyckiego tzw. „colloqium". Dobra te przynależąc do ziemi łęczyckiej były w sercu piastowskiej Polski.

Dzisiejszy dwór pochodzi z ok. 1840 r., jest klasycystyczny, murowany, w XX w. – do 1945 roku należał do ziemianina Antoniego Niedziałkowskiego. W okresie międzywojennym dobudowano od strony południowej tzw. przybudówkę, która po adaptacji przez obecnego właściciela (od 2003 r. Piotra Bilińskiego) służy jako pokój tarasowy i sala koncertowa.

Nowy dziedzic wspomina dziś: Gdy latem 2015 roku po raz pierwszy zorganizowałem koncert plenerowy na wyspie w zabytkowym parku w Sułkowicach (wystąpiła wtedy wokalistka Izabela Połońska z Witoldem Janiakiem – instrumenty klawiszowe i Jackiem Delągiem – saksofon) nie myślałem, że ten okazjonalny koncert stanie się pierwszym z cyklu „Muzyka i sztuka w sercu Polski". W następnych latach goście mieli możliwość wysłuchania koncertu muzyki grywanej dawniej w polskich dworach, doświadczać spotkania z artystami malarzami, rzeźbiarzami i zaprezentowanymi przez nich na wystawach dziełami, mogli spacerować po odrestaurowanym parku dworskim, poznawać nowych ludzi i dzielić się wrażeniami. Swoje prace plastyczne prezentowali w Sułkowicach: Jan Cygankiewicz, Stasys Eidrigevičius, Sławomir Szereda, Piotr Czajkowski, Wojciech Bednarek; słowa o muzyce przekazywały Aleksandra Bęben i Elżbieta Stępnik.

W kolejnych latach organizowanego cyklu muzycznego wystąpili:

– 2016: Bacewicz String Quartet w składzie: Ludwika Maja Tomaszewska (skrzypce), Hanna Drzewiecka-Borucka (skrzypce), Róża Wilczak-Płaziuk (altówka), Małgorzata Smyczyńska-Szulc (wiolonczela) i Kamil Klimek (fortepian). W programie były utwory Chopina, Kleckiego, Zarębskiego;

– 2017: Antoni Wierzbiński (flet) z trio smyczkowym: Hanna Drzewiecka-Borucka (skrzypce), Róża Wilczuk-Płaziuk (altówka), Agnieszka Kołodziej (wiolonczela). W programie: Mozart, Beethoven, Haendel, Schubert;

– 2018: sekstet smyczkowy Montparnasse w składzie: Natalia Kotarba (skrzypce), Gabriela Opacka (skrzypce), Marzena Hodyr (altówka), Damian Kułakowski (altówka), Agnieszka Kołodziej (wiolonczela), Julia Kotarba (wiolonczela). Sextet smyczkowy „Souvenir de Florence" Piotra Czajkowskiego i Sextet smyczkowy „Verklaerte Nacht" A. Schoenberga;

– 2019: z recitalem chopinowskim wystąpił Janusz Olejniczak.

Na potrzeby dworu i cyklu koncertowego został uratowany i odremontowany fortepian z 1893 roku znanej warszawskiej firmy Małecki.

Spotkania cieszą się dużą popularnością, przybywa na nie każdorazowo ponad 200 osób. Goście przyjeżdżają z różnych części Polski, także z zagranicy. Oczywiście nie wszyscy mieszczą się wewnątrz dworu, w salonie i bocznych pokojach, dlatego część gości słucha muzyki siedząc wygodnie na przyległym salonowi tarasie.

Koncerty są znaczącym wydarzeniem także dla gminy Piątek. Jako organizatorzy uzyskujemy dużą pomoc logistyczną ze strony burmistrza Krzysztofa Lisieckiego (m.in. krzesła, nagłośnienie), cieszymy się bardzo z wizyt lokalnych elit z Piątku, Łęczycy czy Kutna. Widzimy w takiej działalności wypełnienie misji polskiego dworu, czyli nie tylko „zjawiska przestrzennego" ale, jak to dawniej bywało, ośrodka promieniującego kulturą na całą okolicę, niosącego „kaganek oświaty" i budującego lokalne więzi społeczne.

Piotr BILIŃSKI, Wojciech S. GROCHOWALSKI

Widzew – awans podłódzkiej wioski

Historia Widzewa przebiegała podobnie jak innych podłódzkich wsi. Obecnie jest to obszar 90,8 km², największy spośród administrowanych przez delegatury Urzędu Miasta Łodzi, ale o najmniejszej gęstości zaludnienia. Dzieli się na 10 osiedli: Andrzejów, Dolina Łódki, Mileszki, Nowosolna, Olechów-Janów, Stary Widzew, Stoki, Widzew-Wschód, Zarzew, Osiedle nr 33.

Pierwsze wzmianki o Widzewie pochodzą z lat 1327 i 1387. Podobnie jak Łódź i pobliski Zarzew wieś była własnością biskupów włocławskich. Stoki w tamtych czasach były wsią folwarczną rodziny Stokowskich, Mileszki, gdzie znajdował się kościół parafialny (spalony kilka lat temu), również były własnością szlachecką. Szczytowy rozwój w czasach I Rzeczypospolitej Widzew i okoliczne wsie osiągnęły na przełomie XVI/XVII wieku, później nastały, spowodowane wojnami i epidemiami, lata upadku.

W 1582 Widzew tworzyło osiem gospodarstw chłopskich, zaś około 1760 roku tylko jedno. Po rozbiorach Ziemia Sieradzko-Łęczycka znalazła się w granicach Prus. Władze zaborcze sekularyzowały dobra biskupie. Łódź, wsie Widzew i Zarzew stały się własnością rządową; nie zmieniło się to w czasach Księstwa Warszawskiego oraz znajdującego się pod berłem carskim Królestwa Kongresowego. Władze pruskie na tych obszarach prowadziły działalność kolonizacyjną, powstały nowe osady Janów, Augustów, Olechów i Nowosolna ze swoim charakterystycznym układem ulic. Władze Królestwa Kongresowego, wykorzystując rządowy status oraz dogodne położenie Łodzi i okolic prowadziły na tych terenach aktywną politykę gospodarczą i inwestycyjną polegającą na wspieraniu osadnictwa, udzielaniu dogodnych kredytów i ulg podatkowych. W latach 20-tych XIX wieku na miejscu wsi Wólka (okolice dzisiejszego pl. Reymonta) władze ulokowały tkacką osadę Łódka. Sprowadzono cudzoziemskich rzemieślników, a dotychczasowych mieszkańców przesiedlono do wsi Widzew i Zarzew.

W latach 60-tych XIX wieku Widzew liczył prawie 350 mieszkańców. Część z nich związana była z powstałymi na Księżym Młynie i w okolicach ulicy Targowej zakładami Grohmana i Scheiblera, niemniej osada nie zmieniła swego rolniczego charakteru. Przełomowy był rok 1879, gdy powstała Widzewska Manufaktura J. Heinzla i Kunitzera. W roku 1897 ruszyła Manufaktura Nici przy ulicy Niciarnianej. Lokalizacji widzewskich fabryk sprzyjało położenie przy drodze wylotowej w kierunku Rokicin i linii kolejowej, łączącej od 1865 roku Łódź z Koleją Warszawsko-Wiedeńską. W 1901 roku rozpoczęto budowę dworca Łódź Widzew, dwa lata później ukończono układanie torów kolei obwodowej okalającej miasto i tym samym łączącej trasę na Warszawę z linią w kierunku Kalisza, Poznania i Berlina. Po rozszerzeniu granic miasta w 1915 roku, tory przecinające ulicę Rokicińską stały się nową granicą Łodzi; wschodnia część Widzewa zachowała wiejski i rolniczy charakter.

Na progu XX stulecia, Stary Widzew zamieszkiwało ponad cztery tysiące ludzi, 75% z nich zatrudniona była w przemyśle. Wokół fabryk powstawały osiedla robotnicze, działały ufundowane przez fabrykantów szpitale, rozwijała się infrastruktura. Widzew z centrum miasta łączyła linia tramwajowa dochodząca do ulicy Szpitalnej.

30 sierpnia 1905 roku robotnik Adolf Szulc zastrzelił w tramwaju J. Kunitzera. Zabójca tłumaczył przed Sądem, że zamachu dokonał w zemście za nędzę robotników. Rzeczywiście Kunitzer był przeciwnikiem ustępstw na rzecz proletariatu – niemniej jego działalność społeczna mogłaby być przykładem dla niejednego kapitalisty. Ten widzewski fabrykant wspierał finansowo budowę łódzkich linii tramwajowych, prowadził działalność dobroczynną przekazując znaczne środki między innymi na Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności, od 1884 roku sprawował funkcję przewodniczącego rady Domu Starców i Kalek, finansował budowę szpitali i domów dla robotników. Był z pochodzenia Niemcem, ale uważał się za Polaka, podkreślał to wielokrotnie na przykład wobec rosyjskich przemysłowców na zjeździe w Niżnym Nowogrodzie. W testamencie zapisał swoim pracownikom 15.000 rubli.

Robotniczy a zarazem polski rodowód miało powołane w 1910 roku Towarzystwo Rozwoju Fizycznego, które w 1922 roku przyjęło nazwę RTS Widzew. Lata międzywojenne dla przemysłu włókienniczego były okresem zastoju, mimo to w miejskiej części dzielnicy powstawały nowe kamienice, szkoły, wybudowano parafialny kościół Św. Kazimierza. Po II wojnie światowej rozbudowano stare zakłady przemysłowe, powstały nowe na przykład Anilana i Wifama, lecz największy rozwój Widzewa miał miejsce w latach 70-tych ubiegłego stulecia. Powstały nowe osiedla Widzew-Wschód, Olechów-Janów. Na obszarze między nowymi osiedlami a Dąbrową wybudowano kompleks przemysłowy, który do dziś zachował swoją specyfikę, choć zmieniła się struktura produkcji i sposób wykorzystania terenu. Wiele ciężkich żelbetowych budynków zastąpiły nowoczesne hale o lekkiej konstrukcji. Podczas II wojny światowej okupanci niemieccy wybudowali na terenie Olechowa dworzec towarowy, jeden z największych tego rodzaju w Europie. Szanse rozwojowe jakie daje to miejsce nie są wykorzystywane.

Zorganizowanie Łodzi jako powiatu spowodowało wiele negatywnych następstw. Jednym z nich jest fakt, że życie kulturalne i społeczne ogniskuje się w centrum na osi ulicy Piotrkowskiej, zaś ościenne, tylko z nazwy dzielnice, pozostają kulturalną pustynią. Wyjątkiem potwierdzającym regułę jest prężna, pełna pomysłów i ciekawych inicjatyw działalność Domu Kultury 502 na osiedlu Widzew-Wschód. Szczątkowe życie społeczne i obywatelskie przebiega w społecznościach osiedlowych, ale i tu rolę organizatora w większości pełnią rzymsko-katolickie parafie, a nie władze administracyjne.

Wizytówką i dumą byłej dzielnicy jest od lat drużyna piłkarska Widzew Łódź. Kibice Widzewa dają pozytywny przykład, jak w sposób nieformalny i spontaniczny można zorganizować się i działać na rzecz wspólnej sprawy.

Klementyna WALICKA

Dwie perły polskiego baroku

Krzeszów, 2019

W Krzeszowie na Dolnym Śląsku znajduje się pocysterskie opactwo, którego początki sięgają XIII w. Podjęto próby wpisano go na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Tamtejszy kompleks klasztorny to perła architektury barokowej Europy; rocznie odwiedza go ponad 120 tys. pielgrzymów.

W Rawie Mazowieckiej – czyli na Mazowszu Zachodnim, z XVII i XVIII wieku pochodzi kompleks obiektów pojezuickich: dawne kolegium, klasztor, wieża i kościół pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Jest to perła mazowieckiego baroku.

Oba miejsca łączy też historia piastowska, wspólni przodkowie czyli Piastowie, pierwsza polska dynastia królewska. Otóż po śmierci króla Bolesława III Krzywoustego (1138) i podziale Polski na dzielnice, jego synowie książęta dali początek kilku liniom piastowskim. I tak na Mazowszu i Małopolsce byli Piastowie mazowieccy (m.in. Siemowici „rawscy" i „płoccy"), kujawscy i małopolscy (Władysław Łokietek czy wybitny król Kazimierz III Wielki – zmarły w 1370 r., kończący polską linię dynastii Piastów); w Wielkopolsce ostatnim z rodu Piastów był król Przemysł I, zmarł 1296. Na Śląsku byli Piastowie śląscy (m.in. Bolko I Surowy), cieszyńscy, opolscy, świdnicko-jaworscy. Piastowie „rawscy" utworzyli Księstwo Rawskie, wybudowali zamek w XIV w., dali początek rozwojowi miasta i podwaliny pod województwo rawskie (od 1462 r.). Zakończyli tu rządy w XV w., w XVII w. w Rawie pojawili się jezuici.

Piastowie śląscy ulegli zupełnemu zniemczeniu, choć szczycili się, że pochodzą „z rodu królów Polski".

Barok

Barok to okres w kulturze przypadający na XVII i XVIII w., zaczynający się w II połowie XVI w. Polskie początki datowane są na 1584 r., rozkwit zaś to połowa XVII wieku, okres od śmierci poety Jana Kochanowskiego do początku panowania króla Stanisława Augusta. Okres bujny i bogaty w sztuce, literaturze, rzeźbie, malarstwie; w architekturze nacechowany zdobnictwem, złoceniami, rzeźbami wplatanymi w konstrukcje co widać na przykładzie obu ww. obiektów-kompleksów. Okres bogatych fasad i wnętrz kościołów, wystrojów ołtarzy, ambon, malowideł, zdobnych prospektów organowych. Barok w architekturze w swojej mieszaninie stylów i indywidualności obiektów charakteryzują wspomniane bogate malowidła ścienne, freski. Podziwiać je można w Krzeszowie zaś w Rawie zostały właśnie co odkryte w 2018 roku podczas wielkiego remontu kościoła. Barok w architekturze to także m.in. falistość kształtów fasad zdobnych frontonami, czytelny podział (rozdział gzymsami) kondygnacji obiektu. W Rawie jest to wszystko bardzo wyeksponowane; na Mazowszu typową barokową budowlą jest m.in. kościół Wizytek w Warszawie.

W literaturze baroku światowy prym wiodą także Polacy. Są to dzieła trzech naszych rodaków: *Listy do Marysieńki* króla Jana III; *Pamiętniki* Jana Chryzostoma Paska, rawianina; dzieła ks. Jędrzeja Kitowicza, także związanego z ziemią rawską.

Jan Ch. Pasek (1636-1701), słynny żołnierz jazdy, husarz (żołnierz hetmana Czarnieckiego), pamiętnikarz, absolwent rawskiego kolegium jezuitów, miał mieszkać w pobliskim Rawie dworze Węgrzynowice. Ks. Jędrzej Kitowicz (1728-1804) był proboszczem parafii Rzeczyca, dawniej w pow. rawskim; został tu pochowany. Dzieła obu autorów należą do pereł światowej literatury pamiętnikarskiej, w 2018 r. pamiętniki ks. Kitowicza przetłumaczono na jęz. angielski i ukazały się w Stanach Zjednoczonych.

Na barok przypada też ukształtowanie się wzoru polskiego dworu szlacheckiego, budowli parterowej, drewnianej, krytej dużym dachem, w dominancie fasady z gankiem (najczęściej kolumnowym) umieszczonym symetrycznie na osi wieloosiowego domu. Ganek często „kryty" był charakterystycznym trójkątnym tympanonem, jakimi np. zwieńczone są wspomniane barokowe kościoły Wizytek w Warszawie czy jezuitów w Rawie.

Barok zakończył się przechodząc w styl rokoko, lekki i bogaty w zdobnictwo. Dekoracje rokokowe (których jest wiele w obu opisanych tu obiektach) to głównie postaci w tym aniołki i postaci świętych ukazane w różnych pozach, w ruchu, w dużej lekkości.

Krzeszów

Kościół i parafia przynależą do diecezji legnickiej, posługują tu dziś księża diecezjalni (proboszcz i kustosz sanktuarium ks. prałat Marian Kopka, wikary i dwóch księży rezydentów) oraz siostry benedyktynki. W dawnych wiekach był tu klasztor benedyktynów, następnie cystersów, później kościół parafialny, po I wojnie znów benedyktyński, po II wojnie usytuowano tu siostry benedyktynki przesiedlone ze Lwowa, zamieszkałe tu do dziś – Opactwo Sióstr Benedyktynek. W latach 1970-2006 rezydowali tu znów cystersi, następnie obiekt przejęli księża diecezjalni.

Pocysterskie opactwo jest dziś Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej. Dawny kościół klasztorny, barokowy, budowany 1728-1735, od 1998 r. jest Bazyliką Mniejszą pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Na terenie klasztornym znajduje się także kościół bracki (Bractwa Św. Józefa) pw. Św. Józefa budowany w latach 1690-1669, również barokowy, podobny w stylu do rawskiego, także bez dwóch wież w fasadzie, które były zaprojektowane ale nigdy nie wybudowane.

Inne obiekty to: budynki klasztorne klasztoru benedyktynek, dwupiętrowy dom gościnny opata, Wielka Kalwaria Krzeszowska z XVII w., cmentarz klasztorny, budynki gospodarcze, zdobne ogrodzenie (parkan) budynki bramne i bramy, kaplica Św. Anny na pobliskiej Górze Św. Anny – obiekt z 1623 r., jednowieżowy; kaplica wybudowana przez cystersów, po II wojnie zniszczona, odbudowana i w 2011 konsekrowana na nowo.

Obiekty krzeszowskie oficjalnie określane są Europejską Perłą Baroku. Imponujący jest kościół klasztorny z dwiema wysokimi wieżami, fasadą zdobną w kolumny, gzymsy, posągi i rzeźby. Wnętrze kościoła (trójnawowe) imponuje bogactwem polichromii, wielkimi na szerokość bazyliki organami, z bogatym w rzeźby aniołów (anielskiej orkiestry) prospektem. Organy (budowane przez Michała Englera w l. 1732-1736) mają cudowne brzmienie, wyposażono je pierwotnie w 2806 piszczałek, mają 50 głosów. W prospekcie jest sześć wież organowych, w kontuarze trzy manuały plus pedał nożny. Organy gruntownie wyremontowano w latach 2007-2008, w 2019 poddano je kolejnej konserwacji. Co 10 lat organy są regularnie czyszczone i strojone, usuwany jest m.in. bardzo szkodliwy kurz.

W kościele znajduje się Cudowna Ikona Matki Bożej Łaskawej z XIII w. (skradziona w 1426 r. przez husytów), najstarsza w Polsce i tej części Europy. Znajduje się tu także wiele relikwii, w tym kość Św. Innocentego, włosy Św. Marii od Chrystusa Ukrzyżowanego, Św. Scholastyki, Św. Ojca Pio, Św. Faustyny, relikwie apostołów. W Mauzoleum Piastów Śląskich (wejście z prezbiterium dużego kościoła) pochowani są książęta z dynastii Piastów śląskich (tu świdnicko-ziębickich) m.in. książę jaworski Bolko I Surowy i jego synowie. Poza husytami, Krzeszów napadany był w 1622 r. przez lisowczyków, w 1632 przez brandenburczyków, w 1633 przez Szwedów – wtedy spalony.

Rawa Mazowiecka, 2019

Obecny proboszcz – ks. Marian Kopka (1951) w Krzeszowie posługuje od 2008 roku. Jest znanym na Dolnym Śląsku kapłanem niezłomnym w czasach PRL; patriota. Wspierał i ukrywał działaczy „Solidarności" w stanie wojennym, aktywny w działalności niepodległościowej w latach 1981-1989, duszpasterz Regionu NSZZ „Solidarność" Zagłębie Miedziowe. Wcześniej kapłan w Legnicy i Bielawie, inicjator wmurowania tablicy ku czci marszałka Józefa Piłsudskiego w katedrze legnickiej.

Przy sanktuarium działa Fundacja Europejska Perła Baroku „Krzeszów".

Rawa

Jeszcze do zakończenia I wojny światowej, Rawa nie miała w nazwie oficjalnego dodatku, ale po wojnie, gdy w granicach II RP pojawiła się Rawa Ruska, ta mazowiecka zyskała nazwę Rawa Mazowiecka. Do rozbiorów miasto było siedzibą województwa rawskiego, w średniowieczu kasztelanii, Księstwa Rawskiego (Siemowitów), na zamku przechowywano skarb kwarciany od poł. XVI w. W czasie potopu Szwedzi zniszczyli zamek rawski, ograbili doszczętnie kolegium jezuickie. Okres XIX i XX w. miasto przetrwało jako powiat; do II wojny światowej leżało w granicach woj. warszawskiego, od 1939 w woj. łódzkim.

Jezuici pojawili się tu w 1612 roku, założyli fundacje, rozpoczęli inwestycje, wybudowali zachowany do dziś kościół, założyli i prowadzili do kasaty zakonu jedno ze słynnych w I Rzeczypospolitej kolegiów; była tu biblioteka, apteka, szkoła muzyczna, teatr szkolny. Kościół budowany był kilkadziesiąt lat, konsekrowany przez prymasa Polski w 1730 r. ale dalej urządzany wewnątrz i uposażany. Jak każde duże jezuickie przedsięwzięcie, projekt kompleksu – zgodny z barokowymi założeniami – wykonany był przez architektów jezuitów w Rzymie lub w Rzymie zatwierdzony.

Kościół o odwrotnej orientacji (z ołtarzem ku zachodowi), trójnawowy, nad nawami bocznymi empory, w północnej urządzono po remoncie w 2019 r. muzeum parafialne, nie istniejące wcześniej. Kościół podpiwniczony w części pod prezbiterium, znajdują się tam krypty, a w nich ok. 200 trumien ze szczątkami jezuitów, fundatorów klasztoru, znaczniejszych mieszczan. Kościół miał mieć w fasadzie dwie wieże, jednak nigdy nie zostały one w całości i w parze wybudowane. Lewą wieżę rozebrano jeszcze w trakcie jej budowy, prawą (patrząc od frontu) stopniowo obniżano aż przerobiono w XIX w. na wieżę zegarową, później dzwonnicę.

Jak przystało na budowlę barokową, świątynia ma wiele dekoracji w fasadzie, rzeźby świętych w jej wnękach, gzymsy i pilastry rozczłonkowujące fragmenty budowli. Wewnątrz bogato zdobione malowidłami ścian i sufitu prezbiterium, kolumnowe ołtarze. W Ołtarzu Głównym rzeźby czterech świętych: Ambrożego, Augustyna, Grzegorza i Hieronima; pod rzeźbami umieszczono ich relikwiarze. Na pilastrze w północnej nawie, przy ołtarzu bocznym Matki Boskiej Częstochowskiej, pod obrazem Św. Jana Pawła II umieszczono relikwie Świętego; wiele innych relikwiarzy znajduje się w muzeum w emporze. Rzeźby postaci naturalnej wielkości, przedstawione w różnych dynamicznych pozach. W prezbiterium i nawach bocznych znajdują się równie bogato zdobione i rzeźbione ołtarze boczne. Piękna rzeźbiona ambona pochodzi z 1742 roku, drewniana, ulokowana na ścianie, pozłacana; ściany pokryte czerwono-pomarańczową marmoryzacją. Ołtarze zdobione są także licznymi rzeźbami świętych, aniołków, obrazy ołtarzowe pochodzą z różnych epok, nawet z XX wieku, ale utrzymane kolorystycznie i w manierze baroku. Rzeźb świętych jest w tym kościele kilkadziesiąt, także kruchta i chór zawiera zdobienia postaciami ludzkimi. Na uwagę zasługują też czynne organy piszczałkowe 20-głosowe, w stylowym prospekcie.

Proboszczem fary w Rawie Maz. – pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny – jest ks. dr Bogumił Karp, który przeprowadził ostatnio z wielkim sukcesem rewitalizację tych obiektów. Generalny remont przeszedł kościół, wieża zegarowa i obiekty dawnego kolegium. Wymieniono pokrycia dachowe (na miedzianą blachę), posadzki, stolarki drzwiowe i okienne, odnowiono ołtarze, chór, organy, całość odmalowano, odkryto też polichromię w prezbiterium, udostępniono krypty, urządzono muzeum i nowe pomieszczenia na cele kulturalne.

Wojciech Stanisław GROCHOWALSKI

Daniel Jan POTOCKI

Związek Szlachty Zagrodowej

W obronie polskości na Ukrainie

Debata na temat ludobójstwa wołyńskiego zdeterminowana jest tym, co wydarzyło się od momentu okrutnej zbrodni. Zapomina się jednak, że podłoża przyczynowo-skutkowego należy szukać znacznie wcześniej. Nie mam na myśli wydarzeń z historii odległych od samej zbrodni, w których można odnaleźć pewne zjawiska analogiczne, a które bywają napomknięte w niektórych opracowaniach kwestii wołyńskiej, ale zwracam uwagę, na krótki okres przedwojenny

Powstanie związku szlachty

17 października 1937 we Lwowie miał miejsce Zjazd Szlachty na który przybyło około 4 tysięcy szlacheckich delegatów, po kilku miesiącach powołano do życia Związek Szlachty Zagrodowej. Prezesem Zarządu Głównego Związku został wybrany ksiądz pułkownik (dziekan Wojska Polskiego) Antonii Miodoński (1889-1949), kapelan 5 Pułku Strzelców Podhalańskich. W 1939 roku Związek liczył już 41 tysięcy członków, a licząc członków wraz z rodzinami to ponad 530 tysięcy osób na Kresach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej.

Zadaniem Związku była głównie repolonizacja Kresów Wschodnich, Związek prowadził biblioteki przy swoich Kołach, dbał o kulturę i tradycję narodową – a zapomina się także, iż w tym okresie i w tym przypadku, miała miejsce tendencja odwrotna oddziaływania jednej kultury na drugą. Polakom zarzuca się jakoby narzucali swoją kulturę Ukraińcom, ale to drobna szlachta polska od lat ulegała tu zruszczeniu, przyjmując obrządek wschodni i zatracając mowę ojczystą. Przenikanie kultur nie jest niczym złym, co więcej, jest czynnikiem budującym, a w przypadku wielokulturowej Rzeczypospolitej, szczególnie przedrozbiorowej, spoiwem wzajemnej tolerancji. Jednak w przypadku ukierunkowywania kultur na nacjonalizm o podłożu totalnym otrzymujemy całkowite wypaczenie systemu wartości i posłużenia się nimi w celach propagandy, co prowadzi do najgorszych sytuacji znanych z historii.

Fałszowanie metryk

W XX wieku mieliśmy do czynienia ze „sławnymi" nacjonalizmami w postaci Niemiec czy Włoch, ale także Ukrainy. Ukraiński nacjonalizm przybrał najgorszy charakter już przed wybuchem wojny. Złą sławą okryła się tutaj Cerkiew greckokatolicka, która podejmowała liczne działania w celu ukrainizacji historycznych ziem Rzeczypospolitej.

Na jaw wyszedł proceder fałszowania metryk przez duchownych greckokatolickich. Władze polskie były zaniepokojone corocznym spadkiem liczby Polaków, a zaskakującym wzrostem liczby Ukraińców na terenach południowo-wschodnich. Sprawa „znikających Polaków" została wkrótce wyjaśniona. Okazało się, że problem tkwi w niewystarczającej liczbie kościołów katolickich na tych terenach. Gdy urodziło się dziecko, które na dodatek było słabego zdrowia, a najbliższy kościół był oddalony o wiele kilometrów, to chrzest następował w najbliższej świątyni, którą były właśnie cerkwie rozsiane znacznie gęściej. Pop miał obowiązkowo przekazać takie metryki do księdza katolickiego, ale zwlekał, czy nawet lekceważył; zdarzało się, że pop zmieniał wiarę urodzonego Polaka i wpisywał wiarę greckokatolicką. W związku z tym, liczba osób uznawanych za obywateli Ukrainy zaczęła wzrastać, a liczba Polaków spadać.

Podjęcie działalności przez Związek Szlachty Zagrodowej miało na celu podjęcie akcji repolonizacji w każdym aspekcie. Drobna szlachta, bardzo liczna na tym obszarze, jak wspomniano, uległa zruszczeniu, a także schłopieniu, zapominając o tym, że posiada herb szlachecki. Sytuacja była bardzo trudna i niesamowicie skomplikowana, a podjęcie się naprawy tego stanu rzeczy, napotkało paniczny opór ze strony cerkwi i ukraińskich nacjonalistów. Związek podjął szeroką działalność charytatywną, posiadał setki kół terenowych, a przy każdym zaczęto budować przedszkola, świetlice, kościoły. Organizowano kolonie i inne liczne wyjazdy dla młodzieży i dzieci w celu poznawania swojej Ojczyzny-Polski. W samym 1938 roku Związek Szlachty Zagrodowej zorganizował wyjazd wakacyjny dla około 9 tysięcy dzieci. Ponadto prowadzono kursy na pracowników pracy społecznej, kursy prowadzenia gospodarstwa domowego, koła rolnicze, pomagano przy zakładaniu sklepów, mleczarni i wielu innych przedsięwzięć. Same te przykłady i liczby są imponujące i świadczą o szerokiej działalności Związku, którego zadaniem była repolonizacja południowo-wschodniej Polski, przy użyciu nie siły, ale edukacji.

Szlachta polska była symbolem ciągłości państwa polskiego, wolności i demokracji, żywym symbolem naszej tożsamości narodowej. I ten symbol należało zniszczyć, aby mógł zaistnieć nacjonalizm ukraiński, banderyzm.

Gospodarka i polityka

Związek podjął się zwiększenia siły gospodarczej tego regionu, organizując również instytucje pożyczkowo-zapomogowe. Zwiększenie możliwości gospodarczych i ekonomicznych poprzez wprowadzenie nowych technologii prowadzić miało także do repolonizacji, gdyż tym samym zwiększała się świadomość społeczna i możliwości podniesienia standardu życiowego mieszkańców Kresów. Te działania nie mogły spodobać się nacjonalistom, cerkwi oraz złej sławy arcybiskupowi Szeptyckiemu, którzy postanowił walczyć ze Związkiem Szlachty Zagrodowej. W tym celu podjęli się powołania do życia Ruchu Bojarów Ukraińskich, ale nie mogąc go zorganizować, w obliczu swojej słabości rozpoczęto działalność terrorystyczną, dokonując napadów na członków Związku. Akty terroru nie są wyrazem siły, ale objawem największej słabości.

Nacjonaliści ukraińscy posunęli się nawet do zamordowania Prezesa Koła Związku Szlachty Zagrodowej w Chomczynie, w województwie stanisławowskim, Andrzeja Rozwadowskiego, nie wspominając już nawet podpaleń, których licznie dokonywali na własnościach szlacheckich. Pomimo tych trudności i zastraszania członków, Związek nie ugiął się w swojej misji, co więcej podjął jeszcze aktywniejszą działalność.

W 1935 roku w Tuce nad Stryjem rozpoczęto wydawanie pisma pt. „Pobudka", a sam tytuł nie był przypadkowy. Po tak długim czasie zaborów, w okresie dwudziestolecia międzywojennego Kresy były zacofane i zaspane, tym samym należało je obudzić z letargu. „Pobudka" jak sama nazwa wskazuje budziła do życia zaspanych mieszkańców Kresów południowo-wschodnich i miała im pokazać co dzieje się na świecie, co dzieje się w Polsce. Ale nie tylko, można było tam znaleźć liczne porady życiowe, przydatne każdemu człowiekowi. Wkrótce redakcję przeniesiono do Przemyśla, od 1938 r. czasopismo przejął Związek, który wydawał go pod nazwą „Pobudka. Ilustrowany Dwutygodnik Związku Szlachty Zagrodowej"; było to najważniejsze czasopismo na Kresach południowo-wschodnich RP.

Istnienie Związku było fundamentalnym elementem dla zachowania polskości Kresów południowo-wschodnich. Gdyby nie szlachta, to nie byłoby nigdy Polski na Kresach. Tym samym, należy zawsze mówić jasno i wyraźnie, przy omawianiu spraw kresowych, o szlachcie polskiej, o Związku Szlachty Zagrodowej, któremu należy się największy szacunek i wieczna pamięć. Związek niósł mieszkańcom Kresów południowo-wschodnich rzeczywistą i konkretną pomoc, ale co równie ważne, także nadzieję i radość.

W numerze „Pobudki" z 6 marca 1939 roku, pt. *Polska na Podolu* została ukazana postać Arcybiskupa Szeptyckiego, w podtytule: *Bądźcie miłosierni!*

– „Każdy uczciwy człowiek stara się, aby w czasie zimowym ulżyć cierpiącej braci i złożyć grosz na pomoc zimową. Na czele tej akcji stanął Pan Prezydent Ignacy Mościcki i swą powagą zdziałał to, że wiele potrzeb biednych dzieci i bezrobotnych, bez różnicy narodowości i obrządku, zostało zaspokojonych. Przed paru dniami odbyła się w Sejmie polskim ciekawa debata na ten temat. Oto Ukraińcy z Małopolski Wsch., którzy prawie nic nie złożyli na pomoc zimową, korzystają z tej pomocy 3 razy więcej niż Polacy.

Co ciekawsze, to ta niemiła okoliczność, którą wobec całego Sejmu ogłosił poseł Żyborski, że sam książę Cerkwi, metropolita hr. Andrzej Szeptycki nie dał ani grosza na biednych w pomocy zimowej ze swoich olbrzymich dóbr.

A przecież głośno się mówi, że na różne cele nie mające nic wspólnego z miłosierdziem chrześcijańskim idą miliony. Jak to nazwać?"

Związek Szlachty Zagrodowej był pierwszą organizacją przeciwstawiającą się agresywnym działaniom nacjonalistów ukraińskich. Tym samym szlachta polska stała się jedynym efektownym zaporem dla chorej ideologii. Wybuch wojny spowodował zagładę Związku – największego obrońcy Kresów. Wobec jego braku, nacjonaliści ukraińscy mieli wolną rękę w przeprowadzeniu eksterminacji ludności polskiej, znanej jako ludobójstwo.

Bardzo przykry jest fakt, iż niemal w ogóle nie mówi się na temat tak znaczącej i wielkiej, nie tylko liczbą, ale przede wszystkim duchem, organizacji, która tak długo jak istniała, broniła Polski przed ukraińskim nacjonalizmem. W ostatnim czasie pojawia się wiele publikacji naukowych na temat ludobójstwa wołyńskiego, ale niestety, autorzy nie podejmują tematu czołowej organizacji, która wywarła wielki wpływ na Kresy.

Wobec tego, można wyrazić tylko nadzieję, że działalność Związku Szlachty Zagrodowej stanie się tematem wielu publikacji naukowych, a historycy w sposób rzetelny podejmą badania przedstawiające nie tylko skutek – ludobójstwo, ale także zasługi szlachty polskiej zmierzające do uniemożliwienia rozwoju agresywnego ukraińskiego nacjonalizmu.

Daniel Jan POTOCKI

Autor jest prezesem Zarządu Głównego Związku Szlachty Rzeczypospolitej, mieszka w Krakowie

LISTY DO REDAKCJI

List sprzed dwóch lat, od pana redaktora Adama Ciesielskiego (współpracującego m.in. z redakcją „Sieci"), w odpowiedzi na nasze zaproszenie na konferencję w SDP na Foksal:

Szanowny Panie,
Dzięki za info. Wszakże na konferencji być nie mogę. Jestem z żoną i zwierzętami (13-letnia jamniczka, 11-letni kot) w naszym letnim domu nad Biebrzą, skąd ruszamy się niechętnie. Ja zaglądam do Warszawy wyłącznie przy okazji wylotów na zajęcia teatrologiczne w Danii, raz na kilka tygodni. Uprzedzającej informacji nie mam szans dać, wątpliwy także ew. materiał pofestiwalowy, bo moje związki z tygodnikiem „Sieci" rozluźniają się. Pisuję tam nieregularnie większe teksty, głównie muzyczne, ale nie mam już stałego felietonu, który umożliwiał np. zapowiedzi ciekawszych imprez lub refleksje po nich, jak to miało miejsce w wypadku Pańskiego filmu [dot. warszawskiej premiery filmu *Polski patriotyzm Artura Rubinsteina*, maj 2017 – WG]. Mam stały kawałek w ważnym nowojorskim portalu artystycznym, ale skupiam się na tematyce europejskiej, często oczywiście polskiej, ale jednak nie festiwalowej.

Nadal kibicuje Pańskiemu prywatnemu pismu, robionemu z pasją i elegancją dziś niespotykaną. Czytuję, gdy tylko wpadnie mi w ręce. *Bon chance* Panie Redaktorze!

Adam Ciesielski

„Bez wierszówki" o „Kulturze i Biznesie"
Ciekawe czasopismo pt. „Bez wierszówki" wydaje od kilku lat prezes Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie ks. dr Ireneusz S. Bruski. Radzi sobie widać nieźle, bo utrzymuje rytm dwumiesięcznika, czasopismo jest bezpłatne, formatu A4, kolorowe, drukowane na papierze kredowanym, nakł. 3.000 egz. Jak wyjaśnia tytuł, autorzy nie otrzymują honorarium za teksty, tzw. wierszówki. Mimo to, księdzu redaktorowi i wydawcy udaje się zbierać bardzo dobre materiały. W jednym z numerów zaprezentowano i nasze czasopismo. Z koleżeńskim pozdrowieniem – *Red.*

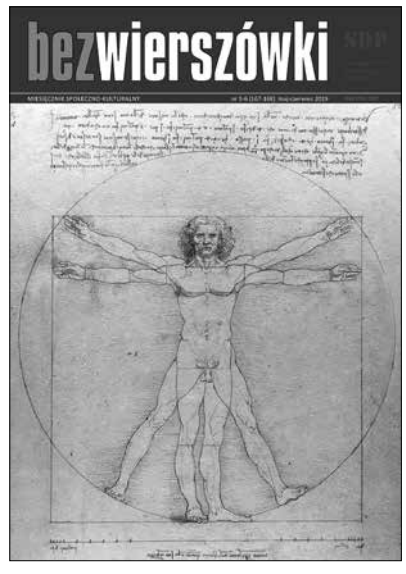

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi • There's no business like show business – jak mówią Amerykanie

Zmiany, zmiany – w TVP

Na razie kosmetyczne tylko, drobne personalne można rzec. Chodzi o zmiany w programach telewizji – stanowiska prezesów nadal nieruszone... Ale po naszym poprzednim komentarzu, że pan o pseudonimie Norbi nie nadaje się do programu „Jaka to melodia", nastąpiła zmiana, nie piszę że dobra – bo na obiecane dobre zmiany trzeba trochę jeszcze poczekać, ale coś tam drgnęło. Pisaliśmy więc w poprzednim numerze, że p. Norbi zepsuł program „Jaka to melodia" i widać pan prezes TVP przyznał nam rację, bo go zmienił. Ale oto Norbi prowadzi program „Koło fortuny" ...

Jak by nie patrzeć, TVP w swoich głównych programach i najlepszym czasie antenowym stoi: teleturniejami, serialami, polityką, skokami narciarskimi, piłką nożną i oczywiście Zenkiem. Jak ktoś chce w głównych programach TVP uszczknąć trochę kultury (oni muszą jakieś procenty wyrobić tej misji publicznej), można czasem po północy coś znaleźć...

Zenek king!

Zdaje się, że wykrakaliśmy Zenkowi królestwo TVP! Otóż w poprzednich numerach „Kultury i Biznesu" zaznajamialiśmy Czytelników ze zjawiskiem „Zenek" (chodzi o piosenkarza tzw. piosenki chodnikowej, disco polo), pisząc, że prezes TVP Jacek Kurski promuje go na całego. Dawaliśmy nawet fragmenty piosenek disco polo – by Państwo nie byli „w tyle", *de mode*, wszak trzeba iść z dobrą zmianą. Nie wiedzieliśmy, że prezes (TVP) weźmie to na poważnie i pójdzie tą drogą. Ale prezes (TVP) chyba uwierzył w ten zenkowy cud, bo oto Narodowy Sylwester w Zakopanem czy żadna duża impreza transmitowana przez TVP nie może obyć się bez Zenka. W Zakopanem mówią, że rządzi tam prezes TVP Jacek Kurski. Zakopane okrzyknięto już nawet stolicą disco polo! Ponoć uwielbia go (Zenka – nie prezesa JK tj. Jarosława Kurskiego) także Pierwsza Dama! Cóż, po takiej promocji...

Niektórzy mówią, że prezydent Andrzej Duda będzie nosił w kampanii wyborczej 2020 szkła kontaktowe zielone, by zgodnie z tekstem piosenki, przez te oczy zielone nie tylko oszaleli prezesi JK ale i tłumy – tzn. masy jak to lepiej brzmi po staremu-nowemu.

Ale że nakręcą film fabularny o Zenku, tego nie przewidzieliśmy. No i oczywiście w logotypie tytułu filmu, nad literą Z jest nie co innego jak tylko korona! Jak na króla przystało. Co prawda korona jest jeszcze nie zamknięta i bez krzyżyka, ale powoli, powoli...

Myślałem, że na 100-lecie wojny bolszewickiej, odzyskania niepodległości i podobnych wielkich rocznic oraz przed kolejnymi wyborami (teraz prezydenckimi 2020) będzie jakaś nowa opera, pomnik, książka – a tu film, o Zenku. Koniec świata.

Kiedyś to były zimy!

Zdjęcie jest autentyczne, wykonane w Łodzi w Al. Schillera, czyli ul. Piotrkowska 112, przed drzwiami do redakcji „Kultury i Biznesu" – z prawej strony. Łza się w oku kręci, jak się patrzy na tyle śniegu... A było to 3 IV 2013.

Blady strach padł na prezesów supermarketów

Strach taki padł na prezesów, dyrektorów, akcjonariuszy i wszystkich innych ważnych w tym supermarketowym biznesie w Polsce. Bo oto po krótkiej przedwyborczej karencji i zgodnie z (cichymi) wytycznymi ustawy o zakazie handlu w niedziele, te wielkie supermarkety mogą już po wyborach handlować (na potęgę) jak wcześniej w niedziele – ale muszą zrobić w swoich sklepach jakieś okienko pocztowe albo postawić znaczek kasy dworca kolejowego czy autobusowego; wtedy będą nie tylko sklepem, ale i pocztą, i dworcem, i mają toalety miejskie, itd. więc mogą handlować w niedziele. Ale tzw. „dobra zmiana" w czambuł niebita i zapisano w ustawie, że te okienka pocztowe i dworcowe muszą być autentycznie czynne, otwarte! Zatem teraz, co kilka minut, w niedziele, z głośników w supermarketach będą szły zapowiedzi pociągów jakie odjeżdżają tego dnia z danego miasta; będę też puszczać gwizd lokomotywy itp. Zatem skoro „na kasie" w supermarkecie znów we wszystkie niedziele i święta ludzie pracować będą jak dotąd, nawet członkowie „Solidarności" jak przed pocztowo-dworcową zmianą, to teraz braknie ludzi do pracy na kasie w marketowych pocztach i dworcach! Wszak ustawodawca za radą i przy pilnowaniu ustawy przez NSZZ „Solidarność" zapisał, że mogą handlować w niedziele tylko te sklepy, w których za ladą i na kasie staną właściciele. Czyli owi szefowie, prezesi itd. powinni stanąć albo na kasie w markecie, albo na poczcie, albo na dworcu (sklepowym).

Skoro prezesi-właściciele nie chcieli stanąć na kasie, a wymyślili, że ich sklepy będą pocztami, dworcami itp. jednostkami użyteczności – to do roboty!

Pięć razy Marszałek

Jak czytam, słucham i oglądam współczesne pyskowanie i obrażanie pamięci Józefa Piłsudskiego przez różnych (za przeproszeniem) gnojków, dziwię się że nikt ich jeszcze porządnie nie skarcił. Czynię to trochę i tym tekstem, choć jako pacyfista nikomu w gębę za obrazę Marszałka jeszcze nie dałem. Oni – te (za przeproszeniem) barany, chcą umniejszyć wielkość Marszałka, pogromcy bolszewików w 1920 roku, skubać naszych polskich bohaterów XX wieku – wara wam od nich! Ale pewnie w 2020, na 100-lecie zwycięskiej Bitwy Warszawskiej, pierwsi pójdą ci – (za przeproszeniem) „patrioci" do ministra kultury, NCK, MON i innych rządowych kas po pieniądze na „sławienie" czynu niepodległościowego, rocznicy bitwy 1920, na książki, akademie, koncerty itd. I co gorsze dostaną pieniądze!!! Lista „nagrodzonych" w kolejnym numerze.

Poniżej pięć wizerunków Marszałka, od lewej: Piłsudski na Kasztance, przedwojenna rzeźba w zbiorach muzeum w Pałacu Opatek w Grudziądzu; Karykatura Marszałka drukowana w „Gazecie Tomaszowskiej" w 1934 roku; karykatura z „Humoru Polskiego", *Marszałek trzepie Wschód*, Kraków 1920; rzeźba Andrzeja Pityńskiego, projekt portretu wielokrotnego, wersja kameralna w zbiorach Muzeum A. Pityńskiego w Ulanowie; karykatura Marszałka autorstwa A. Pityńskiego.

Moje limeryki

Limeryk to anegdota. Rym tego pięciowersowego utworu ma być aabba, wersy równosylabowe, treść może być banalna, nawet nonsensowna, groteskowa; musi być morał, rozwiązanie akcji limeryku. Choć może być absurdalny, to właśnie musi mieć akcję, bohatera(ów), jakiś wątek dramatyczny, być zabawny i rymowany. Oto moje redaktorskie (kolejne) próby limeryczne:

Kara
Pewien chłopek w swojej złości,
Mając przy tym gros radości,
Bił swą żonę po grzbiecie,
Jak nikt inny na świecie.
Nadwyrężył jej kości.
Ona, gdy lekko odżyła,
Mocno nań się wkurzyła.
Zamknęła go w komorze –
Rok więziła nieboże.
Wieś z podziwem patrzyła.

Osoby: Zenek – Zenek Martyniuk (wykonawca disco polo), Jacek – Jacek Kurski (prezes TVP SA):

Zenki dwa
Zenek z Jackiem na ekranie,
Robią cię w jajo waćpanie.
Kładą razem kulturę,
Jak ich kumple glazurę.
I nic im się nie stanie

Ekscelencje
Mówi Kurski do Zenka: per ekscelencja,
A Zenek do niego: pan eminencja.
I nie powie im żadna gadzina,
Że wszyscy Polacy to nie jedna rodzina,
I w disco polo mała frekwencja.

Nie przywykszy

Marszałek Piłsudski miał poczucie humoru, pamiętał i powtarzał różne dziwne i śmieszne sytuacje, ot choćby tę z pewnym chłopem, powstańcem styczniowym na Litwie. Otóż chłopa tego złapali Rosjanie i powiesili na gałęzi. Ale tak niezręcznie, że przeżył.

Po jakimś czasie odnalazł go oddział powstańczy. Odcięli, napoili, nakarmili, uradowani że odżył, otoczyli i pytają:

– No mów, mów, jak to było, co czułeś?

– Ano, wiszu ja godzinę, wiszu drugą, nudno, jeść się chce. Nie przywykszy!

Co czułeś?

A'propos tego wisielca i pytań, co czuł jak go powiesili. Otóż był w czasie II wojny światowej i wojny radziecko-fińskiej – znakomity fiński snajper (strzelec wyborowy), który zastrzelił ponad 600 sowieckich żołnierzy, agresorów na jego kraj. Podobnie jak w sytuacji z naszym powstańcem, otoczyli go kiedyś po wojnie koledzy, dziennikarze i pytają jak to było, jak zabił tylu sowietów? Co czuł, gdy mierzył do kolejnych, czy widział ich twarze gdy strzelał, oczy; niech mówi wreszcie: co czuł! Na powtarzające się zatem pytanie:

– Co czułeś?

Odparł wreszcie: Odrzut kolby karabinu.

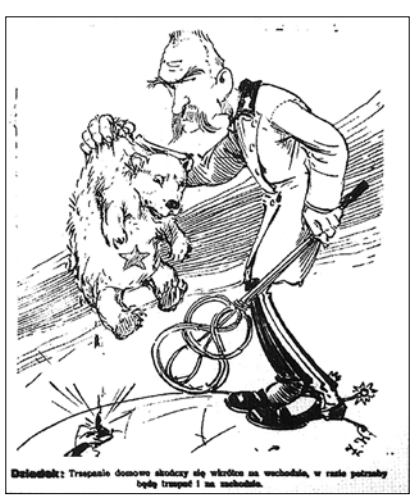

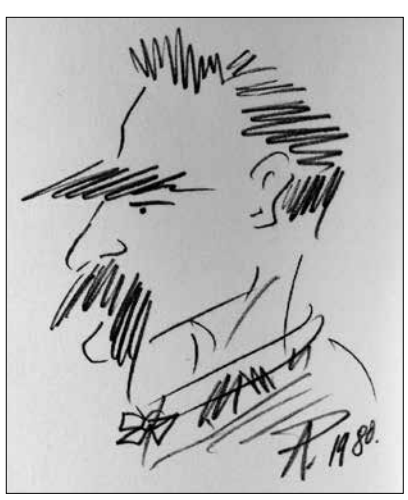

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi • There's no business like show business – jak mówią Amerykanie

Jubileuszowy numer „Kultury i Biznesu"

ma w prezencie dla Czytelników
dwie strony satyryczne – nie jak dotychczas jedną

Księżna Monako i doggie-bag

Grace Kelly, znakomita aktorka, piękna kobieta, była przyjaciółką pani Neli Rubinstein. Czasami pani Nela zatrzymywała się w jej książęcym apartamencie w Helmsley Palace Hotel w Nowym Jorku. Pewnego razu w apartamencie były i księżna, i pani Nela, mieszkały więc razem. Do pani Neli w odwiedziny przyszły córka Ewa i przyjaciółka Fela Krance. Księżna Grace miała wieczorem jakieś ważne spotkanie, dlatego na sandwich do baru hotelowego pani Rubinstein poszła z obiema paniami. Podano bardzo duże potrawy, nie do przejedzenia, jedna porcja starczyłaby dla trzech osób; oszczędna pani Nela zmartwiła się, że zmarnuje się tyle jedzenia... Ale córka ją uspokoiła i powiedziała: Nie martw się, tylko patrz.

Gdy przyszedł kelner, zobaczył niedojedzone kanapki, pani Ewa wzrokiem zasugerowała mu, że resztę jedzenia zabiorą, on wzrokiem potwierdził i po chwili przyniósł trzy woreczki z „resztkami dla psa" czyli w Ameryce popularne doggie-bags. Pani Nela była zdumiona, że w takim eleganckim miejscu można było otrzymać doggie-bags. Wyrażała to zdziwienie oczami, patrzyła na aksamitne, czerwone woreczki z emblematem hotelu tj. złotą koroną; woreczki wyłożone były w środku plastikiem. Zabrała doggie-bags i w apartamencie włożyła do lodówki.

Gdy księżna Grace wróciła po północy, skarżyła się, że na spotkaniu nie dali nic do jedzenia, restauracja hotelowa była już nieczynna, a ona jest tak potwornie głodna... Otworzyła lodówkę i... radość na jej twarzy pojawiła się nie do opisania. Zobaczyła doggie-bags! Zjadła wszystkie resztki kanapek i to bardzo szybko, jakby się bała, że wejdzie ktoś jeszcze bardziej głodny.

Rano pani Nela zatelefonowała do Ewy z wesołą wiadomością, że księżna Grace gdy wróciła, zjadła wszystkie doggie-bags.

Konkurs – zagadka

Dawno nie było na naszych stronach konkursu! Zatem pytanie brzmi: kim jest na zdjęciu ta piękna Pani obok równie... przystojnego (żeby nie napisać pięknego) pana. Jego pewnie poznajecie, to młody Mel Gibson. Chodzi o panią po lego lewej ręce. Dla ułatwienia podajemy, że zdjęcie pochodzi z końca lat 60. (oczywiście XX wieku), wykonano je na festiwalu filmowym w Cannes, zreprodukowane z katalogu festiwalowego.

Strony satyryczne opracował
Wojciech Stanisław Grochowalski ©2019

Łódzka delegacja w Ameryce

FOTO WIKIPEDIA

Jak widać na zdjęciu, prezydent Łodzi była w Ameryce, w Atlancie – miasto 420 tys. mieszk., stolica stanu Georgia. To dobry kierunek, Łódź niedługo zbliży się liczbą mieszkańców do tego miasta, bo tak – jak u nich liczba mieszkańców szybko rośnie, tak w Łodzi – szybko maleje. W końcu XX w. Łódź liczyła prawie 800.000, dziś tylko 680.000 mieszkańców...

Pani prezydent pokazała jak przeprowadza rewitalizację pałaców, pokazała to na przykładzie przejętego po wojnie poniemieckiego pałacu Heinzlów – żeby czarnoskóry burmistrz widział jak wygląda dziś; zaprosiła też burmistrza Atlanty na Rubinstein Piano Festival do Łodzi i pewnie poprosiła Atlantę o finansowe wsparcie tego festiwalu, gdyż miasto Łódź nie stać na dotację i w 2019 nie przyznało festiwalowi żadnej kwoty! W tym momencie czarnoskóry burmistrz uśmiechnął się (jak widać na zdjęciu, po raz pierwszy), powiedział, że ma dużo szacunku do samego Rubinsteina, słyszał o jego festiwalu i dołoży się, dołoży! Tym bardziej że jest wdzięczny i dziękuje za przekazany pałac.

Była też prośba pani prezydent o ew. przerzucenie do Łodzi wojsk amerykańskich z Bolesławca i pomoc w zakończeniu remontu ulic Nawrot i Sienkiewicza, bo trwa to już czwarty rok i końca nie widać. Trzy lata temu znów zaczęto remont ulicy Sienkiewicza i jest obawa że do wyborów za cztery lata obu ulic nie zdąży się naprawić. Co robić?

Tu czarnoskóry burmistrz uśmiechnął się po raz drugi i uspokoił panią prezydent, żeby nie obawiała się, wygra wybory! Bo przecież partia rządząca PiS zatrudniła na wszystkich możliwych urzędach ludzi z jej partii tj. z PO i satelickich tj. z SLD, PSL i Nowoczesnej, zatem wdzięczni jej za to (że załatwiła i te posady) działacze i wyborcy z tysiącami rodzin, zagłosują na PO zaś elektorat PiS nie pójdzie na wybory. Czyli i tu jest pozamiatane! Jak widać na zdjęciu – nastąpiła konsternacja pani prezydent, ale i uspokojenie.

Stefan Jaracz o Łodzi

„Najśmielsza wyobraźnia, nawet po przeczytaniu *Ziemi obiecanej* Reymonta, nie mogła stworzyć obrazu zbliżonego do rzeczywistości, którą zobaczyłem jadąc z dworca odrapaną dorożką po wyboistych ulicach zalanych czarną mazią październikowego błota. Znalazłem się na Piotrkowskiej. Jezdnia przepełniona wozami, naładowanymi manufakturą, tramwajami, dorożkami pełnymi towaru, wąskie chodniki zalane falą nigdzie nie spotykanych postaci. (...) Nagi byt, wydestylowany z wszelkiej złudy. Czy to możliwe, aby w tym mieście mógł się znaleźć poeta, malarz, aktor?"

Ten słynny aktor, reżyser, pisarz, przybył do Łodzi w październiku 1908 roku na zaproszenie Aleksandra Zelwerowicza, który zaangażował go do Polskiego Teatru w Łodzi; gość wysiadł na dworcu Łódź Fabryczna. No i został tu na dłużej, wyjeżdżał, wracał... I dziś proszę bardzo: Stefan Jaracz jest patronem teatru – Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, jeden z lepszych w Polsce.

Można rzec – proszę Pana Stefana, że dziś dworzec piękny, dwa miliardy kosztował, zadbany, czysty. Może dlatego, że nie wpuszczają tam wielu ludzi, poza tym nie przychodzą, bo nie ma po co. Pociągi nie dojeżdżają. Dworzec często jest też myty, bo po każdym deszczu woda leje się z dachu jak z cebra. Ale niech tam stoi sobie pusty. Jeść nie woła jak się mówi (tylko o pomstę do nieba!).

A Pana pytanie trochę retoryczne, bo znaleźli się tu: i poeta, i malarz, i aktor:

– np. Julian Tuwim (choć szybko wyjechał stąd do Warszawy...);

– malarz, tworzył tu np. Maurycy Trębacz, mieszkał przy Piotrkowskiej 71, uczył się w Krakowie, Monachium, zagłodzili go Niemcy w getcie łódzkim;

– aktor? No a Pan panie Stefanie, a Zelwerowicz? Pan tu często grywał. Ciekawe co przyciągało Pana do Łodzi...

Scena balkonowa ekspremiera

Jak doniosła prasa w połowie lipca 2019, ekspremier za pierwszego PiS, Marcinkiewicz, miał scenę balkonową z ekszoną Isabel. Nie była to niestety miła szekspirowska scena jak u Romea i Julii, ale jak u Marcinkiewicza i komornika, bo pod balkonem stała nie Isabel – ale komornik, chcący wyegzekwować od ekspremiera zaległe alimenty.

Gdy już czmychnął (Marcinkiewicz) przed komornikiem przez okno, miał pokazać tradycyjnie środkowy palec (tzw. fuck you) i krzyknąć słynne: yes, yes, yes!

Szczerze

O książce Donalda Tuska pt. *Szczerze*:

Napisałem książkę „Szczerze",
Chociaż w nic, co w niej jest, nie wierzę!
Mówię szczerze!

Wykonałem w bród roboty,
by szlag trafił te hołoty,
Wiecie – znacie przecież te miernoty!

Skoro już tak dobrze drgnęło,
I zamówień mi spłynęło,
Zatem piszę nowe dzieło.

Teraz to ja im pokażę,
Wytknę, pomszczę i ukarzę –
Jeszcze chwila! Czas pokaże!

Żeby była jasna sprawa,
Angela mi podpowiada.
Czemu? – Polityka nie zabawa...

W rolę autora wcielił się
Wojciech S. GROCHOWALSKI
szczerze!

Orżnąć szwaba

Pewien polski biznesmen, jako jeden z bardzo nielicznych robił interesy z Niemcami w czasie II wojny światowej w Krakowie. Miał tzw. ekipę, sprzęt, doświadczenie; budował na terenie miasta jakieś baraki drewniane, szopy, magazyny dla Niemców. Miał w jakimś momencie problem z otrzymaniem zapłaty za swoje usługi. Nadzorujący go i rozliczający roboty Niemiec, znany ze skąpstwa i nękania Polaków, obciął mu o 30% należne wynagrodzenie – wg zatwierdzonego wcześniej kosztorysu; za wykonaną już pracę. Gdy zmartwiony tą sytuacją szef produkcji polskiej firmy, który już widział ich bankructwo i wywózkę do obozu pracy wszystkich robotników, zapytał, co będzie? Biznesmen odparł mu spokojnie:

– Nie martw się. I tak szwaba orżnąłem na 40% w kosztorysie.

Limeryk angielski

W uzupełnieniu tematu limeryków z poprzedniej stony, teraz oryginał, angielski limeryk – tu w tłumaczeniu płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, ukazał się w „Cyruliku Warszawskim" w 1934 roku. To chyba było tak:

Jedna cudna pani z dalekiej stolicy
Jeździła z uśmiechem na spacer na lwicy,
Aż kiedyś wrócili w odmiennym porządku:
Panna z wielkim smutkiem siedziała w żołądku,
Ale uśmiech zawisł na obliczu lwicy.

Magazyn KULTURA i BIZNES Wyd.: Fundacja Kultury i Biznesu, 90-007 Łódź, ul. Piotrkowska 112, tel./fax 42/632 79 39, e-mail: redakcja@kulturaibiznes.pl, www.kulturaibiznes.pl Wszelkie prawa zastrzeżone. Redaktornaczelny:WojciechStanisławGrochowalski.Składiłamanie:StudioGraficzneAgatySobiepańskiej.Projekt:WojciechStanisławGrochowalski:Kontobankowe:PKOSAIIO/Łódź51124030281111000028241548. Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Nakład 10.000 egz.